

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/608 1998



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- A. STROŃSKA: DOPÓKI MILCZY UKRAINA**
K. BRANDYS: CIAŁO I PAMIĘĆ
E. ŁĘTOWSKA:
SYTUACJA SĄDOWNICTWA W POLSCE
K. WOLICKI: RZĄD NA KOLIZYJNYM KURSIE

SPIS RZECZY

Anna Strońska:	<i>Dopóki milczy Ukraina</i>	3
Stefan Abner:	<i>Efekt Pajęczyny</i>	25
Mariusz Wilk:	<i>Zapiski sołowieckie (IX)</i>	37
Kazimierz Brandys:	<i>Ciało i pamięć</i>	47

WIERSZE

Józef Łobodowski:	<i>Duma o Atamanie Petlurze</i>	62
Leszek Szaruga:	<i>Erotyk. – Sonet z różą</i>	64

ARCHIWUM POLITYCZNE

Magdalena Rostron:	<i>Kłopoty nad Zatoką</i>	65
--------------------	-------------------------------------	----

KRAJ

Krzysztof Wolicki:	<i>Rząd na kolizyjnym kursie</i>	73
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	81
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	88
Ewa Łętowska:	<i>Sytuacja sądownictwa w Polsce (listopad 1997 – luty 1998)</i>	103

SĄSIEDZI

Bohdan Osadczyk:	<i>Impresje wyborcze</i>	107
–	<i>Białoruska deklaracja wolności</i>	112
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i>	113

KRONIKA KULTURALNA

Małgorzata Łukasiewicz:	<i>Poza miejscem i czasem</i>	117
–	<i>Festiwal Czesława Miłosza</i>	128
Eugeniusz Kupper:	<i>Kronika gdańska</i>	128
Piotr Daszkiewicz:	<i>Dar polskiego króla dla gabinetu przyrodniczego Ludwika XVI</i>	135
–	<i>VII Wschodnia Szkoła Letnia (1–31 lipca 1998)</i>	138
–	<i>Pomoc dla Biblioteki Polskiej w Londynie</i>	141

NOTATKI REDAKTORA

		143
--	--	-----

KSIĄŻKI


Alicja H. Moskalowa:	<i>Autentyści w poezji</i>	146
–	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151
–	● <i>Wydarzenia miesiąca</i>	153
–	● <i>Apel w sprawie Schroniska dla Zwierząt w Celestynowie</i>	155

K. Bieniecki, J.A. Chrościcki, A. Martinowa i A. Sławiński, Z.T. Wierzbicki, W. Zólkiewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	------------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj/Mai 1998

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Mikołaj Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA) – po raz 28-my – dol. 31,00	F. 186,00
Maria Dębowska, Chicago IL (USA) – dol. 50,00	F. 300,00
Dla uczczenia Drogiej Pamięci Matki doc. dr med. Marii Wilk- Wilczyńskiej, wieloletniego pracownika naukowego Aka- demii Medycznej w Łodzi, specjalisty społecznej służby zdrowia, pioniera opieki nad dziećmi niedowidzącymi, ur. w Łodzi 10.12.1901 r., zmarłej w Västeras 12.05.1988 – w 10-tą rocznicę śmierci – Syn z rodziną (Västeras – Szwecja) – SEC 500,00	F. 380,00
Dla uczczenia pamięci naszego Męża i Ojca Stefana Strelcyna – Żona (Manchester) i syn Jerzy z rodziną (Londyn) ..	F. 250,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna, naszego Przyjaciela, w 17-tą rocznicę Jego śmierci – Kamila Halpern-Chylińska, Kolonja (Niemcy), DM 100,00	F. 335,00
Dla uczczenia 17-tej rocznicy śmierci Stefana Strelcyna – syn, synowa i wnuczka z Paryża –	F. 150,00
Halina Grodzicka, Buenos Aires – po raz 19-ty – dol. 70,00 ..	F. 420,00
Tad de Laurent, Bielefield (Niemcy) – po raz 16-ty – DM 20,00	F. 64,00
Janina i Józef Lewandowscy, Skogas (Szwecja) – dla uczczenia pamięci Brata i Szwagra Andrzeja Niezabitowskiego, żoł- nierza podziemia, więźnia łagrów	F. 300,00
K. Steve Rasiej, Teaneck, NJ (USA) – po raz 20-ty – dol. 34,00	F. 205,00
Prof. Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 7-my	F. 500,00
Teresa Romanowska-Zmorska, Zofingen (Szwajcaria) – pamięci Andrzeja Bobkowskiego i Betki Bączkowskiej – FS 100,00	F. 400,00
Longin Sztachański, St. Petersburg, FL (USA) – po raz 47-my – dol. 20,00	F. 120,00

DZIĘKUJEMY

Dopóki milczy Ukraina

Czy niepodległość Ukrainy przetrwa? To pytanie tkwiło w podtekście panelu „Ukraina, Rosja, Niemcy: nowe realia” zorganizowanego już jesienią 1993 w Kijowie. Mówiąc o powiązaniach – i uwiązaniach – gospodarczych Ukrainy z Rosją, zwracano uwagę na oczywisty prymat Rosji jeśli idzie o bogactwa naturalne, zaawansowane technologie i wszelkie „odcienie” infrastruktury: banki, finanse, handel. Jak konstatał profesor Jurij Pakomow, dyrektor Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych Ukraińskiej Akademii Nauk „...Będąc tak daleko za Europą i czyniąc co się da, żeby wejść do jej przedsionka, Ukraina ma do pokonania mnóstwo fundamentalnych przeszkód”.

Sporo autorów na łamach *Myśli Politycznej* wypowiada swój pogląd na przyszłość krajów postkomunistycznych.

„W 1991 Ukraina wzniosła swój narodowy sztandar nie mając żadnego realnego programu politycznej oraz ekonomicznej niepodległości, lub filozofii politycznej. Do dzisiejszego dnia i państwowa, i społeczna kondycja Ukrainy jest chwiejna” – konstatują Aleksander Dergaczow i Wołodimir Połochało. Jak piszą, impuls niepodległości był tak gwałtowny, dążenie do własnego państwa tak intensywne, powszechne, że ominęło najistotniejszą decyzję, a mianowicie – jakim właściwie państwem powinna stać się niepodległa Ukraina.

Brakło programu reformy. Wszyscy dążyli do radykalnych zmian, tylko do jakich? To nie zostało uwypuklone. Znamy, znamy ten *casus* z triumfalnych lat Solidarności. Jednak Polska była w o tyle lepszym – znacząco lepszym –

LITERACKI



INSTYTUT

położeniu, że dysponowała jakimś kapitałem doświadczenia w strukturach państwowości.

Zdaniem autorów szkicu „Metamorfozy władzy postkomunistycznej” Ukraina w krótkich latach niepodległości zyskała sobie reputację najbardziej stabilnego i bezkonfliktowego państwa Wspólnoty. Ta renoma jest przywoływana na dowód trafnej polityki władz, służy za świadectwo europeizacji kraju. Jak zwracają uwagę autorzy szkicu, paradoks w tym, iż „rzeczywistym gwarantem dzisiejszej rzekomej stabilności jest bierność i obojętność ukraińskiego społeczeństwa”. Zdaniem autorów „Metamorfoz”, obecne władze – wykorzystując pasywność społeczeństwa, rażącą słabość debiutujących demokratycznych instytucji, wreszcie – państwową kontrolę, więc i cenzurę mediów, a jednocześnie manewrując obietnicami i apelami do patriotyzmu, co nie przeszkadza w dystansowaniu się od obywateli, zdają się budować państwo na użytek własny, „poza i ponad społeczeństwem”.

Dzisiejszość Ukrainy – intensywny, dramatyczny zamiar państwa. Kiedy w 1991 kraj – jak ktoś powiedział – „zaczął otrzymywać niepodległość” (dobre sformułowanie. Trafnie oddaje rzeczywisty przebieg zmian, ich niebezpieczną powolność) wierzyło się, że o poprawie sytuacji w kraju przesądzi sam fakt oddzielenia się od Moskwy. Zachłystywano się potencjalnymi możliwościami kraju. Kursowały ulotki zapewniające, że Ukraina nie tylko będzie, ale jest potęgą, ponieważ w przeliczeniu na Europejczyka – dostarcza najwięcej ropy na całym kontynencie! A to bzdura, ponieważ zasoby ropy ukraińskiej są nikłe, republika miała rzeczywiście silnie rozwinięte przetwórstwo, ale ropa szła z Syberii.

W czerwcu 1997 Fundacja „Demokratyczne Inicjatywy” przeprowadziła i to wśród sporej – niespełna dwutysięcznej – reprezentacji sondaż, w którym sytuację ekonomiczną kraju jako „bardzo złą” oceniło 43% ankietowanych, a jako „bardzo dobrą” – 0,2%. Spośród zapytanych, jak się odnoszą do przemian, najliczniejsza grupa wybrała odpowiedź: „należy przywrócić stan, w jakim gospodarka była u progu przebudowy”.

Ile to czasu czekał na swoich pięć zaległych pensji w 1996 roku lwowski fizyk? Siedem miesięcy? W rok później, już w Kijowie, po drodze na czwarte piętro kamienicy, w której mieści się redakcja *Politycznej myśli*, mijamy drzwi

z tabliczką „Instytut Filozofii” i wywieszka: „Stypendia dla aspirantów za czerwiec 1996”. Mamy lipiec 1997. Dr Jewhen Bystryckij proponuje, żebym sobie zabrała „na pamiątkę złych czasów” i zrywa karteluszek. Wtedy drzwi uchylają się, staje w nich kobieta, która zamiast nas obsobaczyć powiada przyjaźnie „a my, pracownicy, już od roku nic nie dostajemy”. Nie skarży się, stwierdza.

Reprincew, historyk, w 1996 otrzymał wynagrodzenie za trzy i pół miesiąca, w 1997 za dwa, a jest lipiec. Podobną sytuację ma Bystryckij. W 1996 nie dostał pensji za osiem miesięcy – i zaległość rośnie.

Ukraińskie realia: średnia płaca dwukrotnie niższa niż w Rosji, niemal pięciokrotnie niższa niż w byłych „demoludach”. Za to, za co dzisiaj płaci się Słoweńcowi – 611 dolarów, Polakowi – 308, Czechowi – 303, Ukrainiec dostaje 78. Najznośniej żyje się na zachodniej Ukrainie, najtrudniej – w środkowej oraz wschodniej. A wschód kraju to kopalnie, metalurgia, chemia. W ostrym przeciwieństwie do regionów „galicyjskich” tu ludność w większości nie jest chłopska, jest miejska. Stąd dotkliwszy ciężar kryzysu.

Co zdaniem Ukraińców, poza sytuacją materialną, znacznie pogorszyło się – znowu pogorszyło się, trzeba by uściślić – w ich życiu? Przede wszystkim – szansa zatrudnienia i pewność, że się nie utraci pracy. Opieka społeczna.

Prawie 19% badanych odpowiedziało, że żyje w skrajnej nędzy, do dobrobytu poczuwało się 0,1%. Ten fundamentalny niestety temat ukraiński rzutuje na wszystkie sytuacje państwa. Zabezpieczenie materialne? Wystarczające w opinii 0,2%. Całkowity jego brak – w wypadku prawie 61%.

Z problemów, utrudniających normalną egzystencję, Ukraińcy wymieniają kolejno brak parasola socjalnego. Przystępczość. Rozchwianie ekonomiczne Ukrainy. Zaniedbania ekologiczne. Bezrobocie.

Aż dziwi – ale i wskazuje na zasięg dzikiego rynku pracy – tak daleka lokata bezrobocia. Wyprzedzającego na liście kłopotów już tylko (bagatela!) brak stabilności politycznej.

Skoncentrowani na polskich ex-rubieżach, jeśli już, to ciekawi co tam (i tylko tam) w trawie piszczy, jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy, że dostrzegamy małą, w dodatku najślabszą gospodarczą część kraju, obszarem dwukrotnie prze-

rastającego Polskę, że nie mówiąc o kilku innych regionach – jest „jeszcze” ta wschodnia Ukraina, pięciokrotnie (tak, tak) większa od galicyjskiej. Ukraina przemysłu, skupiająca przewagę uczelni, instytutów i laboratoriów.

Rosja miała z czego czerpać. W latach 60-tych z dochodu narodowego Ukrainy do jej budżetu wracało jakieś 13%, w następnej dekadzie „już” 15%. Sukces, prawda? A jednocześnie rozbudowywał się wielki przemysł militarny, potężna metalurgia. O hipertrofii industrialnej zaczęto mówić na wolnej Ukrainie, i to nie od razu. Dopiero krach gospodarczy zorientował ludzi, że w warunkach samodzielności gospodarczej – połowa psu na buty – że już nie dzieleny z innymi republikami stan samotnego posiadania katastrofalnie przetrasta właściciela.

Drużyna co do wielkości – po rosyjskiej – sowiecka republika żyła w ciasnej obroży. Rosja nigdy nie dowierzała Ukrainie. W 70-tych latach w Dniepropietrowsku, do „Jużmaszu”, tej samej fabryki rakiet strategicznych, którą później zarządzał dzisiejszy prezydent, nie wpuszczono I sekretarza komitetu obwodowego partii, Walczenki. Taka produkcja – to już nie był próg do pokonania nawet dla prominenta, ale – Ukrainca. Pani Anna, niecierpliwi się Reprinцев, o czym my mówimy? Energetyka jądrowa – tylko w gestii Moskwy. Od zawsze. Jak i cały przemysł obronny. A chemiczny? Tak, tak, mieliśmy na Ukrainie i chemiczny. Fabryki u nas, ministerstwo – w Moskwie. Większa część każdej produkcji, rzeczywiście znaczącej w skali państwa, pozostawała w jednoznacznej dyspozycji Moskwy.

Ekonomiczna (więc i polityczna) realność Ukrainy po sześciu niepodległych latach: wysokie, precedensowo wysokie, zadłużenie państwa. Niezmienna, nieomal całkowita zależność energetyczna od Rosji. Wątki przyptyk kapitału. Podczas gdy zagraniczne inwestycje chociażby na Węgrzech wynoszą 600-650 dolarów na głowę, to na Ukrainie 12-15 dolarów. Drobną różnicą!

Nie dezaktualizuje się stwierdzenie Jewhena Bystryckiego: „Żyjemy w kraju, którego system społeczny jest mieszaną trzech elementów: republiki parlamentarnej, rządów prezydenckich i władzy sowieckiej”.

Najniższym, rażąco niskim zaufaniem (3% głosów!)

Ukraińcy obdarzają sejm, nieco większym – rząd, pięciokrotnie większym niż sejm – prezydenta. A przecież wiadomo, że Leonid Kuczma cieszy się bardzo umiarkowaną popularnością w społeczeństwie, jest lepiej widziany za granicami kraju, niż we własnym. Zdaniem wielu w innej sytuacji – czyli przy innej realności możliwości wyboru – Donbas, Zaporozie, nie głosowałyby na Kucznię. „To nie on wygrał wybory. To Krawczuk przegrał” – jak mówią w Kijowie.

Bez zastrzeżeń popiera Kucznię niespełna 4% ludności! Miażdżąca – 90-procentowa! – większość nie widzi ani jednego polityka, który wyprowadziłby kraj na prostą.

„Za wcześnie na socjologię...”. Coś się tam jednak klaruje pod jej szkiełkiem. Ukraińcy 1997 nadal nie widzą sensu w wielopartyjności, a to niebezpieczne. Nie znajdują między istniejącymi ani jednej partii, która zasługiwałaby na przejście władzy. Byliby za rządami silnej ręki. Tylko kto miałby zostać egzekutorem dyktatury?

Ukraińcy są rozgoryczeni, podział na zwolenników przeczekania ekonomicznych trudności – i na opowiadających się za protestem, za wyjściem na ulice, jest już bardzo wyrównany. Obydwie opcje – w granicach 33%, pozostali – czyli też ponad 30% mieszkańców republiki – zastępną się tradycyjnym „trudno odpowiedzieć”.

W ukraińskim programie telewizyjnym w Toronto premier Jewhen Marczuk zapewniał, że „socjalnoho wybuchu ne bude...”. I zwracał uwagę, że „przez trzy lata czy niechby przez pięć nie można poprawić sytuacji”. No, ale to się łatwo mówi. W jego sytuacji.

Poleje się krew, jak wrócono we Lwowie? Z badań to jeszcze na szczęście nie wynika. Wprawdzie już po dwu niepodległych latach socjologowie wskazywali na rosnące zniecierpliwienie społeczeństwa, i w raportach figurują wzmianki o nastrojach apokaliptycznych, niemniej wśród respondentów dominował pogląd, że lepiej ścierpieć dolegliwości „okresu przejściowego”, niż urządzać publiczne demonstracje. Ukraińcy czuli się przygotowani na wysoki rachunek za nieprzeszkodzenie rządowi. Dzisiaj ta gotowość słabnie, w pewnym stopniu wypierana przez agresję, w dużym – przez apatię, dobitnie zaświadczyającą o społecznej dezintegracji Ukrainy.

Czy materialny status społeczeństwa poprawi się – za

rok? Większość zakłada, że będzie gorszy, a w najlepszym razie – taki sam. A za pięć lat? Największy odsetek zapytanych nie ma zdania, jedna trzecia wierzy w poprawę, tyle samo – w pogorszenie.

Groźne poczucie niemożności. Przytłaczająca większość ogłasza swój brak wpływu na cokolwiek, co się dzieje w kraju. To nie dlatego, że wschodnia, a i południowa Ukraina jest zrusyfikowana w stopniu skłaniającym do mówienia nie tyle o rosyjskiej, ile o ukraińskiej mniejszości narodowej. Prościutka babina w Zbarażu, intelektualista w arcyeuropejskim Monachium – konstatują to samo, i co zabawniejsze, nieomal tymi samymi słowami: ludzie nie byli głodni. Mieli zatrudnienie...

Oczywiście, rozwijając myśl, filozof będzie mówił o gwarancji zaspokojenia elementarnych potrzeb, nieuczona Piechowa – o pewności chleba. Zalety demokracji straciły sens, wskazuje Zinowiew. A co tam Piechowej po zaletach demokracji...

Ukraińcy nie spieszą się do NATO. Ponad jedna czwarta badanych nie chce, by kraj stał się „strefą buforową” między Zachodem a Unią Taszkencką. Oponuje przeciw pogorszeniu stosunków z Rosją. Dystans do „agresywnego bloku nuklearnego” (znajoma terminologia) najbardziej odczuwalny jest na wschodniej Ukrainie, najmniej w stolicy i na zachodzie republiki. Zaledwie 15% Ukraińców widzi swoje państwo w bloku zachodnim! Zatem jakiej Ukrainy chcieliby w przyszłości? Nie za duża różnica rysuje się między zwolennikami „neutralnego niepodległego państwa” a popierającymi status „Ukrainy w bloku z Rosją i Białorusią”. W trzeciej kolejności – przynależność do nowego ZSSR (a jakże! Bynajmniej się nie przejęczyłam). W czwartej – obecność we Wspólnocie Krajów Niepodległych. Są również głosy – niezbyt liczne, ale są – że Ukraina powinna uznać się po prostu za część Rosji.

Może i naprawdę – jak zauważa w swojej książce „Zukunft Europa” Austriak, Wolfgang Kraus – „za wcześniej na rozstrzygnięcie, kto wygrał zimną wojnę, a kto przegrał. Z tym należy poczekać”.

Z wypowiedzi Zbigniewa Brzezińskiego w Kijowie: „tylko z podległą sobie i podporządkowaną Ukrainą Rosja automatycznie staje się mocarstwem”. Przy innej okazji, w arty-

kule dla *Politycznej Dumki*, Brzeziński pisze o pomocy finansowej Zachodu dla Rosji – i o ryzyku inwestowania w kraj, w którym zachodnie fundusze przejmowane są głównie przez nowych kapitalistów, reprezentantów chorobliwego bogactwa, inwestowanego głównie w konsumpcję, nie w produkcję. Jak zauważa Brzeziński, komplikacjom ekonomicznym sprzyja również „ewidentne odnowienie się imperialnych aspiracji, które wzmaga prawdopodobieństwo wzrastających napięć w stosunkach z Ukrainą”. Cytuje również symptomatyczną opinię nie wymienionego z nazwiska rosyjskiego polityka, który w 1993 w prywatnej rozmowie mówił o tymczasowości Ukrainy.

Czy utrata Ukrainy w 1991 oznacza dla Rosji wyłączenie z głównego nurtu europejskiego – jak chce Wołodimir Zwygłanycz w biuletynie „Ukraina i NATO”? Czy CIS – to „przywództwo w miejsce bezpośredniej kontroli”? Tak uważa Rusłan Chasbułatow, natomiast opinia o białowieskim traktacie jako o zatrzymaniu przez trzy republiki procesu „spontanicznej i anarchistycznej dezintegracji wspólnej przestrzeni zamieszkiwanej przez nasz lud” pochodzi od samego Jelcyna.

„Ukraina jest kruchym, sztucznym tworem (...) formacją bez jakiegokolwiek realniejszej szansy na uformowanie własnej państwowości”, tę wypowiedź rosyjskiego polityka o ormiańskim nazwisku – Andrianik Migrancjan – zamieściła *Niezawisimaja Gazieta* z 18 stycznia 1994.

Politycy rosyjscy wciąż są skłonni widzieć w Ukrainie – jak to któryś powiedział w parlamencie – bardzo przejściowe zjawisko. Dokłada się do tego stary ukraiński kompleks „cienia Rosji”.

Dzisiaj Ukraina jeszcze jest za biedna, wszystko tu zbyt świeże, zbyt zdeformowane jarzmem niedostatku, by procesy zachodzące w społecznej świadomości, uzależnione od pustej kieszeni i talerza, dawały jakąkolwiek gwarancję, że sprawy nie potoczą się w kierunku najmniej pożądanym dla Polski. Czy Ukrainie rzeczywiście nie zagraża wariant białoruski? Na II Światowym Kongresie Ukraińców latem 97 prezydent Kuczma zapewnił, że ich ojczyzna pozostanie już na zawsze niepodległa...

Za przesadna jestem na takie deklaracje.

Trudno nie zauważyć, że to nie sama Ukraina, lecz jej zagraniczni „piloci”, potencjalni partnerzy w polityce domagali się niepodległości kraju. „We wszystkich, niekiedy paradoksalnych, działaniach Ukrainy dało się dostrzec możliwość powrotu do zwyczajowego partnerstwa z Rosją i oparcia się o nią w wypadku niepowodzenia” – wnioskuje Brzeziński.

Jeśli zachodnia i centralna Ukraina stawia na Europę (co nie znaczy, że i na nas. Czekaliśmy, czy wymieniona zostanie Polska. Nie została), to doszczętnie zrusyfikowany wschód kraju wiąże rachuby z Rosją. Rzecz nie tylko w tym, że 11 mln obywateli Ukrainy, więc aż 20% to Rosjanie. Znacznie więcej jest rodowitych Ukraińców mówiących po rosyjsku.

Specyficzne i na nasz gust, znowu, aż niewiarygodne są tutejsze powikłania. Z jednej strony – kompleks samostijnej. Potrzeba własnego państwa, niepokój o jego trwałość. Z drugiej – nieuwaga na sprawy tak, zdawałoby się, obolące, drażniące i w konsekwencjach niebezpieczne dla niepodległości, jak zależność językowa. Przypominam: blisko połowa ludności uważa, że na Ukrainie język rosyjski winien mieć status oficjalnego, nieco mniejsza część jest przeciwnego zdania, jedna piąta – nie umie zająć stanowiska.

Ukraina jeszcze nie wybrała i jeszcze można ją widzieć jako kraj w poszukiwaniu strategicznego partnerstwa. Jak pisze Siergiej Własow z Kijowskiego Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych – już raz zaistniał moment, gdy Ukraina ponownie zwróciła się do Rosji, ale ta oferta, wtedy, nie została przyjęta. Moskwa zaproponowała Kijowowi handel po światowych cenach – i według przyjętej na świecie rynkowej jakości... To spowodowało, że Ukraina z powrotem obróciła się ku Zachodowi.

W myśli politycznej dzisiejszej Ukrainy sporo miejsca zajmuje pozycja kraju w Europie – teraz, i w Eurazji – już wkrótce. Nie był u nas publikowany artykuł Zbigniewa Brzezińskiego dla *Politycznej Dumki*, którego autor widzi Ukrainę jako państwo na pograniczu Azji i Europy, państwo „pomiędzy Rosją a Niemcami”. Ukraina według Huntingtona „jest sytuowana na linii granicznej pomiędzy dwiema opozycyjnymi cywilizacjami (...) po prostu oddziela kraje, które są pierwszymi kandydatami do NATO od Rosji, która nigdy w NATO nie będzie”. Również Henry Kissinger podkreśla,

że Ukraina, to wschodni kraniec „tej geopolitycznej przestrzeni, która dzieli (...) Europę i Rosję...”.

Profesor Samuel Huntington z Harvardu opiniuje, iż główne konflikty w naszych czasach – a także i w jutrzejszych – występować będą pomiędzy cywilizacjami. Wojny narodów – tak, ale przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie wtedy, gdy roziskrzy się spór pomiędzy nosicielami różnych cywilizacji.

„Aksamitna kurtyna kultury zastąpiła żelazną kulturę ideologii”. Tak określa profesor najbardziej według niego zauważalną linię podziału w Europie, prowadzącą od Rosji, Finlandii i państw bałtyckich. Przecinając Białoruś oraz Ukrainę, oddzielając greckokatolicką, zachodnią część kraju od prawosławnej, wschodniej, linia ta w znacznym stopniu pozostaje zbieżna ze strefami wpływów dwu niegdysiejszych imperiów: habsburskiego i otomańskiego. Dopiero na zachód i północ od tak zaznaczonej granicy – funkcjonują społeczeństwa ze szkoły renesansu, oświecenia, rewolucji francuskiej i przemysłowej rewolucji.

Jak w interesującym szkicu „Fatam Ukrainy. Czy niewolnictwo nie jest do obalenia?” pisze Wadim Skuratywskij: „Ukraina utrwaliła się na obrzeżu tej gigantycznej stepowości, na progu – czy jednak już za progiem – rozpełzłej na tysiące kilometrów równiny euroazjatyckiej, którą powstrzymał Pacyfik”. Skuratywskij porównuje swój kraj z ruchliwym traktem w czasach wędrowki ludów z Azji do Europy. Akcentem finalnym – „i ostatnim usiłowaniem azjatyckiego stepu, by ulokować się w paneuropejskim lesie”, był upadek Kijowa, symbolu niezmiennie istotnego w rosyjskim (nie pomyliłam się. W rosyjskim!) autoportrecie państwowości.

Z kolei Wołodymyr Sydenko, polemizując z rozpowszechnioną wiarą, iż Ukraina przeznaczona jest do jednej z głównych ról na scenie światowej geopolityki, doradza jak najszybsze odrzucenie złudzeń. Co nie kolidowałoby z rozważeniem, co czeka jutrzejszą Ukrainę: niezależność państwa, umiającego wykorzystać swoje geopolityczne usytuowanie, czy rola biernego obiektu w politycznych rozgrywkach innych państw?

Zdaniem Sydenki o odpowiedzi przesądzi ekonomia. Jak na razie – Ukraina jest poza rynkami świata, pozostaje uwią-

zana do rosyjskiej gospodarki. Rosja, to nieomal połowa ukraińskiego eksportu. Ważniejszy jest import, w którym przeważają najbardziej potrzebne materiały i surowce, zaczynając od ropy naftowej. „Czy w tej sytuacji można się spodziewać po kraju dynamicznej, niezależnej polityki zagranicznej? Oczywiście, że nie” – konkluduje Sydenko.

Kraje biedne zawsze są na bocznym torze. Izolacja Ukrainy potrwa, dopóki kraj nie wygrzebie się z rujnacji. Dzieje się za mało i za wolno. Przez dwa lata nic nie drgnęło – konstatowali autorzy raportu o postkomunistycznej Ukrainie w 1. numerze *Politycznej Dumki* z 1993 r. Ciekawe studium trudności czy wręcz niemożności przekształcenia się społeczeństwa totalitarnego – w normalne.

Przy pytaniu „czy uważasz za celowe wprowadzenie reżimu *żorstkiej ręki* (twardej ręki) celem wyjścia z ekonomicznego kryzysu i zainicjowania reform gospodarczych?” – tym razem minimalny procent ociągał się z zajęciem stanowiska. Większość zgadzała się na reżim, co prawda dość osobliwie rozumiany, skoro miałby się realizować „bez pomniejszania swobód politycznych”. My Słowianie lubimy sielanki, stąd błoga wiara, że można zjeść ciastko – i mieć ciastko.

Zdawałoby się, że przynajmniej amatorzy brania za twarz „przy zachowaniu swobód” okazą się zwolennikami jakiejś partii, tymczasem na pytanie, czy któraś z istniejących zasługuje na władzę, twierdząco odpowiada nikły procent. Im głębiej w las... Tylko jedna trzecia – niespełna jedna trzecia – społeczeństwa opowiada się za wielopartyjnością. Nie dorównują przeciwnikom i niezdecydowanym.

Za wcześnie na socjologię, jak pocieszają niektórzy. Oby. Bo sygnały są niepokojące. Kolejny sondaż wskazywałby na zaostrenie się poglądów. Już prawie 45% Ukraińców wierzy w politykę siły, oponuje niespełna 16%. Te wyniki opublikował biuletyn fundacji „Demokratyczna inicjatywa” w cyklu „Polityczny portret Ukrainy”. Na pytanie zadane w roku 1996 „czy sądzisz, że kilku silnych przywódców może zrobić dla naszego kraju więcej niż wszystkie prawa czy dyskusje?” zdecydowana większość odpowiedziała: tak, drudzy – nie mam zdania. Oczywiście mogą je zacząć mieć, już jutro. Z tego *ważko widpowisty* może pójść ogienek w każdą stronę.

Nie zastanawiam się, nie mam zdania, jeszcze nie zde-

cydowałem. Nie wiem... Wypada przyjąć, że te postawy rzeczywiście dominują, ale warto pamiętać, a na Ukrainie to nietrudne, że nawet bardzo zdawałoby się biernie, półfeudalne społeczeństwa potrafią się znieacka budzić. W krajach tak gwałtownie wyrwanych z kieratu, w zbiorowości zbitych z tropu, bo nie pogłaskanych zmianą, nastroje są nietrwałe. Na Ukrainie jeszcze nie dokonało się nic nieodwołalnego. Na razie Ukraina widzi swoje słabości, nie zna swojej siły. Ten wielki kraj – od Karpat po Morze Czarne, od Wołynia po Azowskie – balansuje na skrzyżowaniu gwarancji z iluzjami. Skłania się ku Zachodowi, cofa na Wschód... Pozostaje wielką europejską niewiadomą.

To trwa trochę za długo. Piszę przed wyborami, ale myślę, że nawet ich wynik trzeba traktować powściągliwie. Decyzje elektoratu w sytuacji ukraińskiego bywają bardzo przypadkowe. O jutrze prawem inercji zadecyduje być może właśnie ta „milcząca większość”, ci nieobecni w życiu publicznym, nie wykrzykujący swoich skarg w teatrach polityki.

Chociaż? Już się zaczęły demonstracje. Kończę tekst w lutym 98, w dniach pierwszych głośnych protestów. Tracą cierpliwość górnicy, a to groźna solidarna siła.

Do Polaków zupełnie nie dociera, że Ukraina – prędzej czy później – może znużyć się niepodległością kupowaną za tak wysoką cenę, albo też – i ten wariant jest prawdopodobny – że zachowując niepodległość, powoli wyrzeknie się niezależności.

W publikacjach, w debatach intelektualistów z całą naturalnością przewija się kwestia ewentualnej ponownie przyrosyjskiej przyszłości Ukrainy. Czy kraj rzeczywiście straciłby na ścisłym gospodarczym, więc i politycznym związku z Rosją? Czy Ukraina będzie mogła a przede wszystkim, czy powinna oddalić się od Rosji?

Notuję opinię, która, sądząc po reakcji (ściślej: po braku reakcji) ze strony rozmówców, nie wydaje się światoburczą i odosobnioną. Otóż Kijów nie wyklucza unii rosyjsko-ukraińskiej. Jeszcze dokładniej mówiąc – rosyjsko-ukraińsko-białoruskiej. I nie obawialiby się tego? Ależ nie.

Jak widzą przyszłość Ukraińcy? W pierwszej kolejności stawka na blok wschodniej Słowiańszczyzny (Ukraina, Rosja, Białoruś). W drugiej – przynależność do Wspólnoty Nieza-

leżnych Narodów. Te dwie opcje reprezentowane są najliczniej, w granicach 24% głosów każda. Zdumiewająco niskie notowania zyskała całkowita państwowa niezależność.

Zachłystnęli się wolnością. To zrozumiałe. Rusyfikacja rusyfikacją, a jeszcze w 1992 za niepodległą Ukrainą opowiadało się 91% mieszkańców republiki. Z czego wynika, że nawet tutejsi Rosjanie w przewadze byli stronnikami separacji. Upłynęło pięć lat – i już nieomal co trzeci obywatel oznajmia „Chciałbym, żeby Ukraina weszła do odnowionego Związku Sowieckiego”.

Pamiętam, z jakim niedowierzaniem, więcej, osłupieniem zareagowałam na tę informację nie z magła przecież, tylko z Instytutu Socjologii w Kijowie. Znowu wspólnota z Rosją? Z powrotem do jarzma? Z ich doświadczeniem? „No, teraz to by zupełnie inaczej wyglądało” słyszę w odpowiedzi. I jeszcze „To już nie jest pora na niewolę”. Chciałoby się zaoponować tekstem ze starego żydowskiego dowcipu „A może się założymy?”

Trzeba sobie zdawać sprawę – sporo Ukraińców to rozumie – że pozycja niepodległego państwa, niepodległego przy wszystkich kontrowersjach, biedach, anachronizmach i słabościach, przy wszystkich oporach społeczeństwa, nierozsądkach władzy – otóż że ta pozycja osiągnięta, nie oszukujmy się, dopiero po raz pierwszy w wielowiekowej historii narodu, może być chwiejna jeszcze przez długie lata, ale zaniechana – okaże się niepowtarzalna. Nie jest odosobnione mniemanie Własowa, że ukraińska polityka opuszczenia Rosji zatacza krąg, który może doprowadzić Ukrainę z powrotem do Rosji. W tym kontekście dość dramatycznie zabrzmiała opinia Amerykanki, dr. Mace'a, piszącego o niepodległości Ukrainy, dzisiaj, jako może i ostatniej szansie na zrealizowanie snu o demokracji, niepodległości i sprawiedliwości.

Rozmówcy utyskują na ocenianie Ukrainy „via wczoraszność”. Ich zdaniem to typowe nie tylko dla Polaków. Ośrodek Ukraiński przy uniwersytecie w Harvardzie nie uchronił się od takiego podejścia.

Wydostali się spod sowieckiego buta i to nam wystarczy. Skoro SA antyrosyjscy, MUSZA być propolscy. Koniec, kropka. I już śpimy spokojnie.

W swoim skądinąd bardzo zajmującym szkicu o amery-

kańskich koncepcjach odnośnie Ukrainy – autor, Hruszczenko, z zastanawiającą konsekwencją nie dostrzega Polski. Jako łącznika między wschodem a zachodem już nie tylko Europy, ale świata, Hruszczenko widzi tylko Ukrainę. Można odnieść wrażenie, że nas nie ma na tej mapie jutra.

Inny przedstawiciel Instytutu, kierownik departamentu zajmującego się Azją i basenem Pacyfiku, Władysław Sedniew, wskazuje na konieczność intensywnych analiz i systematyzowania zjawisk zachodzących w związkach ekonomicznych pomiędzy Ukrainą, Chinami, Niemcami i Rosją. Zabrakło w wyliczeniu Polski. Można się zastanowić, czy mądrze zrobiliby akurat w tym wypadku zostawiając Rosję na ostatnim miejscu – ale to ich zmartwienie. Nas nie widzą wcale.

Przyczółek, ostatnia stacja przed Eurazją... Może. Zdaniem Hruszczenki „w samym tylko XX wieku Ukraina zapłaciła milionami ludzkich istnień jako ‘most’, ‘kraj niczyj’, czy jako arena cudzych interesów (...) Teraz nadszedł historyczny moment, by uświadomić sobie i przekonać Zachód i rosyjskich partnerów, że tylko poprzez wejście Ukrainy do zachodnich struktur bezpieczeństwa pakt atlantycki będzie rzeczywiście kompletny...”

Hruszczenko przestrzega, że przy swoim położeniu, które jest „hazardowo ryzykowne (...) Ukraina może znaleźć się między młotem a kowadłem w razie rosnącego nacisku w geopolitycznym otoczeniu... po przyjęciu Polski, Czech i Węgier do NATO jak również ostrej, irracjonalnej reakcji Rosji na rozszerzenie sojuszu obronnego”. Przynajmniej tu zauważona Polska.

Nawet człowiek tak zdawałoby się zorientowany jak Bohdan Osadczyk łudzi się, że „Polska... może, a nawet powinna, stać się przywódcą najpierw nieformalnego – ale z biegiem czasu i doświadczeń – nawet bardziej zwartej – zespołu państw w tym regionie. Idea kompleksu bałtycko-czarnomorskiego mogłaby się stać trwałą koncepcją”.

Na mój nos – nie mogłaby, bo Ukraina już nie na etapie rachub i spodziewań z petlurowskich czasów.

„Ukraina jest także mostem między wschodnią częścią Związku Sowieckiego, Azją i zachodnią Europą. Ukraina jest projekcją na Zachód, we wrogie środowiska zachodniej –

Europy” konstatował w 1927 A. Syniawskij. Natomiast monarchista Wiaczesław Lipyński w latach 20-tych ogłaszał „nikt w Europie nie chce mocnego i dużego państwa ukraińskiego. Wręcz przeciwnie, jest wiele sił zainteresowanych nieistnieniem Ukrainy – a jeśli już, to jak najslabszej (...) Nasze historyczne doświadczenie wykazuje, że jeśli nawet Ukraina znajduje jakichś sojuszników (...) to w krótkim czasie zaczynają oni rujnować to, w czego budowie sami dopomogli. Tak było za czasów Chmielnickiego (...) Podczas narodowej walki wyzwolenczej 1917-1920, znowu zapłaciliśmy zbyt wysoką cenę za poparcie ze strony Niemców, Austriaków i Polski Piłsudskiego”. To – jak dalej konkluduje Syniawskij – utwierdziło Lipyńskiego w przekonaniu, że pomoc z zewnątrz może co najwyżej dopomóc Ukrainie w roli państwa buforowego między Europą i Rosją.

Już wtedy, we wczesnych latach 20-tych, Rudnyckij uważał, że i Rosja i Polska będą spychać Ukrainę ku Morzu Czarnemu w tym sensie, że stanie się ono jakimś wyznacznikiem kierunków polityki ukraińskiej, skierowanej ku Małej Azji. Hruszczewskij, Rudnyckij i Jurij Łypa widzą przyszłą Ukrainę jako najsilniejsze państwo w basenie Morza Czarnego. Syniawskij ma świadomość, że podczas gdy Zachód na długo pozostanie jako partner handlowy tylko odbiorcą surowców oraz półproduktów, to z Azją sprawy mogą wyglądać inaczej, tam może trafiać produkcja finalna.

Opinia Rudnyckiego: kto ma Krym, ten ma w ręku Ukrainę. „Nie będzie niepodległej Ukrainy bez Krymu” jeszcze w 1917 zamieszkiwanego przez ukraińską większość, co do dziś dnia uległo skutecznej dla Rosji zmianie.

Naszym politykom nie zaszkodziłaby lektura tych i podobnych opracowań.

Geopolityka nie tylko w XIX wieku inspirowała tutejszych intelektualistów. Ukraińcy nadal zdają sobie sprawę z politycznej atrakcyjności (przy wszystkich niewygodach) swego usytuowania na pograniczu z Azją. Temat wracał – i wraca – w różnych naświetleniach. Geopolitycy ukraińscy zakładają możliwość nie tylko czarnomorskiej, ale i różnych federacji związanych z Morzem Czarnym i z bliższym nam Bałtykiem. Finlandia, Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś – postrzegane jako partnerzy Ukrainy. Federacyjni partnerzy. Rudnyckij wyklucza Pol-

skę z grona potencjalnych uczestników, argumentując, że jest krajem środkowoeuropejskim i z racji swoich naturalnych powiązań zwróconym ku tamtejszym państwom. W pracy o wymownym tytule „Misja Ukrainy” (Nowy Jork 1953) Łypa stwierdzał, że polityczne znaczenie Ukrainy dla świata leży w fakcie, iż będąc tak wielkim obszarowo krajem, może blokować ekspansję Rosji w kierunku Adriatyku i morza Egejskiego, Azji Mniejszej i Egiptu, oraz uniemożliwić rosyjski *Drang nach India*. Cytuję: „Ziemie ukraińskie w żadnym wypadku nie są zapomnianymi od Boga peryferiami... Obdarzona swoją geopolityczną lokatą i możliwościami handlowymi Ukraina jest jedną z najważniejszych części świata”. Nawet jeśli to przesada, to już za realne uznajemy stwierdzenie, iż „z tych powodów znaczenie Ukrainy będzie wzrastać”.

Inny zajmujący tekst, to „Geopolityczne tematy w myśli ukraińskiej pierwszej połowy XX wieku”. Rosja jako problem geopolityczny. Oleksandr Saltowskij z kijowskiego uniwersytetu im. Szewczenki, reprezentuje tę pierwszą orientację. „Ukraińcy należą do Zachodu, do Europy... decydują o tym nie tylko historyczne więzy, które przez stulecia łączyły życie Ukrainy ze światem zachodnim, ale i narodowy charakter Ukraińców. Dlatego musimy w pierwszym rzędzie odnowić tradycyjne powiązania z narodami europejskimi, ponad wszystko z Niemcami”.

Jego zdaniem Ukraina, odwrotnie niż Rosja, w całej swej historii była zorientowana prozachodnio, „dążyła do swobód ekonomicznych, broniła własności prywatnej”. Zdaniem Pakomowa Ukraińcy są podatniejsi na reguły gry w kapitalizm, bardziej zdyscyplinowani, kulturalni, pracowici.

Siergiej Szergyn, politolog, w szkicu pod znamienym tytułem „Euroazjatycka droga dla Ukrainy?”, zauważa, że niedorzecznością i jakby prolongatą „eurocentryzmu” szaszczepionego w Związku Sowieckim jest „w tak krytycznym dla Ukrainy okresie pukanie do jednych tylko, europejskich drzwi i bierne wyczekiwanie na nową porcję wsparcia ekonomicznego”. Jak twierdzi Szergyn, zmiana nastawienia będzie trudna z uwagi na bardzo silny „anty-orientalny” kompleks Ukraińców, w których historia wykształciła lęk przed „azjatyckością”, jako zagrożeniem narodowej tożsamości społeczeństwa, niemniej – jak nie tęskniliby Ukraińcy do zachod-

nich wzorców, realia ich dzisiejszego życia: przewaga państwa nad społeczeństwem, natrętna wszechobecność państwa, wielka rola ideologii kolektywistycznej, brak rzeczywistych gwarancji praw obywatelskich, zależność obywatela od biurokratycznych struktur, niski poziom, niedorozwój usług i samorządności – to przecież są klasyczne formy azjatyckości, przynajmniej tej tradycyjnie rozumianej.

Azja Azją, a co sądzą o Polsce? Dogonimy was za pięćdziesiąt lat, odpowiada socjolożka Irina. – No tak – mówię – ale wtedy i my będziemy o pięćdziesiąt lat do przodu, nie sądzi w pani? – A nie – ripostuje Irina – za pięćdziesiąt lat to już będziemy szli łeb w łeb.

Pytam, w którą też stronę – jej zdaniem – pójdzie kiedyś wreszcie ustabilizowana, zeuropeizowana Ukraina. Bardziej ku Rosji, czy jednak – ku Polsce? „Ani tu, ani tam” odpowiada Irina. Dobra odpowiedź, tylko czy realna?

Na łamach *Dumki* zdumiewająco pomijana Polska. Jakby nas nie było. Mnóstwo (i bardzo ciekawie, wnikliwiej niż u nas) o Rosji, sporo o Rumunii (spory graniczne jeszcze nie ostygły) a na przestrzeni roku jeden, prawie nie wychodzący poza okres międzywojenny i peerelowski tekst o Polsce. Co to jest? Przecież głupotą byłoby odpowiedzieć: przeczcucie?

W numerze 2-3 (6) z 1995 Włodzimierz Reprincew spisał kalendarium zbliżenia z Polską, „pierwszym państwem, które uznało niepodległość Ukrainy w grudniu 1991 – nawet wcześniej – z końcem 1989, grupa polskich posłów przybyła na Pierwszy Kongres Ludowego Ruchu Ukrainy i poparła niepodległościowe dążenia narodowych demokratów (...) Ważną kontynuacją polsko-ukraińskiego dialogu było spotkanie parlamentarzystów w maju 1990 w Jabłonnej pod Warszawą. Deklaracja zasad i priorytetów głównych w stosunkach ukraińsko-polskich, podpisana 13 września 1990, oraz Traktat o Dobrym Sąsiedztwie, Przyjacielskich Stosunkach i Współpracy z 18 maja 1992 położyły fundament pod równorzędne strategiczne partnerstwo dwu państw”.

Słuszne, tylko, że zbyt deklaratywne, jak na pismo wyróżniające się tendencją do proponowania – i kwestionowania.

Nie zetknęłam się z jakimś wyraźniejszym politycznym zainteresowaniem Polską. Przyjazne stosunki teraz i w

przyszłości, tak, powinniśmy być ze sobą dobrze, ale nic ponadto. Żadnych wspólnot, żadnych koalicji. Jeśli Ukraina zacznie się rozglądać za wspólnotą, znajdzie ją przy Rosji.

Moja rozmówczyni nie upiera się, że to jedyne wyjście, ona tylko chciałaby mi przypomnieć, że należy liczyć się z faktami. W sondażu poglądów na przyszłość republiki znalazło się pytanie „Jak zapatrujesz się na koncepcję przyłączenia Ukrainy do związku Rosji z Białorusią?”. Zdecydowany sprzeciw zgłosiło 7%!

Ja swoje: że po tylu stuleciach... tak twardych rachunkach... Oni z politowaniem: „pani Anna, o czym my mówimy? Radość z państwa, w którym poborów nie dostaje nawet górnik?”

I znów *leitmotiv* ukraiński, dylemat wracający jak bumerang: „proszę sobie przedstawić armię, której nie płacą, proszę tylko pomyśleć o rozmiarach konfliktu socjalnego, który przecież nie słabnie, jest niestety wręcz przeciwnie”.

Zdaniem rozmówców, w tej sytuacji ekonomicznej parlament może być tylko lewicowy. „Tylko czy nam starczy siły na parlament? Jeśli wystarczająco możne *lobby* bankierów, osób związanych z kapitałem, zechce go rozgonić, Ukraina nie zaprotestuje. Widziała pani sondaże? No więc”.

W 1997-ym wystąpienie Landsbergisa, który oznajmił, że niepokoją go wypowiedzi rosyjskich parlamentarzystów o *ex Pribaltice* jako o „terytorium utraconym”, w domyśle – wartym odzyskania, informację, złowrogą, jak mi się zdaje, nie tylko dla Litwy, u nas zamieszczono na dalszych stronach gazet. Rosjanie chyba nie zadowolą się jednym portem nad Bałtykiem, Litwa chyba nie odda dobrowolnie Kłajpedy... Wiadomość przeszła niezauważona, chyba.

Przecież to wszystko – cały układ niepodległościowy w granicach dawnego Związku Sowieckiego, to jest nadal duża beczka prochu. Rosjanie w tym momencie mają może i ważniejsze kłopoty, zresztą nie są to czasy na siłowe rozwiązania. *Nu poka*, jak się u nich mówi. Do Ukraińców dociera, że rosyjski kryzys jest sprawą przejściową, że imperium – już nie sowieckie, już znowu rosyjskie – przetrwa.

Wprawdzie Puszkina napisał – przypomina Skuradywski – że jednym z defektów panowania Katarzyny II było zniewolenie Małorusi, ale nie przeceniajmy poetów.

Eurasia czy Ukrasia? Tak, stawiają sobie to pytanie. Główne jednak – czy dojdzie do trzeciego etapu niewolnictwa? Czy możliwy jest powrót Związku Sowieckiego? To pytanie żyje. Nie u nas. U nich. Z bliska lepiej widać. Za jego zasadnością przemawia umacniająca się opinia, że stabilność Zachodu słabnie. Słabną i Stany Zjednoczone, bo napiera, i z jakim impetem ekonomicznym, Azja, bo tylko ZSSR rozwiąże problem Krymu, Transdniestrii, wschodniej Ukrainy, floty czarnomorskiej i Kaliningradu.

Zaskakujące nastroje. Wyczulenie na fakty, które w Polsce przyjmujemy z nieuwagą.

Racjoniści przewidują Ukrainę albo „przytosijską”, albo zaakceptowaną (co jeszcze nie nastąpiło) i zasymilowaną przez Zachód. Właśnie: przez Zachód, zaczynając od Niemiec. Nie od Polski! Jak pisze *expressis verbis* Własow, „tylko i wyłącznie chęć przeciwstawienia się Rosji, determinującą jak dotąd zagraniczną politykę Ukrainy, wywołała dążność Polski do strategicznego partnerstwa z Ukrainą” (*It's not orientation towards Ukraine's own interests but a desire to oppose Russia...* potwierdza anglojęzyczna edycja *Dumki*. To zresztą jest ogólne przekonanie).

Coś zazgrzytało. Zupełnie nieoficjalnie, całkiem z lekka, a jednak.

Popętniliśmy jakiś błąd już w pierwszej, cieplarnianej fazie stosunków z nimi. Błąd, czy niezgrabność. Do tego każda kolejna Rzeczpospolita ma lekką rękę. Coś zazgrzytało i przy całej autentycznej chęci podtrzymania przyjaźni, współdziałania, stają się mniej uważni na nas. Szczere zobowiązanie za fakt, że pierwsi uznaliśmy ich państwo, nie wystarcza na pierwszeństwo w partnerstwie.

Tylko nieliczni działacze zauważają, że Polska przestaje się liczyć jako tradycyjny wzorzec kultury europejskiej, znaczący pośrednik między Zachodem a Wschodem kontynentu, i że ktoś nas zastąpi, a nie każda nowa sytuacja jest do cofnięcia. I do odżałowania.

Transfer nowych technologii, a nie: starych dominacji, to jest to, o co dzisiaj idzie. Jak zauważył w trakcie wizyty prezydent Kuczma, wspólny interes może nas połączyć znacznie silniej niż podzieliła historia.

Pierwsi uznaliśmy niepodległość Ukrainy: mądry ruch na

szachownicy, tylko gdzie ten następny? Pięć lat ukraińskiej państwowości minęło bez jakichkolwiek dalszych zauważalnych posunięć po obydwu stronach. Bez jakichkolwiek zmian o istotnym znaczeniu. Ukraińcy podkreślają niedopowiedzianą, wręcz nieokreśloną łokatej Polski i na Zachodzie, i w strefie byłych wpływów sowieckich. Tak bardzo się mylą?

Zarzucają nam „moskwocentryczność”, patrzenie na Wschód (jeśli w ogóle tam patrzymy) z kompletną nieuwagą na taki drobiazg jak to, że od Rosji oddziela nas kraj większy od naszego. Jedyne poselstwo ukraińskie w Polsce (u nich Polacy w ogóle nie mają reprezentanta w parlamencie) zauważa u naszych polityków niepewność, czy Ukraina nie jest aby państwem sezonowym. Podczas dyskusji telewizyjnej (wizyta prezydenta Kuczmy wreszcie zainteresowała media aktualną tematyką ukraińską: na krótko) lwówianin Edward Łozowij skonstatował, *expressis verbis*, że w wypadku niebezpieczeństwa ze strony Rosji poparcie ze strony Polski nie jest brane pod uwagę. Cóż, wyrażona w 95-tym roku opinia Zbigniewa Brzezińskiego, iż gdyby Polska musiała wybierać pomiędzy wejściem do NATO a niepodległością Ukrainy – w naszym interesie leżałoby to drugie, też daje do myślenia. U nas jakby nie dała.

Jak oceniał w *Mysli Politycznej* Włodzimierz Reprincew, „Istnieją dwie znaczące siły polityczne w dzisiejszej Polsce, jedna 'proeuropejska', liberalna i druga 'antyeuropejska', konserwatywna. Obydwie dobrze odnoszą się do Ukrainy. Marginalne są publikacje, szerzące prorewanżową nostalgię, jak to czyni jedno z tzw. ugrupowań kresowych, Towarzystwo Miłośników Lwowa, (...) zdarza się zgłaszanie nawet terytorialnych pretensji. Jednak te artykuły i publikacje nie odzwierciedlają oficjalnych postaw, nie stoi za nimi jakakolwiek wpływowa siła polityczna”. Pisząc dalej, iż „współczesna Polska jest zainteresowana głównie uplasowaniem się w Unii Europejskiej i w NATO, uważanym przez nią za jedyną strukturę zdolną zagwarantować bezpieczeństwo całej Europy” Reprincew zauważa równoległą tendencję Warszawy do rozwoju stosunków ze Wschodem, „w przełamywaniu nowych barier w Europie”.

Autor szkicu bez komentarza relacjonuje ideę „Między-

morza”, swego czasu głoszoną przez lidera KPN. Reprincew przypomina, że projekt, w którym chodziło o maksymalną integrację państw wschodnioeuropejskich pomiędzy Bałtykiem, Adriatykiem i Morzem Czarnym, służącą zabezpieczeniu w równej mierze przed postindustrialnym Zachodem, co przed szowinistyczną Rosją, wzbudził entuzjazm w niektórych kołach politycznych Ukrainy, że poparł go głównie RUCH, który przed kilku laty wystąpił z bardzo zbliżoną koncepcją, dobrze korespondującą z „Europą-bis” ex-prezydenta Wałęsy.

Nie za wiele wynikało z tego entuzjazmu. Bardzo jednoznacznie ocenia sprawę Siergiej Własow z Instytutu Światowej Ekonomii i Stosunków Międzynarodowych, sceptycznie zapatrujący się na nasze zaangażowanie w „strategiczne partnerstwo Ukrainy i Polski, o którym tak głośno”. Zdaniem tego autora wczesna, bo z 1922, koncepcja unii bałtycko-czarnomorskiej upadła, bo głównej roli dla siebie oczekiwali zarówno Ukraińcy, jak Polacy. Cytuję Własowa: „Ukraina chciała być numerem 1 w strategicznym partnerstwie z Polską. Lecz to było sprzeczne z interesami Polski, która (...) planowała odegranie swej własnej roli w regionie”.

Teraz, jeśli idzie o jakąkolwiek inną koncepcję, nie nas bierze pod uwagę Kijów. Wśród projektów „Dokument 2005”, w którym mówi się o nowej federacji: miałyby powstać do roku 2000, czyli już lada chwila, obejmując Rosję, Białoruś, Kazachstan, prawdopodobnie – Armenię, Ukrainę (całą lub w jakiejś części), potem Gruzję, Kirgizję... i tak dalej, przy czym „dalej” oznacza jeszcze 9 innych republik. *No comment.*

„W każdym razie (pisze Własow) orientacja na tego typu partnerstwo bynajmniej nie jest dla Polski zagadnieniem priorytetowym, czego dowiodła polska inicjatywa dostania się do NATO. Oznacza to kolejną stratę dla Ukrainy, tym bardziej, że polska inicjatywa nie była aprobowana przez prezydenta Rosji. Lecz nawet po tym jak rosyjska dyplomacja odwołała swoje poparcie dla polskich starań (...) to nie względ na interes Ukrainy, ale chęć przeciwstawienia się Rosji determinuje polską politykę zagraniczną...”

Dla Ukrainy głównym partnerem i zasadniczym problemem pozostaje Rosja, i to się zbytnio nie zmieni. Polska

jakby w tle. Na dalszym planie. Przestaliśmy zagrazać, nie zgłaszamy roszczeń, można z nami robić interesy, jednym słowem zrealizowało się sąsiedztwo i partnerstwo wolne od złych niespodzianek: niby dużo, jednak z tych nowych niepodległościowych swoich pozycji Ukraina znowu patrzy ponad Polską. Tego nie przykryją ani poselskie frazesy, ani zadufkowatość ministrów. Poza Giedroyciem zdaje się jeden Brzeziński wyczuwa sytuację, ale ani jego kijowskie wystąpienie, o którym wspominałam, ani dosyć znamienity tekst z *Politycznej Dumki* nie są znane w Polsce.

Ukraińcy chętniej mówią o sobie: Słowianie, niż Europejczycy. W pierwszej kolejności za Słowian uważa się aż 70%. Tylko co dziesiąty respondent poczuwał się do obydwu „opcji”. Może i to nie jest bez wpływu na zdumiewającą (ale Polaków!) ospałość w dystansowaniu się od Rosji.

Według dr. Gerharda Wettinga z Federalnego Instytutu Studiów Wschodnioeuropejskich w Kolonii „Ukraina może jak najbardziej zdecydowanie sprzeciwić się integracji z Rosją. Jednak to wcale nie musi oznaczać, że identyczne jest stanowisko narodu”.

Inny przedstawiciel Instytutu, dr Gerhard Simon, wskazuje na inne zagrożenie dla niepodległości republiki: „Przewaga sił politycznych w Rosji bynajmniej nie uważa niepodległości Ukrainy za nieodwołalną”.

Tak, na Ukrainie mówi się (i co gorzej, myśli) o ewentualności powrotu. O ponownym ślubie z Rosją. Niby zawsze można będzie się wycofać. Nie spodoba nam się we Wspólnocie, to z niej zrezygnujemy. Siłą nas nie zatrzymają. Nie te czasy, nie ta Rosja...

Ależ nie, Rosja nie zatrzyma Ukrainy siłą, tylko Ukraina już nie będzie miała siły odejść. Żadnej siły. Gospodarczej, politycznej, kulturowej. Żadnej.

Przypuszczam, że proces rusyfikacji, od stuleci toczący Ukrainę, i generalnie biorąc – nie taki znów dla ukraińskiego ogółu bolesny – proces, jakby się zdawało, w nowej konfiguracji osłabieniu by nie uległ, natomiast zaczęłyby słabnąć mechanizmy, które go powstrzymywały.

Nie takie to proste z antyrosyjskością Ukrainy. Małżeństwo było złe, niemniej – było. Ukraińców z Rosją łączyła oczywistość nie do wyminięcia, przekreślenia, więc współza-

leżność kultur, więc bliskość językowa. A czy zdają sobie sprawę, ilu Rosjan zamieszkuje Wschodnią. I co my – Polacy – wiemy dzisiaj o mniejszościach? Mamy ich jakieś 4%, Ukraina ma 40. Można nad tym łać rękę, ale zmienić – nie można.

Postrzegana tak lub inaczej – Rosja pozostaje tym głównym odniesieniem ukraińskich obaw, spodziewań, sceptycyzmów. Do Rosji odnoszą się zastarzałe lęki i świeże nadzieje.

Państwo ukraińskie: nowy obraz regionu, nowy układ sił we wschodniej Europie. (Nie ma jeszcze państwa, jest prototyp, wtrąciłby Bystryckyj).

Cytuję Brzezińskiego, który stwierdził w przemówieniu z okazji otwarcia Fundacji Antonowicza w 92-im roku: „Niepodległa Ukraina zmienia geopolityczną mapę Europy. Jej zaistnienie jako państwa jest jednym z trzech najważniejszych geopolitycznych wydarzeń w XX wieku. Pierwszym był upadek Austro-Węgier w 1918-tym. Drugim – podział Europy na dwa bloki w 1945-tym”.

Dla Ukrainy istotniejsze byłoby, gdyby to powiedział Kissinger, ale perspektywy stosunków z Niemcami są i tak dobre.

Ukraińcy są spragnieni potwierzeń – i samopotwierżenia. Brzezińskiego opublikowała *Suczastnist* pod znamienym tytułem „Ukraine is to become a European nation”, Ukraina musi się zeuropeizować.

Jak to sformułował Siergiej Własow – niepodległość Ukrainy stała się poniekąd siłą przetargową w dyplomacji. Niemcy już dzisiaj zaczynają widzieć Polaków przede wszystkim jako pośredników w kontaktach z Ukrainą. W przyszłości ta tendencja może się rozrosnąć grubo ponad potrzeby i korzyści Polski.

Zaistniało państwo, które odegra znaczną rolę w przyszłości. Nie założylabym się, że korzystną dla Polski. Jeszcze się o to nie założę.

Anna STROŃSKA

Efekt Pajęczyny

Euforia

Według najnowszej oceny Öhrlings Coopers & Lybrand (*FT*, 7-9 III 98) Norwegia, Szwecja i Finlandia znajdują się w absolutnej czołówce europejskiej pod względem rozpowszechnienia tzw. INFOCOM (telefonia stacjonarna, mobilna, i komputery podłączone do sieci). W zakresie telefonii Szwecja zajmuje w ogóle pierwsze miejsce na świecie, a drugie – po USA – pod względem części GDP przeznaczony na rozwój technik informatycznych. Fakt, iż na IT wydatkuje Szwecja sumę odpowiadającą 2,9% swojego produktu krajowego brutto nie mówi tak wiele, bo pieniądze można wszak też trwonić. Jednak w tym wypadku nie można mówić o wydatkach bezproduktywnych, bo i wyniki są imponujące. W niewielkim społeczeństwie szwedzkim (8,8 mln mieszkańców) około 3 miliony ma stały dostęp do Internetu. Na sieci czyta się gazety, załatwia swoje transakcje bankowe, dyskutuje, wysyła listy i oferty, przegląda wyniki testów samochodów, sprzętu elektronicznego i innych produktów, handluje akcjami, zamawia bilety, a nawet posiłki do domu. Torget, uruchomiony przez pocztę największy szwedzki *site* internetowy, odwiedza codziennie ćwierć miliona osób; socjaldemokratyczny *Aftonbladet* ma na sieci 74 tysiące codziennych czytelników. A przecież w zakresie dostępu do Internetu nie jest Szwecja prymusem wśród państw nordyckich. Według statystyki opracowanej przez UBS Global Research liczba komputerów podłączonych do sieci na 1 tysiąc mieszkańców wynosiła z końcem roku 1997:

Finlandia	– 59
USA	– 34
Norwegia	– 31
Szwecja	– 24
Dania	– 15
Szwajcaria	– 15
Holandia	– 14
Wielka Brytania	– 12
Niemcy	– 9
Japonia	– 6
Francja	– 4

Istnieją oczywiście też psychologiczne powody tej szalonej popularności Internetu właśnie w krajach nordyckich. Jednym z nich jest rzeczywiście dobra i powszechna znajomość języka angielskiego, w którym najbogatsza jest sieciowa oferta usług z całego świata. Innym – jest pewna mizantropia mieszkańców Norden. Kolega-informatyk przekonywał mnie kiedyś, iż komunikacja sieciowa nigdy nie zdominuje Francji, gdyż Francuzi mają bistra i kafejki. Natomiast Szwedzi czy Norwegowie przedkładają internetowy *chat* czy chociażby *e-mail* nad komunikację bezpośrednią; niczym niezwykłym nie jest, gdy przez sieć rozmawiają osoby mieszkające bardzo blisko siebie, czy nawet w tej samej kamienicy w centrum Sztokholmu lub Helsinek. Nie trzeba się golić, ubierać, czy – w wypadku wizyty domowej – sprzątać *living-room*'u. Nie trzeba nawet mówić, wystarczy stukanie w klawiaturę, przy czym nie jest nawet konieczna znajomość ortografii, gdyż program automatycznie koryguje wszelkie błędy. A ponadto czy jakikolwiek pub lub kawiarnia może konkurować ze zgrupowanymi na *Usenet* 25 tysiącami grup dyskusyjnych, od Hongkongu do Islandii i od Norwegii do Argentyny? Ludziom, zwłaszcza młodym, coraz mniej zależy na spotykaniu jakichkolwiek przedstawicieli swojego gatunku, gdyż preferują kontakt z osobami mającymi podobne zainteresowania, pasje, hierarchie wartości etc. A na Usenecie (część Internetu) każdy znajdzie to czego szuka, można tam spotkać wszelkie możliwe typy: od astrofizyków do współczesnych czarownic, od glaciologów do masochistów i uzyskać każdą informację, z przepisem na prostą konstrukcję efektywnej bomby włącznie.

Dywagacje nad powodami popularności i dostępności Internetu w Norden zostawmy jednak socjologom sieci. W tym miejscu wystarczy konstatacja, że Norwegia, Szwecja i Finlandia w największym stopniu uległy *digitalnemu* szaleństwu naszych czasów. Nicholas Negroponte, autor głośnej książki „Being digital” i szef amerykańskiego MIT Media Lab, powiedział niedawno, że informatyczne zaawansowanie społeczeństw Norden jest tak daleko posunięte, iż nosi się z zamiarem założenia Media Lab II 2 właśnie w Szwecji (*DI*, 12 III 98). Norweski minister gospodarki, Lars Sponheim przewidywał w wywiadzie dla *Dagens Telecom*, iż już w bliskiej przyszłości usługi IT będą dla gospodarki jego kraju równie ważne co zasoby nośników energii. Dlatego rząd premiera Bondevika opracował ambitny plan jeszcze intensywniejszego rozwoju IT w ciągu najbliższych trzech lat, ze szczególnym uwzględnieniem modernizacji sprzętu w szkołach, rozbudzania informatycznych zainteresowań wśród dziewcząt i zwiększenia możliwości nauczania przez sieć. Ostatecznie jednym z największych walorów sieci jest anihilacja przestrzeni. – Już dzisiaj są w Norwegii ludzie – powiedział minister Sponheim – którzy po zakończeniu codziennej pracy w domu ekspedują jej wyniki *via e-mail* do Jakarty (cyt. wg *FT*, 7-9 III 98).

W Szwecji propaganda nieograniczonych możliwości IT była przez dłuższy czas domeną mieszczańskej partii moderatów. Jej *leader* i były premier, Carl Bildt oskarżany jest nawet o zaniechanie parlamentu i poświęcanie większości swego czasu na bezpośrednie spotkania z wyborcami i rozsyłanie listów elektronicznych (skądinąd trudno mu się dziwić, bo i kto dziś śledzi obrady parlamentu?!). Socjaldemokratyczna pani minister Ines Uusman wstawiała się nawet zgryźliwą uwagą, że Internet to tylko przejściowa moda. Jednak ostatnio socjaldemokraci zrozumieli swój błąd, a w jego korygowaniu nie ograniczyli się tylko do peanu, jaki na cześć IT i sieci wygłosił premier Göran Persson. Zmieniono także przepisy podatkowe w taki sposób, że firmom, czy związkom zawodowym opłaca się oferować sprzedaż komputerów na raty swoim pracownikom czy członkom. Własny komputer w domu, za bardzo niską opłatę miesięczną, stał się nagle czymś łatwo dostępnym po prostu dla każdego:

także dla szpitalnej salowej, przedszkolanki, kierowcy autobusu etc. Prognostyczna firma IDC oblicza, że w roku bieżącym dostawcy sprzedadzą w Szwecji około miliona nowych komputerów, z czego 30% przypadnie na ratalną sprzedaż za pośrednictwem zakładów pracy bądź różnych związków zawodowych (DI, 11 III 98). Gdy w szwedzkim sklepie monopolowym polski rencista-alkoholik poinformował mnie, że właśnie nabył komputer oraz abonament Internetu, doszedłem do wniosku, że cała już Szwecja rzeczywiście wkroczyła w erę *digitalną*.

Oskoma

W dawnych dobrych czasach – gdy nie istniała jeszcze Światowa Pajęczyna (*World Wide Web*) i nie korzystało się z myszki, wpisując komendy na klawiaturze – Internet służył głównie do komunikacji pracowników nauki i bibliofilów, bobrujących po różnych OPACS (Online Public Access Catalogues). Sieć była wówczas domeną międzynarodowej grupy sympatycznie trąconych entuzjastów. Prawdziwa rewolucja nastąpiła z wprowadzeniem języka HTML (Hypertext Markup Language), który umożliwia komunikację multimedialną: łączenie tekstu i grafiki z dźwiękiem i obrazem video, a także *surfing* po sieci, korzystanie z wielu dokumentów jednocześnie, niezależnie od tego, czy fizycznie znajdują się w Oslo, Nowym Jorku czy w Auckland. Internet zaczął się błyskawicznie komercjalizować i wkrótce stał się dżunglą, w której można znaleźć wszystko: horoskopy, porady seksualne, testy produktów i usług (z biurami podróży włącznie), wszelkie możliwe Kościoły i sekty, poetów czytających własne wiersze, ogłoszenia matrymonialne i oferty pracy, panie swobodnych obyczajów, komunistów i antykomunistów (świetne Museum of Communism prof. B. Caplana z Princeton), specjalne *site'y* dla pacjentów o chorobach, diagnostyce i metodach terapii, rady dla hodowców kaktusów, kotów, węży etc., nazistów i ich tropicieli (na wielki szacunek zasługuje tu Marc Knobel z paryskiego Centrum Szymona Wiesenthala, który zinwentaryzował ponad 600

site'ów nazistowskiej propagandy na sieci). Internet dorobił się nawet własnych gwiazd czy postaci kultowych, np. z mało zrozumiałych powodów niewiarygodnym powodzeniem cieszy się dość przeciętna aktorka Gillian Anderson, której poświęcono blisko 16 tysięcy (*sic!*) *site'ów* na całym świecie. Naturalne medium tak niewiarygodnie szybko musiało przyciągnąć uwagę businessmenów – osobników uważających, iż marzenia każdego człowieka w zasadzie koncentrują się tylko dookoła dwóch czynności, jakimi są *shopping* i *fucking*. Mass-media jeszcze podsycaly nadzieję na ogromne zyski, nie bacząc na fakt, że duch sieci jest z założenia czysto anarchiczny, a ideowi potomkowie Proudhona i Kropotkina kiepsko nadają się do zarabiania pieniędzy (nb. jeszcze dziś większość udostępnianych w Internecie programów jest bezpłatna).

Istnieją właściwie tylko trzy sposoby zarabiania pieniędzy na sieci: dwa pośrednie i jeden bezpośredni.

Pierwszy z nich to pobieranie opłat za prenumeraty czy elektroniczne „bilety wstępu”. Mówiąc krótko, ten sposób okazał się wręcz całkowitym niewypałem, z dwoma wyjątkami, którymi są pornografia i niektóre serwisy wyspecjalizowanej informacji polityczno-finansowej. W zasadzie każdy woli czytać gazety i czasopisma w postaci druku na papierze niż na ekranie. Ponadto ze względów oczywistych pisma mogą być w wersji elektronicznej rozpowszechniane tylko w dwojaki sposób: albo w wersji częściowej (często najciekawsze artykuły sygnalizuje się jedynie streszczeniem, licząc na to, że zachęci to sieciowego odbiorcę i kupi on także numer drukowany), albo w wersji pełnej, ale opóźnione w stosunku do wydania tradycyjnego. Tak np. miesięcznik *Internetworld* udostępniany jest na sieci w całości, ale z miesięcznym opóźnieniem, w stosunku do wersji drukowanej. Ponieważ czytelnictwo prasy ciągle spada i ponieważ są już dziś wielkie grupy, które czytają jedynie to, co znajduje się na sieci, publikowanie pism w wersji elektronicznej jest rodzajem marketingu. Redakcje liczą na zachęcenie odbiorcy, który normalnie pism typu *Polityka*, *Der Spiegel* czy *The Atlantic Monthly* nigdy do ręki nie bierze. Na dość podobnej zasadzie działają serwisy informacji profesjonalnej. Przykładem może być świetny *site*, uruchomiony w Estonii przez *Baltic News*

Service (<http://investor.bns.ee>), skądinąd zawierający także *Nowosti po ruski*. Podaje on informacje z całego Balticum, a w roku 1999 chce informacyjnie objąć całą Europę Wschodnią. Ledwo jednak czytelnicy tych świetnych informacji zdążyli się przyzwyczaić do elektronicznych biuletynów BNS, gdy im „zaserwowano niespodziankę”: od 1 kwietnia 1998 usługa jest płatna, czytać mogą tylko ci, którzy wykupią abonament i otrzymają hasło-klucz.

Drugi pośredni sposób zarabiania na sieci: reklamy, przez dłuższy czas zwalczany był przez ortodoksyjnych internautów. Przynajmniej, że gdy w roku 1994 (dla Internetu to już epoka prehistoryczna!) dwóch amerykańskich prawników umieściło w sieci ogłoszenia o usługach swojej kancelarii, teleoperator musiał ze względów technicznych wyłączyć ich z sieci, gdyż komputery kancelarii zablokowane zostały tysiącami wrogich listów z obelgami, pogróżkami etc. Od tego czasu sytuacja zmieniła się diametralnie i gdy dziś podłączam komputer do Internetu, ekran zawsze zaśmiecony jest mnóstwem reklam. W dodatku – co podkreśla Ariel Poler w książce „Architects of the Web” – Internet umożliwia marketing ukierunkowany z chirurgiczną precyzją na preferencje potencjalnego konsumenta. Wielu surfujących po sieci nie zdaje sobie sprawy, że firmy reklamowe rejestrować mogą każdy ruch ich myszki. Gdy po raz pierwszy połączyłem się z internetową księgarnią Amazon, już następnego dnia w moim domowym komputerze znajdowały się przeróżne *cookies* o nowościach wydawniczych. Na podstawie *site’ów*, z którymi się łączę, opracowany może być mój bardzo dokładny profil, uwzględniający gust kulinarny (komuś, kto przegląda strony wegetariańskie nie będą wysyłać reklam befsztyków), preferencje seksualne, strukturę konsumpcji, nawet wykształcenie i typ zajęć zawodowych. Może też dochodzić do zabawnych nieporozumień: przyjaciel mój – słusznie uważający samochód za twór szatana – bombardowany był reklamami firm samochodowych, gdyż przeglądał na sieci statystyki wypadków drogowych. A jednak mimo wszystkich kruczków marketingu ukierunkowanego reklamy na sieci wydają się być ślepą uliczką. Według statystyk jednego z pism fachowych (*Internetworld*, nr 2/98) zaledwie 3% szwedzkich użytkowników Internetu „klika” myszką na reklamowe okienka i przegląda dostarczane im

anonse. Trudno powiedzieć dlaczego tak mało. Najczęściej podaje się wyjaśnienie, że TV ludzie oglądają dla przyjemności, a więc ostatecznie mogą tykać reklamy; komputer jest jednak przede wszystkim narzędziem komunikacji i pracy, a podczas tych czynności jego użytkownicy nie chcą otrzymywać informacji o zaletach samochodu Toyota, seksownej Zuzi, czy oliwy tłoczonej z pestek winogron.

Bezpośrednim sposobem wykorzystywania sieci do celów merkantylnych jest sprzedaż towarów i usług. Z oczywistych względów pewne towary (książki, płyty CD, etc.) bardziej się do tego nadają niż inne (ubrania, sery etc.). Jednak prawdziwa przyszłość Internetu to chyba sprzedaż usług, w tym własnej, wykonywanej w domu pracy. W chwili obecnej najlepiej rozwinięte są usługi finansowe. Szwedzki koncern finansowo-ubezpieczeniowy, Trygg-Hansa był pierwszą firmą na świecie, która uruchomiła na sieci tzw. serwis bezpośredni: 2 tysiące klientów dziennie łączy się przez Internet nie tylko z komputerami Trygg-Hansa, ale także z jej żywymi pracownikami i otrzymuje bezpośrednie odpowiedzi. Dziś Trygg-Hansa, połączona z S-E-Banken rodziny Walenbergów, ma 134 tysiące stałych klientów sieciowych: wszystkie kontakty z bankiem załatwiają oni za pośrednictwem Internetu. Dodajmy, że opracowany właśnie w koncernie Trygg/S-E-Banken system SET (Secure Electronic Transaction) jest – chwilowo jeszcze tylko dla posiadaczy kart Visa – pierwszym, całkowicie bezpiecznym systemem płatności na sieci, dostępnym zwykłemu klientowi. Są to zresztą dopiero początki digitalnej rewolucji na demonopolizowanych rynkach. Nadmienmy, że w Kalifornii firma Green Mountain Energy rozpoczęła nawet internetową sprzedaż energii elektrycznej: kupuje, gdzie najtaniej i sprzedaje każdemu, kto przez *e-mail* prześle zamówienie.

Homo ludens w postmodernistycznej Pajęczynie

Szwedzka *Gazeta Finansowa* prezentowała ostatnio wzory dynamicznych businessmanów sukcesu. W jednym z ostatnich numerów przedstawiono sylwetkę bardzo młodego założyciela i głównego menedżera multimedialnej sieciowej

firmy Ican Medialab, działającej już w siedmiu krajach, a przygotowującej się do wejścia na rynki trzech następnych. Tenże Johan Staël von Holstein większości swego personelu w ogóle nie widuje, gdyż komunikuje się z nimi przez Internet. Wywiad z von Holsteinem nosił znamieny tytuł: „Nienawidzę hierarchii” (FT, 27 III 98).

Młody Anders Nordner – który po ukończeniu Politechniki zdążył w swoim dotychczasowym życiu być już informatycznym konsultantem, programistą, inżynierem w dziale badawczym multinarodowej korporacji ABB w Szwajcarii, bezrobotnym włóczęgą, tłumaczem tekstów fachowych, pracownikiem projektu badawczego odnośnie AI (sztucznej inteligencji), a dziś jest szefem marketingu koncernu Apple na całe Norden – najtrafniej chyba formułuje *credo* swojego pokolenia: „Zrobić karierę, to móc się cały czas bawić” (MA, marzec 1998).

Trzeba stwierdzić z całą stanowczością, że dzieci hippiesów zapoczątkowały ewolucję postaw mającą konsekwencje społeczne równie głębokie – a najprawdopodobniej bardziej trwałe – co rewolucja obyczajowa ich rodziców. Konieczne są tu jednak trzy zastrzeżenia.

– Powyższa konstatacja o ewolucji postaw nie dotyczy całej generacji X, a jedynie jej awangardy. *Homo consultus*, robiący karierę-zabawę w branży IT, to jednak absolwent świetnej uczelni (na której przede wszystkim nawiązał stosowne kontakty) i człowiek zamożny, często milioner, choć jedynie w skandynawskich koronach, a nie w dolarach.

– Ponadto sama specyfika sieci, z jej aksjomatycznym brakiem wszelkiej hierarchii i totalnym egalitaryzmem, musi się przyczyniać do zmiany postaw. Także możliwość pracy w domu zaciera granice między czasem wolnym i czasem zajęć zawodowych, a opłacane są z reguły nie godziny pracy, a jej konkretny wynik.

– Wreszcie duże znaczenie musi mieć zmiana całego paradygmatu rynku pracy. Po krachu szalonych lat 80-tych zaszła konieczność prowadzenia polityki silnie antyinflacyjnej, w Europie związanej z tworzeniem EMU i docelowym budowaniem Federacji. Przyczyniło się to nie tylko do wzrostu bezrobocia, ale przede wszystkim do utraty pewności zatrudnienia, zresztą nie tylko w Europie, nawet w Japonii. Krach

Związku Sowieckiego wyeliminował zagrożenie zachodnich partii komunistycznych, zaostrowana globalizacją konkurencja – teraz już w skali planety – spowodowała, iż w wielu branżach zaczął dominować typ *just-in-time* zatrudnienia; coraz mniej ludzi ma stałą pracę w jakiejś jednej firmie. Młody absolwent uczelni, który widział jak jego papa po dwudziestu latach pracy w banku, administracji czy ubezpieczeniach został bezrobotny, w dodatku bez możliwości znalezienia innej pracy, czy którego mamie wręcz zasugerowano, że kobieta w jej wieku powinna piastować wnuczęta, a nie zajmować miejsce w ośrodku badawczo-rozwojowym – taki młody człowiek będzie przedkładać *pracę na swoim* od najbardziej prestiżowego pracodawcy. Amerykańska początkowo, a dziś już międzynarodowa ogromna firma ManPower żyje z wynajmowania personelu na godziny; od sekretarek i telefonistek, do specjalistów komputerowych i księgowych. Jest oczywiste, że kto tylko może, woli pracować dla siebie niż dla ManPower czy innego bezwzględniego pracodawcy podobnego typu. Według „Raportu o latach 90-tych” Bi Puranen, aż 85% szwedzkich chłopców i 76% dziewcząt w wieku 19-25 lat wolałoby pracować we własnej firmie niż być u kogoś zatrudnionym. Amerykański guru, Tom Peters mówi o *the brand called You*, co absolwenci dobrych uczelni w Norden przekładają na dewizę: „Nie szukaj pracy, stwórz ją dla siebie!”.

Niezależnie jednak od powyższych, zewnętrznych i obiektywnych okoliczności, wśród pokolenia, które karierę zawodową rozpoczęło w latach 90-tych nastąpiła ważna zmiana postaw. Jeszcze w latach 70-tych cenił się tytuł i stanowisko oraz praca w wiodących firmach przemysłowych. Youppie lat 80-tych pracował głównie w firmach finansowych, a cenił już tylko „szybkie pieniądze” i symbole statusu (obowiązkowy Porsche etc.). *Homo ludens* z ery IT pracuje w firmach informatycznych (często własnych) za pośrednictwem sieci, a najwyżej ceni niezależność i ciekawe życie. Mówiąc o szeroko pojętych firmach INFOCOM-u, mam na myśli pracę czysto koncepcyjną, z symbolami *hardware*, czyli wszystkie przysłowiowe „puszki”, kable i śrubki, już od dawna produkowane są tylko w Azji. Coraz powszechniejszy staje się trend, który nazwano *pleasure*

revenge; ku utraeniu zwolenników ekonomii neoklasycznej, najważniejszy staje się nie zysk, ale jakość życia.

Caj Malmros – twórca ekspansywnej firmy tzw. *image marketing* – przyznaje, że postawił sobie mało ortodoksyjne cele biznesu i to w takiej właśnie kolejności: zabawa, rozwój osobisty, opłacalność (*MA*, marzec 1998). Rozwój osobisty jest skądinąd warunkiem sukcesu: nędzny byłby los fachowca z branży INFOCOM-u, który nie zakładałby ciągłego dokształcania się, choć pojmowanego jako *confluent education*, gdzie ważną rolę pełnią kontakty osobiste i oczywiście Internet.

Nienawiść do hierarchii („Żadnych szefów!”), obronna ironia, odrzucenie tytułów, rang i autorytetów, kult zabawy i *pastiche’u* – wszystko to są oczywiście cechy wrażliwości postmodernistycznej. Autor tego tekstu ma do postmodernizmu stosunek zupełnie obojętny; mogę sobie na to pozwolić, gdyż na szczęście nie jestem katolickim biskupem. Postmodernizm pewnych rzeczy nas nauczył, chociażby tego, że siły tego świata mają wpływ na kierunki badań, że wszelka wiedza jest polityczna. Miał postmodernizm swoje wznosy, miał też żenujące słabości, dwa lata temu tak genialnie wydrwione w parodystycznym artykule A. Sokala „Toward a Transformative Hermeneutics of Quantum Gravity”, który *Social Text* opublikował z całą powagą. Żyjący z Internetu i na Internecie profesjonaliści na pewno mają wiele cech postmodernizmu. Nawet ich strój, polegający na świadomym mieszanu stylów, ten podkoszulek typu T-shirt, na który niedbale narzucona marynarka od... Armaniego czy jakiś blezer za tysiąc dolarów jest świadomie postmodernistyczny. Podobne cechy wykazuje sama sieć: nie ma hierarchii, nie ma autorytetów, ważne jest tylko to, co ma się do powiedzenia, każdy może stworzyć własną *home page*, zabrać głos w każdej dyskusji, utrwalić swoje dzieła. Skądinąd jest Internet rajem dla wszelkiego rodzaju grafomanów i np. Szwedzi stoją w długich kolejkach elektronicznych, aby pod *reload.org* utrwalić swoje najbanalniejsze dzienniki. Piszący te słowa sam był świadkiem, gdy jakiś nastolatek zakwestionował słowa samego N. Negroponte’a, a należy zaznaczyć, że dla ludzi sieci szef MIT Media Laboratory znaczy tyle, co papież dla katolików. Louis Rossetto, założyciel wiodącego w USA pisma kompu-

terowego *Wired*, ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi, że sieć z samej swej natury osłabiać musi wszelkie tradycyjne, hierarchicznie zbudowane instytucje: Kościoły, wielkie firmy, organizacje państwowe etc. Jeżeli *Zeitgeist* jest dziś rzeczywiście duchem sieci, to nie jest on przychylny dla konserwatystów.

Konkluzja czyli „nie ma odwrotu”

„Uzasadnione jest przeprowadzenie porównania Internetu z telewizją. Pamiętamy, jak mówiono, że TV zmieni nasz sposób komunikacji, rozszerzy nasze horyzonty, będzie nas uczyć i kształcić, przybliży odległe części świata. W rzeczywistości TV przytępiła naszą wrażliwość, pogorszyła zdolność koncentracji, a intelektualne rozmowy zredukowała do krótkich replik na wzór dźwiękowych clipów. Całkowicie skomercjalizowany Internet może przekształcić się w gigantyczną przechowalnię śmieci i tandety” (cyt. wg *Computer Sweden*, 18 III 1998).

Powyższych słów nie wypowiedział jakiś sfrustrowany przedstawiciel zanikającego gatunku intelektualistów czy dziennikarz z konserwatywnej gazety lub przerażony proboszcz. Powyższą przestrożę przed komercjalizacją Internetu sformułował na *Internet World* w San Francisco ktoś znacznie ważniejszy, bo mający pewien wpływ na rozwój sieci i oferowane tam produkty: Lew Platt, szef koncernu Hewlett-Packard, którego komputerami posługuje się prawdopodobnie jedna trzecia czytelników tego tekstu.

Piszący te słowa nie jest entuzjastą Internetu, ale jego użytkownikiem. Czytam na sieci gazety, wysyłam *e-mail*, śledzę pewne grupy dyskusyjne, odwiedzam humanistyczny *The Voice of the Shuttle*, niemieckie *Buchinfo*, przerzucam *Postmodern Culture*, czasami bawię się surfingiem po różnych *site’ach*. Zdaję sobie sprawę, że pewne kategorie zawodowe już by bez sieci żyć nie mogły, choć problem potwornego nadmiaru informacji nie został dotąd rozwiązany. Umberto Ecco napisał kiedyś (cytuję z pamięci), że gdy dawniej ktoś chciał napisać naukowy artykuł, to wyszukiwał w bibliotece kilkanaście tytułów, czytał i pisał; dzisiaj otrzy-

muje przez Internet bibliografię złożoną z kilkunastu tysięcy tytułów i albo rezygnuje z czytania i pisania, albo (jeżeli jest mądry) wyrzuca ją do kosza i idzie do biblioteki.

Gdy szef Hewlett-Packard Company krytykował niebezpieczeństwo komercjalizacji Internetu, to – jak podkreślił – nie nawoływał do wojny z siecią. Byłaby ona z góry skazana na niepowodzenie, gdyż historia cywilizacji poucza, że od nowych wynalazków nie ma odwrotu. Bezskutecznie protestowano przeciwko kolejom żelaznym, samochodom, szczepieniom profilaktycznym, transplantacjom etc. Można tylko wyrazić nadzieję, że duch sieciowej anarchii nie da się do końca komercjalizować.

Internet na pewno nie rozwiąże większości problemów świata (co czasami sugerują różni naiwni dziennikarze). Ale na dłuższą metę przyczyni się bez wątpienia do zmiany naszych postaw, stylu pracy, a nawet całego życia.

Stefan ABNER

Zapiski sołowieckie (IX)

„Nie potrafię znaleźć słów, by wyrazić, jak bardzo mnie interesuje obserwowanie dzisiejszej Rosji”.

Joseph de Maistre

1.

Budżetowa burza w rosyjskiej Dumie, wywołana posłaniem Prezydenta, przypominała mi niedawne posiedzenie sołowieckiej Dumy, na którym Głowa Administracji rozliczał się był z realizacji budżetu Regionu za ubiegły rok. Mniej więcej w połowie debaty, kiedy deputowani na poły spali, ukołysani monotonnym głosem Bori buchaltera, mrużącącego cyfry, nic nikomu nie mówiące, raptem Sasza Pinagorskij się ocykał, że nic nie rozumie, bo przecież ten budżet, o ile pamięta, nie był przyjęty... Rwetes się zrobił: jedni wstawali, inni krzyczeli, ktoś cisnął czapką o pieczkę, a Zoja Burcewa się wysmarkała i walonkiem smarki po podłodze roztarła. Na koniec deputowani zamilkli, co Głowa powie.

– *Chuli lieziesz, koli nie ponimajesz?* – rzekł Głowa i dodał – *nado gołosowat’*.

Przegłosowali – za. Choć nikt nie wiedział – co.

2.

Rosyjski rząd podjął wreszcie decyzję (ponoć ostateczną?!), o pogrzebaniu zwłok Carskiej Rodziny w Sankt-Petersburgu – w Pietropawłowskiej Twierdzy, gdzie leży ród Romanowych. Tym samym zakończono spór między Jekatieryn-

burgiem, Moskwą i Petersburgiem o prawo do pochówku, oraz położono kres spekulacjom na temat autentyczności szczątków. Pogrzeb wyznaczono na 17 lipca, w 80-tą rocznicę zabójstwa Carskiej Rodziny. Synod Ruskiej Cerkwi Prawosławnej, ustami metropolity Kirilla, wyraził obawę rozruchów w dzień pogrzebu i byłby raczej za tymczasowym grobem... gdzieś na uboczu. Pisarz Radzinskij twierdzi, że nie można chować Cara i Jego Rodziny do ziemi, a Iljicza (Lenina) zostawić na wierzchu, wystawionego na widok publiczny. Natomiast Nikita Michajłow wystąpił w TV, że mógłby wyreżyserować pochówek, który – jak mniema mistrz – powinien się przeistoczyć w ogólnonarodową pokutę. Są i tacy, co się pytają, można-li grzebać resztki Michała Romanowa jako szczątki Cara, jeśli on sam się był wyrzekł tronu za życia? Od razu też wyszedł skandal, bo fundusz na pochówek obiecała firma od *nózek busza* (eksporter kurzych udek z Ameryki), zwolniona w związku z tym z podatków i poszły słuchy, że Borys Niemcow maczał tu palce. A swoją drogą historia carskich *ostankow* zasługuje na książkę, podobną pracy S. Rośka o zwłokach Mickiewicza, z której warto następującą cytata przytoczyć: „Tam, gdzie zwłoki zostaną pochowane, prędzej czy później wyjdą na scenę – polityczną, patriotyczną, literacką...”

A *propos* zwłok. Niedawno czescy archeologowie odkopali grób kapłana egipskiego sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Odkrycie to bardzo cenne – mówią – bo do tej pory nikt tego grobu nie pładrował. Ot, względność czasów i pojęć: można rozgrzebać czyjeś mogiły, bo starożytne, ich zawartość w muzeach wystawiać i po całym świecie wozić, i nic – i Papież milczy, i Patriarcha Wszeja Rusi, i Dalaj Lama... Za to mumia Lenina na Placu Czerwonym wszystkich irytuje: że nie po bożemu, że sam Iljicz chciał do ziemi, obok mamy, i że ma prawo na spokój po śmierci. A kapłan egipski nie ma prawa?

3.

Maslenica, czyli mięsopust – po naszymu. Ostatni tydzień przed Wielkim Postem, już bez mięsa, za to masła, sera

i ryby można jeść do woli. Jedno z najstarszych świąt na Rusi, jeszcze z czasów pogańskich, związane z kultem Słońca i końcem zimy-marzanny, później włączone przez Cerkiew do prawosławnego kalendarza. Najczęściej wypada w marcu, kiedy śnieg w słońcu *maslitsja* (połyskuje) i leśne drogi *zamaslilis'* (zaślśniły) jak pisał I. Szmieljow, wiążąc słowem zapusty z odwilżą. Dawniej hulali (*guliat'* po rusku, to i objać się, i bawić się, i pić, i po wsi grasować, i z dziewczkami się gzić, i w mordę bić...) cały boży tydzień: na koniach, na saniach, na tyłkach z byle górki, za stołem, pod stołem, do szczętu. I dzisiaj obchodzą zapusty gorliwie, byleby było co wypić.

Maslenica to bliny – przede wszystkim. Niby placki, a jednak więcej, bo można „się w blin zawiąć” i przekląć kogoś – *blin*, i stypę się zaczyna blinem i wesele blinami kończy. Bywają bliny pszenne, bywają i gryczane, zazwyczaj są drożdżowe, ale jadałem i przasne. Na wszelki wypadek przepis podaję, a nuż któremuś z czytelników *Kultury* się przyda. Zatem: przesiać mąkę do dzieży z drożdżami, mlekiem i jajkiem, dodać sól, pieprz i szczyptę cukru do smaku, wymieszać do konsystencji gęstej śmietany i postawić w ciepłym miejscu, by ciasto wyrosło. Dwakroć opuszczać, gdy bieżą z dzieży. Po trzech-czterech godzinach rozgrzać tłuszcz na patelni, ciasto gorącym mlekiem rozcieńczyć i lać na patelnię – jak najcieniej, najcieniuchniej. Blin powinien być ażurowy! Przeświecający! Składać jeden na drugi, masłem maząc, by się nie sklejały. Podawać z czym dusza zapagnie. My jemy je na ostro: z ikrą czarną i krasną, ze śmietaną i z kozim twarogiem z czosnkiem, z wątróbkami miętusów, z dzwonekami śledzi, z mielonymi okoniami i z solonymi chruszczami, a także na słodko: ze zgęszczonym mlekiem, z moczoną borówką, z żurawinowym kisiem, z konfiturami... Weź blin, zawiń weń dzwonek śledzia, lub ikrą nasmaruj, i maczając w śmietanie (w topionym maśle), kładź do ust. Można dwa naraz zawiązać, a jeszcze lepiej trzy, jak Cziczikow.

Maslenica się kończy w niedzielę-przeprosin. Prawosławni nawzajem się przepraszają, do nóg jeden drugiemu padają, pokłony biją czołem do ziemi. Reszta popatruje, niepewnie, spode łba, bo nie wie, co to znaczy... obcych przepraszać? A niektórzy jeszcze hulają, zapomniawszy o bożym

świecie, a może to boży świat zapomniał już o nich? O takich się dawniej w Rosji mówiło, że *niemieckuju maslenicu* wyprawiają, to znaczy: piją w post.

4.

„Budzi mnie ostre światło w pokoju: obce jakieś, chłodne i przygnębiające. Ach prawda, dziś Wielki Post. Różowe firanki, z myśliwymi i kaczkami, zdjęto, kiedy spałem, stąd obcość i przygnębenie w pokoju. Dzisiaj Czysty Poniedziałek i wszystko w domu czyszczą...” – tak się zaczyna „Rok Pański” Szmieljowa, jedna z najwspanialszych ksiązek ruskiej emigracji. Kilka lat temu, bodaj przed moim pierwszym Wielkim Postem na Sołowkach, ojciec Josif mi ją dał, bym znał, jak kiedyś w Rosji pościli. On sam też się z niej dowiadywał, a i teraz ją czytuje w czasie Postu, w celi. Bo Iwan Sergiejewicz dawną Rosję umiał utrwalić, jak nikt. I miał rację filozof Il'in, kiedy pisał o Szmieljowie, że tak można tylko w *kiel'jach* tworzyć, w milczeniu i jasnowidzeniu, bo tylko *kieliejnyj* samotnik widzi wszystko – i w dal, i w głąb...

„...w sieni stoją misy z żółtymi solonymi ogórkami, z powtykanymi w nie parasolami kopru i z kiszoną kapustą, gęsto posypaną anyżkiem – pycha. Biorę szczyptę do ust – ależ chrupie! I po co post łamać – myślę sobie – i duszę gubić, kiedy można tak smacznie pościć. Wszak będą i kompoty, i kartoflane kotlety z suszonymi sliwkami i morelami, i chleb z makiem, i różowe obwarzanki, i 'krzyżki' na Krestopokłonnoj, mrożona żurawina i orzechy w miodzie i migdały cukrowane, moczony groch i precle, bułki z rodzynkami, pastyła z jarzębiny, cykata i chałwa. A kasza gryczana, smazona z cebulką i kwaskiem popijana! A postne pierogi z chruszczami, a gryczane bliny z czosnkiem po sobotach, a kutia z bakaliarni! A migdałowe mleko z białym kisielom, albo kisiel z żurawiny z wanilią, a.. wielkie kulebiaki na Błagowieszczenije, z jesiotropowym farszem! A kalja, cudo polewka, z błękitnym kawiozem i ogórkami kwaszonymi, a moczona jabłka co niedzielę, a chrusty na oleju z konopi, z chrupką skórką i ciepłą pustką w środku! Bedą-li t a m, gdzie

trafimy po śmierci, takie posty?”

Filozof Il'in nazwał twórczość Szmieljowa *celą*, w której pisarz się zamykał w Paryżu, by tamtą Rosję w zdaniach cyzelować. Pół wieku później sołowiecki mnich czyta Szmieljowa w swojej celi, by tamtą Rosję zobaczyć.

5.

Cudzoziemskich podróżników zadziwiała srogość ruskich postów. Dominikanin Johannes Fabri pisał onegdaj: „Usłyszawszy o ich postach, byliśmy wstrząśnięci, bo porównanie naszych obyczajów z ichnimi w sprawach dotyczących chrześcijańskiej religii, wywoływało wielce niepoehlebne dla naszych wrażenie”. Paweł z Aleppo, syn patriarchy Antiochii, który przybył z ojcem do Moskwy w 1656 roku w związku z reformą obrzędów w ruskiej cerkwi, ubolewał: „Mieliśmy pecha, że trafiliśmy tutaj w czasie postu, albowiem, nie chcąc od nich odstawać, jedliśmy codziennie ohydny maż z rozgotowanego bobu bez oleju, przechodząc straszliwe męki”. A Neuville, jezuita, zauważył z przekąsem, że Ruscy chcieliby wejść do raju, morząc się głodem. Z relacji cudzoziemców wynika, że żaden nie próbował pojąć sensu tutejszych postów, oraz ich zasad. Weźmy Massona, który po ośmiu latach życia wśród Ruskich wypisywał bzdury, jakoby ich wielkopostne menu dopuszczało... rybę. Dziś o postach prawosławnych też wiemy niewiele, ba, sami Ruscy się kłócą o szczegóły reguły, wszak tyle lat nie pościli. Może więc warto kilka słów na ten temat.

Dawniej na Rusi poszczono surowo, i gorliwie. Oprócz Wielkiego, obowiązywały trzy posty wielodniowe: Pietrow na św. Piotra i Pawła, Uspienski do Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny i Filipow (Roźdiestwienski) przed Bożym Narodzeniem, kilka jednodniowych, oraz środy i piątki. Archimandryta Ioann, autor dysertacji „Pokutna dyscyplina Dawnej Rusi”, pisze o stopniowym zaostrzaniu postów, aż „...weszły tak głęboko w ruską mentalność, że stały się podstawą życia religijnego narodu”. Przepisy Postu określał *ustaw Jerusalimskij* św. Sawwy, który pozwalał jeść raz dziennie, po południu, w soboty i niedziele – dwukrotnie.

W pierwszy i trzeci tydzień Postu obowiązywało *suchojadnienie*, tj. jadło niegotowane i bez oleju – chleb, suszone owoce, surowe warzywa, a zamiast wina – mieszanka z pieprzu, kminku i biedrzeńca, lub kwas. W pozostałe tygodnie (prócz środy i piątku) stawę gotowano, w soboty i niedziele z olejem. Nabiał był wykluczony. Ryba tylko w Błagowieszczeniu, jeśli święto nie wypadło w Wielki Tydzień, w którym znów obowiązywało *suchojadnienie*; w Wielki Piątek w ogóle nie jedzono. Regulamin Postu zabraniał też picia alkoholu, palenia tytoniu, oraz stosunków płciowych. Ruskim, jak świadczą źródła, najtrudniej było wytrzymać bez wódki. Książ Władimir mówił: *Rusi wiesz! je pił je, nie mozem bez tego byti*. Prócz wstrzemięźliwości w jadle, picciu i seksie, bito pokłony do ziemi. Wedle reguły – 240 dziennie: rano – 60, w południe – 100 i wieczorem – 80. Byli i tacy, co bili więcej – to 300, to 400. Paweł z Aleppo naliczył 1000 pokłonów, oddanych przez wiernych w jednym z moskiewskich chramów, podczas czytania kanonu św. Andrieja Kritskiego w środę piątego tygodnia Postu i podkreślił, że nie liczył pokłonów, bitych przed i po kanonie. Moskwa w tym czasie jakby zamierała: karczmy z rozkazu cara zamykano i opieczętowywano, ludzie rzadko z domów wychodzili, z ulic znikwały pyszne stroje, karety. Sam car Aleksiej Michajłowicz pościł surowo: nikogo nie przyjmował i nigdzie nie był, pierwsze trzy dni nic nie jadł, większość czasu spędzał w chrampie, w środę pod wieczór spożywał słodki kompot i bojarom go posyłał, w czwartek i piątek znów nic nie jadł, w sobotę do komunii św. przystępował, a w pozostałe tygodnie Postu jadał kapustę, grzyby i jagody, bez oleju, pił jeno kwas, w poniedziałki, środy i piątki nie jadł w ogóle... Naród brał z cara przykład, od możnowładców do smerdów, i nawet małe dzieci pościły, „...bo lud prawosławny – pisał archimandryta Ioann – oddawał się postom żarliwie”.

Oczywiście, najłatwiej zauważyć to, co na zewnątrz: miarę, regułę, częstotliwość... Rzeczy nieuchwytnie powstają wewnątrz – w odosobnieniu. Dawniej, w monastyrach Egiptu i Syrii, mnisi na Post uchodzili w pustynię, każdy oddzielnie. Św. Feodosij, ojciec monaszestwa na Rusi, przejął ten zwyczaj i na okres Postu zamykał się w skalnej pieczarze, zaś do braci wracał dopiero „...na wigilię Łazarza, bowiem wtedy –

wyjaśnia latopis – kończy się post czterdziestu dni”. Na ikonach starzec Pieczerski trzyma w ręku zwój z napisem: *Postom i molitwoju popieczieszja o spaszenii dusz*, ku pamięci, że i Pan nasz postem i modlitwą w pustyni szatana pokonał, dając przykład, jak mamy własne biesy przeganiać... Później, na przestrzeni wieków, w ruskich klasztorach wypracowano złożony rytuał wielkopostnej pokuty, gdzie obok wstrzemięźliwości i umartwiania ciała, ważną rolę odgrywały ćwiczenia duchowe, milczenie i medytacja. Paisij Wielickowski, Feofan Zatwornik, Ignatij Brjanczaninow i inni starcy prawosławni pisali całe przewodniki duchowych pouczeń, wykazując się niezwykłym znawstwem psychologii człowieka. Na okres Wielkiego Postu do monastyrów ciągnęli także ludzie świeccy – władcy i kupcy, i poeci – ażeby w ciszy celi i w dali od spraw powszednich znaleźć w sobie „wewnętrznego człowieka”, jak mawia ojciec German. I, na koniec: post w sztuce. Żaden pisarz żywotów świętych i żaden malarz świętych ikon na Rusi nie przystępował do dzieła bez postu. A Aleksander Sergejewicz Puszkyn w jeden ze swoich ostatnich wierszy wplótł modlitwę św. Jefrema Sirina, którą w czasie Wielkiego Postu, co dzień w chrampie o świcie, sołowieccy bracia czytają w półmroku, bijąc pokłony...

Władyko dzień moich! duch prazdnosti unyloj,

Lubonaczalija, zmiei sokrytoj szej,

I prazdnostowija nie daj dusze mojej.

No daj mnie zriet' moi, o boże, priegrieszen'ja,

Da brat moj ot mienia nie primiet osuzdien'ja,

I duch smirienija, tierpienija, lubwi

I celomudrija mnie w sjerdce oziwi.

Zdarzyło się to w Wielki Piątek, parę lat temu... Po wielu dniach postu, w jego najsrozszej, monastyrskiej praktyce, zaobserwowałem napięcie wśród wiernych – posłuszników, pątników i babek cerkiewnych – rosnące z każdym dniem, wywołane zapewne głodem i wielogodzinnymi obrzędami,

w obłokach ładahu, w zbiorowej ekstazie, w mistycznych na poły halucynacjach. Pisał o tym Rozanow, dowodząc, że wystarczy parę tygodni monaszego reżimu, by z byczego osiłka zrobić neurastenika. Pod koniec Postu wszyscy byli na granicy owego „cienkiego snu”, w którym mnisi widują świętych, Matkę Boską, lub diabła. Tak nadszedł Wielki Piątek... Poranna msza. Ekstaza sięgnęła szczytu, hysterii! I raptem nienawisć wyplusnęła – fanatyczna, złowieszcza. Do Żydów, którzy ukrzyżowali Go. Wściekłość, okrzyki, szloch. – *Judeje, bogoubijc sobor, Judeje, bogoubijc sonmiszczje* – wołano bez końca. – *Dažd' im, Gospodu, po dietom ich, jako nie rozumjesza Twojego snischoždjenija...* ...nie wytrzymałem, opuściłem chram. By więcę już tam nie wrócić. Nie wiem, co bardziej podziało: wzburzenie zbiorowym obłędem, którego byłem świadkiem, czy solidarność z Weroniką. Nazajutrz, w Wielką Sobotę, poszliśmy do Filipowej pustelni, opalać się. Dzień był czysty, jak dźwięk dzwonu, słońce grzało, śnieg tajał, z dachu kapało. W powietrzu pachniało młodą świerczyną, żywicą i wiosną. I tak cicho, że słyszało się szum własnej krwi w żyłach. Po tamtych wrzaskach, ta cisza – rzecz święta. Po tamtych czczych woniach, te zapachy leśne – prawdziwe kadzidło. Po tamtym chramie, ten świat – to świętynia.

7.

W marcu na Sołowkach odbył się „krągły stół”. Udział wzięli: Głowa Administracji i zam. Gławy, gławburch (główny buchalter), gławwracz (ordynator szpitala), dyr. szkoły, nac. służb komunalnych, dyr. muzeum, nac. elektrostancji, nac. milicji, nac. kooperatywy handlowej, oraz ludność posiołka. Miejsce zebrania: jedna z sal sołowieckiego szpitala, zamieniona w salę posiedzeń Administracji (szerzej o przekształceniu części szpitala w Administrację w „Zapiskach VIII”). Cel zebrania: „rozwiązać słuchy, krążące po Wyspach”. Oto relacja, w skrócie. Zagajenie Gławy: Jako przedstawiciel Państwa Rosyjskiego na Sołowkach chcę wszystkich przeprosić za reformy. Głos z sali: Za co Administracja płaci sobie premie, gdy

naród głoduje bez zapłaty?

Gławburch: Według Postanowienia Najwyższej Rady Rosyjskiej Federacji (z dnia... roku 1992) pracownikom Administracji przysługuje roczna premia w wysokości trzech średnich pensji...

Głos z sali: Za co?

Gławburch: ...i nie wypełnienie Postanowienia jest wykroczeniem.

Głos z sali: Sojuz Sowieckij rozwalili, a teraz okruchy podbierają...

Gława: ...tylko bez insynuacji. Kolejne pytanie.

Nacz. komunalnych: Jak nam wyżyć bez wypłaty?

Gława: A za co wam mamy płacić?

Nacz. komunalnych: Materiałów nie mamy, specjalistów brakuje...

Gława: ...no właśnie. Za to pięciu księgowych, sześć komputerów i wszelkiej biurwy dwa tuziny. Albo sami porządek zrobicie, albo życie was zredukuje...

Nacz. komunalnych: ...prędzej rury popękają i bez wody, i bez bani zostaniecie. Długi za dwa lata oddacie, to się będziemy redukować. A jak nie, to pas startowy wam zablokujemy.

Głos z sali: Co na to milicja?

Nacz. milicji: W ubiegłym roku wykrywalność przestępstw na Sołowkach przekroczyła 31%, co nas stawia na pierwsze miejsce w archangielskiej guberni. No, przestępczość rośnie, jak w całym kraju. Dlatego chcemy zwiększyć ilość funkcjonariuszy na Wyspach...

Pinagorski: ...aż dojdziemy do jednego milicjanta na jednego mieszkańca.

Śmiech w sali.

Głos z sali: A co z klubem kultury. Chcieliście go arendować...

Gława: ...i arendowaliśmy. Elektrostancji. Ku naszemu strapieniu, oni klub zdewastowali. Parę jubli dla posiołka zrobili, na biletach i wódce szmal zgarnęli, a jak mrozy się zaczęły, to ogrzewanie wyłączyli i rury szlag trafił. Teraz klub psu na buty się zda.

Nacz. elektrostancji: Klub był nierentowny. My dopłacaliśmy...

Głos z sali: ...do czego? Do wódki, czy do biletów?

Szum w sali...

Gława: ...tylko bez szumu. Są jeszcze pytania?

Głos z sali: Dlaczego w sklepach sprzedają nieświeży towar?

Nacz. kooperatywy handlowej: A co z nim zrobić? Na ch.... wyrzucić. Kto nie chce, niech nie kupuje...

Gława: ...proszę bez mata!

Nacz. kooperatywy handlowej: Zresztą na przeterminowanych produktach piszemy, by je przegotowywać przed spożyciem.

Głos z sali: Sama se spróbuj masło gotować.

Gława: Ostatnie pytanie.

Zoja Burcewa: Dlaczego pomojek nie wywożę? Zacznie się odwilż i... epidemie.

Gławwracz: A w aptece brak lekarstw.

Babki: Oj!

Gława: Proszę o ciszę. Kończymy.

Zam. Gławy rekapitułuje: Nikt nam dziś nie pomoże i albo sami wstaniemy na nogi, albo nam przyjdzie stąd wyjechać – nogami do przodu. Należy się skupić na trzech rzeczach – jak zarabiać pieniądze, co zrobić z gospodarką komunalną i jak rozwiązać problem transportu na ląd stały? Bo jeśli w tym roku nie znajdziemy półtora miliarda na remont pasa startowego, to samoloty przestaną latać, a Archangielsk sprzedał do Grecji ostatni parostatek.

Głos z korytarza: Lepiej by Sojuz przywrócić.

Przy wyjściu Gława Administracji mi szepnął, że wkrótce na Sołówkach będziemy mieli łączność sputnikową. Skądinąd wiem, iż Gława ma hobby – komputer – i robi wszystko, by nas do Internetu podłączyć.

Mariusz WILK

Ciało i pamięć

Generał Archambeaud przed pójściem na emeryturę był dowódcą Gwardii Republikańskiej. Musiał wspaniale prezentować się konno, w połyskującym hełmie, ze szpadą w ręku. W czasie II wojny światowej był jednym z bohaterów Résistance. Deportowany do obozu w Buchenwaldzie, spędził w nim 14 miesięcy. Po Wyzwoleniu walczył w Indochinach. Pokazał kiedyś pani Domingo swoje zdjęcia z tego okresu. Twierdziła, że był najpiękniejszym z mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała. Głosował zawsze na skrajną prawicę, nienawidził cudzoziemców i Żydów. Jego pierwsza żona była Rosjanką, leczyl go doktor Bursztyn z dzielnicy Le Marais, codzienne sprawunki załatwiał w żydowskim sklepie „Kali” naprzeciw. W domu na François Miron przyjaźnił się najbliżej z portugalską rodziną państwa Domingo. Mieszkał piętro niżej od nas w identycznym mieszkaniu. Pod nim zajmował lokal pan Noisy, członek PCF, czyli francuskiej partii komunistycznej. Pod jego drzwiami codziennie rano leżała *L'Humanité*. Podczas wojny także był w obozie. Z generałem Archambeaud pozostawali w dobrych sąsiedzkich stosunkach.

Generała widywałem dość często w aptece lub w kiosku z pismami i papierosami. Był ubrany po cywilnemu. W sztywnym beżowym kapeluszu, popielatej jesionce z wielbłądzim szalem przerzuconym przez ramię i z laską, różnił się od przechodniów nie tylko wyniosłą postawą. Czym? Elegancją, naturalnie, ale powiedziałbym, że przede wszystkim wyrazem twarzy. Wyrazem dumy i pogardy w zimnoniebieskich oczach, jakby przyćmionych mgiełką. Żył samotnie.

Jego druga żona, którą pamiętałem, zmarła kilka lat temu. Nie tolerował służby w mieszkaniu, sam przyrządzał sobie posiłki. Pani Domingo przychodziła do niego zmywać, czasem sprzątać, w korytarzu pachniało kurzem, generał nie lubił domowych porządków. Ponadto była na każde jego zawołanie: wzywał ją przez telefon niekiedy parę razy dziennie.

Z pewnością nie był to romans. Generał wciąż jeszcze był pięknym mężczyzną, miał jednak w czasie mojej choroby 93 lata, a pani Domingo ze swoim wyglądem dziewczyny lub chłopca (dla oszczędności strzygła się rzadko i bardzo krótko) należała do gatunku wiernych żon. Urodziła się na wsi na północy Portugalii i tam wyszła za pana Domingo. Wówczas oboje nie mieli jeszcze dwudziestu lat.

Nie wątpiłem, że sędziwy ksenofob przeżywał swoją ostatnią miłość: do Portugalki. A ona? Pani Domingo nie podobały się jego poglądy. – Tyle przeszedł – mówiła – i nic nie rozumiał. – Narzekała na jego charakter. Podobno generał był skąpcem. Prócz cudzoziemców i Żydów nie znosił również innych ludzi, włącznie ze swoją rodziną. Jedyne Le Pen, przywódca Front National, znajdował uznanie w jego oczach. Lubił także cmentarze wojskowe.

Generał Archambeaud miał samochód marki Mercedes i posiadłość – willę z dużym ogrodem, położoną około stu kilometrów od Paryża, w okolicach Dijon. Rok rocznie późną wiosną pan Domingo, który jest szoferem w firmie handlowej, odwoził generała do jego wiejskiej rezydencji. Zostawiał mu samochód, po czym wracał pociągiem do Paryża. – Narzeczcie odpocznę – mówiła pani Domingo – przestanie telefonować pięć razy na dzień. – Śmiałem się: – *Madame Domingo*, pani jest do niego przywiązana.

Umiała być ostra i czuła. Nie wpuściła na schody dwóch Murzynów, którzy roznosili po mieszkaniach ulotki reklamowe. Wycofali się pokornie, tylko jeden przy wyjściu powiedział do niej smutnym głosem: – Ale dlaczego pani jest taka antypatyczna? – Pani Domingo udzielił się ich smutek. Pozwoliła rozłożyć ulotki pod drzwiami lokatorów. – Nie wiem dlaczego chciało mi się płakać – zwierzyła się nazajutrz.

Wstawiała o 5 rano, by w starych dzinsach i wielkich rękawicach, ze szczotką oraz zapasem ścierek myć podwórze

i schody w klatkach trzech sąsiadujących ze sobą budynków. Dopiero później brała prysznic, piła kawę, roznosiła pocztę. W domu na François Miron nie ma skrzynek z nazwiskami lokatorów, po dawnemu konserżka – dziś zwana *la gardienne* – składa listy i gazety pod drzwiami mieszkań. Punkt godzina 9 pani Domingo kładła pocztę pod drzwiami generała Archambeaud i naciskała na guzik od dzwónka. Wtedy rozlegał się spod naszej podłogi głos generała: – Okej! – Sygnalizował jej, że żyje. Tak byli umówieni.

Często w sobotę widywałem panią Domingo, jak szła z mężem po cotygodniowe sprawunki. Trzymali się pod rękę, można było ich wziąć za młodą parę. Oboje przekroczyli czterdziestkę. Ona wyglądała na dziesięć lat mniej, ze swoim uśmiechem rozświetlającym twarz i z kształtną ciemną główką na wysokiej szyi.

Pani Domingo miała inteligencję prostych kobiet, lepsze rozeznanie w sprawach życia i śmierci, niż wielu inteligentnych głupców pośród intelektualistów. Rzadko czytała książki i pisma, lecz podczas jej zajęć w kuchni radioodbiornik był zawsze włączony. Jej komentarze do wiadomości dziennika! Z mojego pokoju słyszałem, jak wygłasza je do M. zmywając talerze. Były zdumiewająco celne i przewyższały rozsądkiem artykuły wstępne w *Le Figaro* czy w *Le Monde*. Jej zmysł ironicznej obserwacji... – mam zaadresować do „Madame Cévin”, czy „de Cévin”? – spytałem po napisaniu grzecznościowej kartki do sąsiadki z czwartego piętra. – „De Cévin” – odpowiedziała pani Domingo – i to jest bardzo ważne. – W jej odpowiedzi nie było złośliwości, tylko rozbawienie wiedzą o ludzkich słabostkach. Piszę o tym wszystkim w czasie przeszłym, bo czas przed moją chorobą nie był terażniejszy. Ale przyjaźń między nami a panią Domingo trwa nadal. Datuje się od naszej przeprowadzki z Cité des Arts na François Miron. To wtedy, w trakcie pierwszej rozmowy, pani Domingo powiedziała: – W tym domu tylko państwo i my jesteśmy z obcych krajów. Musimy sobie pomagać.

Urodziłem się w mieście liczącym przeszło pół miliona mieszkańców, później przez lata żyłem w mieście, które miało ponad milion mieszkańców. Od siedemnastu lat żyję w wiel-

kich kilkumilionowych miastach. Dzisiaj wielkie miasta są własnością turystów i młodzieży. Postanowiłem więc żyć w małym mieście, w 4-tej dzielnicy Paryża. Mieszka w niej trochę Polaków, na ulicach słyszę czasami polski język. W porównaniu z francuskim zaskakuje innością melodyki i rodzajem dykcji. Akcent z reguły na przedostatniej sylabie: „zrobiliśmy, zerwaliśmy”, z naszym *r roulant*, które tak bawi Paryżan. Raz zadrzałem z wrażenia na ulicy Saint-Antoine, kiedy szatyn z baczkami przemówił z chodnika do dziewczyny konsumującej piwko przed tabakiem: – Jolka, to ty tu siedzisz, a ja myślałem, że pierrrdolisz się teraz ze Staszkiem! – „Totytu” dźwięku brzmiało mi w pamięci, jak imię z dalekich wysp.

Na tym samym piętrze obok nas mieszkała przez dziesięć lat para urodziwych adwokatów nazwiskiem Billoux z córeczką Charlotte. Kłanialiśmy się sobie na schodach, mówiłem do Charlotte: – *Bonjour, princesse* – i na tym kończyła się znajomość. Oboje długo szukali pracy, oni w końcu wygrał konkurs na posadę radcy prawnego i przenieśli się do Nicei. Po roku od ich wyjazdu zapytałem kiedyś panią Domingo, czy ma wiadomości od państwa Billoux. Zaprzeczyła: nie, przez cały ten czas nie napisali ani słowa, pewnie są bardzo zajęci. Nazajutrz rano zatelefonowała, by oznajmić, że przyszedł list od państwa Billoux z Nicei. Wyjaśniłem pani Domingo, że takie wypadki często się zdarzają i że nazywa się je telepatią.

W szpitalu Saint-Maurice przestałem myśleć o samobójstwie. Nie mogłem jeszcze chodzić, potrafiłem co najwyżej wdrapać się z fotela na łóżko. Nadal jednak byłem przygnębiony i nie miałem chęci rozmawiać. Kiedy trzeciego dnia zwracając tacę po śniadaniu wybąkałem *merci*, salowa Nadine krzyknęła: – On mówi! – W tutejszych szpitalach za niewielką opłatą można mieć telefon przy łóżku. Po tygodniu rozmawiałem już ze znajomymi i gdy pytali mnie o zdrowie, mówiłem: – Podobno fizycznie czuję się lepiej, ale duch we mnie nisko wzlata.

Co do samobójstwa, to doszedłem do wniosku, że nie posiadam odpowiednich kwalifikacji. Przede wszystkim nie jest dla mnie pewne, czy na tamtym świecie będzie lepiej.

Ponadto według mnie do samobójstwa są zdolni ci, którzy zerwali z Bogiem, którzy uznali Go winnym ludzkich cierpień i zła. Słowo „Bóg”, zbyt często używane w polityce i literaturze, można by zastąpić innym, na przykład słowem „Nieskończoność”. W każdym razie myślę, że samobójca powinien mieć pewność swej nienawiści do Tego, co stworzyło wszechświat i ludzką egzystencję na ziemi. Nie, nie mam kwalifikacji.

Leżałem na drugim piętrze w dwuosobowym pokoju z małym panem Seifenem, który miał ognisko w płucach. M. umieszczono o piętro niżej w pokoju trzyosobowym. Przed moim wyjściem z kliniki Défense doktor Farkas zalecił jej kurację nie wyleczonej artrozy biodra i na jego prośbę przyjęto ją wraz ze mną do szpitala Saint-Maurice. Naszym mieszkaniem opiekowała się pani Domingo, z którą byliśmy w telefonicznym kontakcie. Podobno wiadomość, że oboje jesteśmy w szpitalu, stała się wydarzeniem dla lokatorów.

W domu na François Miron o piętro nad nami mieszkała pani Scammaroni, w latach wojny uczestniczka Ruchu Oporu na Korsyce. Pomniki jej brata, legendarnego przywódcy, wznoszą się dziś na placach korsykańskich miast. Lokal na parterze należał do pani Brune, która straciła męża i obu synów w katastrofie samochodowej. Ona jedna wyszła z niej żywa. Mieszkała sama ze starą wylicą, zimą chodziła w kozuchu. Jasnooka, proste, surowe spojrzenie, wysoko upięte włosy. I ten kozuch, i ta wylica z łbem przy ziemi, pewnie nawykła do polowań, kojarzyło mi się to z czymś dawnym i bardzo polskim. W pierwszych dniach, gdy spotkaliśmy się przy wejściu na ulicę, zamiast *bonjour* powiedziałem jej „dzień dobry pani”.

– Generał – mówiła pani Domingo – opowiada, że ma swojego anioła, który się nim opiekuje, i że ten anioł czuwał nad nim w czasie wojny i w obozie, i dalej czuwa, i że podobno dlatego on tak długo żyje. I że każdy ma swojego anioła, lepszego czy gorszego. Ale ja w to nie wierzę.

Dom na François Miron został wybudowany tuż przed II wojną światową. Po wojnie odnowiono go bardzo solidnie. Liczy około trzydziestu mieszkań, ma dobrze funkcjonującą windę i garaż w podwórzu. Stosunki między lokatorami są

konwencjonalne, nikt z nikim się nie przyjaźni, ale kłaniamy się sobie uprzejmie. Z początku witano mnie zdawkowym *bonjour*, po dwóch latach – *bonjour monsieur* i dopiero od niedawna pani Scammaroni i pan Noisy, którzy przeczytali parę moich książek, mówią, kiedy spotykamy się na schodach: *Bonjour monsieur Brandys*.

W Polsce przed rokiem 1939 było podobnie. W domu na Lwowskiej 5 w Warszawie, a przedtem w Łodzi na ulicy Przejazd 20, nie utrzymywaliśmy z sąsiadami bliższych stosunków. Zupełnie inaczej było w latach wojny. Na Narbutta 52, gdzie mieszkaliśmy z matką po śmierci ojca, prawie wszyscy lokatorzy znali się osobiście, po godzinie policyjnej zapraszano sąsiadów na przyjęcia, które nieraz trwały do rana. A już w czasie Powstania, gdy pełniłem dyżury przeciwpożarowe w kamienicy na Solcu, cały dom żył wspólnym życiem. Razem słuchano BBC, razem śpiewano modlitewne pieśni przed figurą Matki Boskiej, razem budowano ustęp na podwórzu. Przez pewien czas jadałem bezpłatne obiady u państwa Chmarów. Przychodzili do nich chłopcy w poniemieckich hełmach, z pistoletami automatycznymi, które także zdobyli w walce. Dużo gości bywało w naszej bramie. Odwiedzał mnie wuj Janek Rajgródzki, który wkrótce potem zginął od szrapnelu w domu na Okólniku, a raz pojawił się mój znajomy sprzed wojny adwokat Maurycy Grudziński, rodzony brat pisarza Herlinga-Grudzińskiego. Był to człowiek prawdziwie odważny. Sam będąc Żydem działał w Akcji Żegota, niosącej pomoc ludziom żydowskiego pochodzenia, ukrywającym się poza gettem. W czasie Powstania był oficerem AK w załodze elektrowni, a później w PRL sędzią Sądu Najwyższego. W kamienicy na Solcu (101 czy 103?) urzędował doktor Rakowiecki, którego później spotkałem w obozie w Pruszkowie; to dzięki niemu zdobyłem przepustkę z podpisem lekarza SS, którą wypełniłem na kolanie nazwiskami Zenowiczów i moim, oraz naszej obozowej znajomej, pani Oli Jurek.

Z powrotem założono mi sondę przez nos do żołądka. Broniłem się jak zwierzę. W szpitalu Saint-Maurice dokonywano tego zabiegu w sposób kategoriyczny. Dwie salowe trzymały mnie za ręce i nogi, pielęgniarka wprowadzała sondę

wołając: – *Avalez! Avalez!* – To znaczyło, że mam połknąć sondę. Kiedy zacząłem się dusić, pielęgniarka ryknęła: – Chce się pan wyleczyć?! I żeby pana żona była tu razem z panem?! *Avalez! Avalez!* – Połknąłem sondę.

Znowu wyglądam jakbym wrócił z gór. Marchew polepszała mi cerę, ale nie opuszczał mnie wstręt do jedzenia. Salowa Nadine w okularkach zapisywała po każdym posiłku liczbę kalorii wchłoniętych przez mój organizm. Nie chciałem także pić. Dopiero w nocy czułem pragnienie. Nie mogłem go zaspokoić wodą ani sokiem z winogron. Marzyłem o smaku wody z bąbelkami i sokiem malinowym, którą sprzedawał właściciel wózka na placu niedaleko naszego gimnazjum i którą piliśmy z Kolubińskim, stojąc obok siebie z odchylonymi do tyłu głowami w szkolnych rogatywkach. Ćwiczyłem się w tym marzeniu. Odtwarzałem zapach różewej, syczącej piany w złudnej nadziei, że wysiłek pamięci dokona cudu i wleje we mnie ów boski napój.

Pan Seifen małał. Był dobrym sąsiadem, cierpliwie znosił mój całonocny kaszel, lecz co pewien czas zabierano go na badania do szpitala w Créteil i kiedy wracał po kilku dniach, za każdym razem wydawał mi się mniejszy. Mimo choroby płuc często wychodził do hallu, aby wypalić papierosa. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą i dopiero po dwóch tygodniach powiedział mi, że jego dziadek był weterynarzem w Brześciu. Pytał, czy byłem kiedyś w Brześciu. Byłem. Pan Seifen obiecywał sobie, że po wyzdrowieniu pojedzie z wnuczkami do Brześcia. Co drugi dzień odwiedzała go córka, pogodna, tęga kobieta. Czasem przychodziła z wnuczkami pana Seifena. Obydwie były koloru mlecznej czekolady i miały włosy zaplecione w cieniutkie warkoczyki. Pan Seifen opowiedział mi, że jego córka poślubiła syna czarownika z Wybrzeża Kości Słoniowej.

Porwano mnie w nocy. Na kolację zjadłem mrożoną galaretkę z porzeczek, po której od razu temperatura skoczyła mi do 40 stopni. Miałem torsje i dreszcze, szczerkałem zębami. Zbadał mnie dyżurny lekarz, młody intern z wystraszoną miną. Zapewniłem go, że moja niedyspozycja jest gastryczna, mimo to znowu osłuchał mi plecy. Gorączka rosła, przyłożono mi do brzucha worek z lodem. Musiałem

w końcu zasnąć, obudziło mnie jaskrawe światło. W pokoju stało trzech obcych mężczyzn w zielonych fartuchach i mój intern podobny do zająca. Nieznajoma lekarka po zmierzeniu mi tętna oznajmiła, że zostanę przeniesiony do innego szpitala. Powtórzyła to głośniejszym głosem, pewnie sądząc, iż nie do słyszę. – To absurd! – zawołałem do interna. Pan Seifen, także obudzony, usiadł w łóżku. Żądałem, by wezwać moją żonę. Intern powiedział, że był u niej, ale jej nie zastał. Kłamał: gdzie mogła wyjść M. o 1 w nocy? Zacząłem krzyczeć, że nie dam się zabrać. Intern zniknął. Zwróciłem się do lekarki i mężczyzn w zielonych fartuchach: ile razy mam być przetrzucany ze szpitala do szpitala? Nic nie odpowiedzieli. Wrzasnąłem, że będę się bronił. Pan Seifen zatkał sobie uszy. Nie miałem szans na obronę fizyczną, daliby mi zastrzyk obezwładniający. Wrócił intern podobny do zająca. Oświadczył, że przed chwilą rozmawiał z moją żoną, która prosi, abym nie stawiał oporu i dla własnego dobra dał się przewieźć do innego szpitala. Wiedziałem, że znowu kłamię, ale opadłem już z sił. Mężczyźni w zielonych fartuchach wzięli mnie pod ramiona i za nogi. Do mojego łóżka przysunięto drugie, właściwie nosze na kółkach. Zawiniętego w koce wytoczyli mnie do windy. Na dole czekał ogromny czerwony ambulans reanimacyjny. Po godzinie jazdy poczułem szarpnięcie i uderzenie zimnego powietrza. Samochód stał w miejscu. Wyniesiono mnie głową do tyłu. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, były neonowe litery nad wejściem do budynku: KLINIKA DEFENSE. Przed wejściem oczekiwało nas kilka osób. Pielęgniarka Beatrix pochyliła się nade mną: – Dlaczego pana znów do nas przywieźli? – Odpowiedziałem: – Żeby mi pani obcięła paznokcie.

Nazajutrz odwieziono mnie z powrotem do szpitala Saint-Maurice. Gorączka mi spadła. Badania wykazały, że moja niedyspozycja była gastryczna. Beatrix obcięła mi paznokcie. Po godzinie jazdy znowu się znalazłem w hallu przed portretem cesarza Napoleona III. M. czekała tam na mnie. Mówiła, że kiedy mnie wnoszono, w jednym ręku ścisnąłem grzebyk, w drugim okulary, i pytałem, gdzie jest ten zając. Jednakże mój intern nie pokazał się więcej. Zobaczyłem go dopiero na ulicy Rivoli, gdy wychodził z metra koło Hôtel de Ville. Ale to było dużo później, chyba kilka dni po

pogrzebie generała Archambeaud, i wtedy nie zależało mi już, aby mu powiedzieć, że za fałszywą diagnozę i porwanie chory może przekląć.

Podczas badania w klinice w Défense doktor Farkas jednym szybkim ruchem wyjął mi sondę z nosa. Mój pobyt w Défense trwał półtora dnia. Po powrocie do szpitala Saint-Maurice nie zastałem pana Seifena, przeniesiono go do innego pokoju. Obok mnie leżał półnagi chrapiący kolos w czerwonych slipach. Potężną nogę opierał o brzeg mego łóżka i kiedy przyniesiono obiad, bosa stopa olbrzyma dotykała mojego talerza. Okazał się miłym człowiekiem, reedukowano go po wylewie mózgowym. Mówiąc, trochę bełkotał.

Miałem teraz samopoczucie, jakie daje ulga po złym śnie, przy równoczesnej świadomości, że nigdy nie nauczę się chodzić i resztę życia spędzę w fotelu na kółkach. Nie wierzyłem też, że kiedyś odzyskam apetyt: bez przymusu jadłem wyłącznie kompot z jabłek. Natomiast bałem się ślepoty. W moim ocalałym prawym oku stwierdzono zaawansowaną kataraktę.

Panu Seifenowi, który do mnie zaszedł porozmawiać i znowu pytał, czy dobrze pamiętam przedwojenny Brześć, usiłowałem wytłumaczyć, że bawiłem w tym mieście jeden dzień, nie mogę więc powiedzieć, że dobrze pamiętam. Słowo „bawiłem” zakrawa tu na szyderczy eufemizm. Przyjechałem do Brześcia z listem polecającym do adwokata, który – tak mnie poinformowano – miał stosunki w tamtejszym urzędzie wojewódzkim i mógłby się przyczynić do zwolnienia mojego ojca z obozu w Berezie Kartuzkiej.

Pisałem kiedyś o tym. Rano do naszego mieszkania na Lwowskiej weszło dwóch mężczyzn w cywilu, z których starszy i cięższy pokazał ojcu jakąś odznakę. – Pan będzie uprzejmy pojechać z nami. Ojciec wstał w dobrym humorze tego dnia. Zaprosił ich do stołu i spytał czy napiją się herbaty. Nie chcieli usiąść. Patrzyli stojąc, jak ojciec smaruje grzanekę cienką warstewką masła i kiwali głowami zgadzając się, że wiosna w tym roku jest wczesna. Musiał w nich wzbudzić rodzaj sympatii czy respektu, bo ten, co pokazał mu odznakę, mruknął w chwili wyjścia: – Może pan lepiej weźmie ciepły płaszcz. – Wieczorem radio nadało komunikat o aresztowaniu

ojca „za szerzenie paniki na giełdzie warszawskiej”. Był to okres, gdy w całym kraju rozlepiano plakaty z podobizną Rydza-Smigłego i napisem: WODZU, PROWADŹ NA KOWNO! Rząd, grożąc aneksją Litwy kowieńskiej, podsycił szowinistyczne nastroje. Nazajutrz w dwóch popołudniówkach ukazały się zdjęcia ojca (jedno na wyścigach konnych, oczywiście z monoklem w oku!). Był zapewne śledzony i fotografowany od dłuższego czasu. Znalazł się pod obserwacją Centrali Dewiz, której się naraził ignorując obostrzenia i zakazy, według niego bezprawne. A chyba były bezprawne, skoro władze zamiast wytoczyć mu proces uciekły się do środków administracyjnych. Nad zdjęciem ojca w *Kurierku* widniał tytuł: „Do Berezy!”. Niżej zamieszczono tekst zgodny z duchem czasu: uczył się w chederze, mówił łamaną polszczyzną, jest zawodowym hazardzistą, w podziemiu jego biura znajduje się bar z zagranicznymi alkoholami... W Polsce często jest się bezbronnym wobec kłamstw i oczernień, ale ja wtedy jeszcze nie byłem tego całkowicie świadomy. Pisałem naiwne sprostowania do gazet: mój ojciec był uczniem gimnazjum Górskiego w Warszawie, mówi piękną polszczyzną, pochodzi z rodziny od dawna zasymilowanej, która dała Polsce uczestników powstania styczniowego i żołnierzy I Brygady, ojciec nie uprawia hazardu, w biurze ojca nie ma podziemia ani baru... Żadnego z moich sprostowań nie wydrukowano. Dopiero po tygodniu paszkwile w gazetach ustały.

Parę dni po aresztowaniu ojca zjawił się u nas policjant w mundurze i wręczył matce bukiet czerwonych róż. Powiedział, że konwojował ojca do Berezy Kartuzkiej. W pociągu ojciec dał mu banknot i zobowiązał go, by kupić dwadzieścia róż. Policjant przyrzekł, że je zanieśnie matce w dniu jej urodzin. Matka się rozplakała. Ojciec wrócił z Berezy po niecałym miesiącu. Wrócił szczupły i krótko ostrzyżony, bardzo podobny do swoich fotografii z gimnazjalnych lat. Halina Mikołajska, moja bratowa, opowiadała mi wiele lat później, że po którymś z jej zagranicznych występów podszedł do niej nieznamy mężczyzna i ofiarował drobny upominek: – To dla pana Brandysa z wdzięczności dla jego ojca, który po swoim zwolnieniu przysyłał mi paczki żywnościowe do Berezy. Siedziałem tam jako młody chłopak za komunizm.

„Był mieszczańcem – pisałem o ojcu – ale mieszczańcem ze skazą: odczuwał cudze cierpienie”.

Może powinienem dodać, że niedługo po zwolnieniu mego ojca zesłano do Berezy Kartuzkiej pisarza Cata-Mackiewicza (za warcholstwo) oraz hr. Rzewuskiego (za homoseksualizm).

Najpierw przytroczono mnie skórzanymi pasami do pionowej deski. Musiałem tak stać pół godziny. Powtórzyło się to czterokrotnie w ciągu tygodnia. Po dwóch tygodniach umiałem już stać bez deski. Uczono mnie chodzić. Chodziłem między dwiema równoległymi barierkami. Mój kinesiterapeuta (w skrócie *kiné*) odwoził mnie potem na ruchomym fotelu do pokoju. Za każdym razem mówił, że jest bardzo dobrze, tylko niepotrzebnie się garbię i uginam nogi w kolanach. On sam był wyprostowany i chodził bocianimi krokami. Na imię miał Jean-Pierre. Przypominał apostoła z „Ostatniej Wieczerzy”: twarz cała w ciemnym zaroście, włosy długie, opadające na ramiona. Ten apostoł lubił młode i ładne stażystki i pchając mój fotel zawsze przystawał na widok którejś z nich. Był to uwodziciel-gawędziarz. Czasem kwadrans czekałem w moim fotelu na kółkach, aż skończy rozmawiać z napotkaną po drodze Arlette czy Nicole. Do szpitala przyjeżdżał na motocykietce. Zawsze się spóźniał. Raz wpadł do mojego pokoju w czarnym kasku, z rozwianą brodą. A pewnego dnia przyniósł dwie metalowe laski. Wręczył mi je: – Jeżeli pan dojdzie o nich do końca korytarza, to za tydzień nie będę panu potrzebny. – Po dwóch tygodniach wstawałem rano z łóżka i bez niczyjej pomocy szedłem do łazienki. Salowa Nadine, która akurat wróciła z urlopu, krzyknęła na mój widok: – On chodzi! Tutaj robi się cuda! – Natomiast Jean-Pierre zegnając się ze mną powiedział, że wyzdrowienie zawdzięczam samemu sobie, to znaczy własnej woli życia.

Na François Miron odwiedziono nas z M. małym ambulansem. Siedząc koło szofera, który przez całą jazdę pytał mnie o Lecha Wałęsę, widziałem znajome bulwary, kawiarnie i przechodzących ludzi. Była już wiosna, kwiecień. Myślałem, komu zawdzięczam swój powrót: sobie, lekarzom czy cudom? I odpowiadało coś we mnie, że szczęśliwy wyrok Opatrzności,

dzięki któremu wracam teraz do domu, jest wyrokiem z zawieszeniem.

Generał Archambeaud wrócił ze swojej wiejskiej posiadłości dopiero jesienią, w październiku. Jak co roku, przywiózł go samochodem pan Domingo. Kiedy samochód zatrzymał się przed domem, pani Domingo pomachała ręką z parterowego okna, po czym wyszła na klatkę schodową, aby przywitać generała. Generał wszedł do domu, objął ją i powiedział, że nie czuje się dobrze. Chciał przysiąc na schodach. Pani Domingo wyniosła krzesło z mieszkania, generał usiadł, uśmiechnął się do niej i westchnął. Zdążyła podtrzymać mu głowę, umarł na jej rękach. Widocznie jego anioł czuwał nad nim do końca. A po tygodniu dowiedzieliśmy się, że generał Archambeaud pół roku wcześniej podpisał u notariusza akt darowizny na rzecz państwa Domingo. Odziedziczyli po nim piętrową willę z ogrodem i samochód Mercedes. Podatek od darowizny generał opłacił z góry z funduszków własnych.

W czasie mojej rekonwalescencji dni były pogodne i ciepłe. Chodziłem na krótkie spacerunki w kierunku Sekwany. Stawiałem dosyć pewne kroki, ale szedłem powoli; wyprzedzali mnie prawie wszyscy przechodnie. W słoneczne dni spacerunki były uciążliwe, bo słońce oślepiło rażą moje jedyne oko. Nawiasem mówiąc to półkalectwo na zewnątrz było nierozpoznawalne: moje lewe, ślepe oko nie miało żadnej skazy i niczym się nie różniło od prawego, tkniętego kataraktą, czyli zaćmą. Było jeszcze za wcześnie na jej usunięcie. Okulista doktor Sarfati przewidywał, że operacja będzie wykonana dopiero za pół roku. Mogłem jednak czytać niewielkimi partiami teksty drukowane wyraźną, dużą czcionką. Przeczytałem „Honolulu”, krótką powieść Marka Nowakowskiego. Powieść z kluczem. Ciekawa książka. Od razu jednak pierwsze zdania sprawiły mi przykrość, gdyż dotyczą kogoś, kogo dość blisko znam: „Dzień był wypełniony szpitalami. U jednego. Leży w lecznicy. Bardzo zły stan, atak sklerotyczny. Miotał się i wył. Zerwał pidżamę. Obnażył się. Wielkie brzuszysko, ohydne przyrodzenie. Br! Zawsze był to taki spokojny dobroduszny człowiek. Altruista, sama słodycz

dla innych. Może latami gromadził swoje jady, upychał głęboko i to wreszcie wybuchło? Wulkan wściekłości i nienawiści. Co on wygadawał!”

Pomyślałem: od tego uciekłeś. Od tego między innymi. Byłoby niecałą prawdą tłumaczyć swój wyjazd z Kraju jedynie względami politycznymi. Dusił mnie od dawna ten zaduch literackiego magła, to intelektualno-artystyczne piekielko, gdzie mogą prosperować tylko fajni kumple. Przez trzydzieści warszawskich powojennych lat nigdy nie byłem fajnym kumplem. Nie kochali mnie zbyt, nie cieszyłem się zbiorową sympatią. Ale i tak miałem szczęście, że nikt przez te lata nie opisał mojego brzuszyska ani przyrodzenia. Przestań o tym myśleć i zmień temat.

W sprostowaniach jakie wysyłałem do gazet w sprawie ojca (sześćdziesiąt lat temu!) nie pominąłem zawstydzających oświadczeń, że jego stryjenka była żołnierzem powstania styczniowego, jego cioteczny brat legionistą I Brygady, a z dwóch jego synów starszy jest oficerem rezerwy, młodszy zaś, czyli ja, studentem wyznania rzymsko-katolickiego. Wkrótce po moim powrocie z Brześcia dowiedziałem się od znajomych dziennikarzy, że antysemitki paszkwile inspirowała Centrala Dewiz, której szefem był pułkownik Markus, również dawny legionista i brat francuskiego malarza Marcoussisa. Po wrześniu 1939 znalazł się na Zachodzie.

W tomie „Dzoker” opisałem nasze spacerunki z ojcem po jego powrocie z Berezy, kiedy mi pokazywał na ulicy, jak kłusownik Dederko biegał po baraku wzdychając: – Do lasu... do lasu... – Szliśmy w stronę kawiarni Lourse’a, ale po drodze zatrzymywaliśmy się dwukrotnie. Najpierw ojciec wstępował do sklepu Braci Pakulskich, gdzie czekała już zamówiona przez niego paczka z żywnością, po czym kierowaliśmy się w stronę Poczty Głównej na placu Napoleona. Ojciec już przytył i dobrze wyglądał w swoim jasnoszarym tweedowym garniturze. Opowiadał mi, że po wypuszczeniu z Berezy był skrajnie wycieńczony i w bufecie dworcowym w Brześciu wypił jedenaście szklanek herbaty z cytryną. Dobrze zapamiętałem tę liczbę: jedenaście.

O niektórych krajach, takich jak Francja, Stany Zjed-

noczone, nieraz się mówi, że składają się z dwóch narodów: światłego i ciemnego. Mniej więcej po połowie. Są dwie Francje i dwie Ameryki Północne: światła i ciemna. Nie wiem, czy można by to samo powiedzieć o Polsce, Rosji lub Ukrainie. Tam światło było w mniejszości. W ciągu kilkunastoletniego pobytu we Francji miałem często okazję stwierdzić, że to rozpołowienie, które niemal w postaci wojny religijnej ujawniła przed wiekiem sprawa Dreyfusa, tutaj istnieje nadal. Ostatnio nabrało wręcz symbolicznego charakteru: dowództwo armii sprzeciwiło się ustawieniu pomnika kapitana Dreyfusa przed gmachem Ecole Militaire (dotychczas stał ukryty w krzakach Tuileryjskiego ogrodu).

W dzisiejszej Polsce utrzymuje się podział społeczeństwa na różne odłamy, lecz byłoby błędem mówić o „dwóch narodach” lub sądzić, że ten podział oznacza różnice programów, wiar albo przynależności klasowej. Przed rokiem 1939 sprawy były prostsze: endecy – nie-endecy, nacjonalizm – demokracja. Obecnie rzeczy są bardziej zawiłane i gdybym miał określić, jak przebiega linia podziału w III Rzeczpospolitej, powiedziałbym, że ów podział ma charakter socjalny: góra i dół, bogata góra i ubogi dół. Podział na prawicę i lewicę staje się anachroniczny; wytyczyć, gdzie kończy się ciemność a zaczyna światło, byłoby trudno. Czytając polskie gazety i słuchając radia odnoszę wrażenie, że wchodzi lub wkrótce wejdzie w życie kraju nowa warstwa, która nie będzie płodem oświecenia ani ciemnogrodu, natomiast wykaże dobrą orientację we współczesnym świecie techniki, nauki, inicjatyw przemysłowych i handlowych – słowem, że rodzi się typ inteligentnego organizatora cywilizacji, niemożliwy do politycznego zakwalifikowania w tradycyjnym sensie: ani prawica, ani lewica.

W latach stanu wojennego i później, aż do mojej choroby, często bywałem w Centre du Dialogue na ulicy Surcouf. Jest to ośrodek prowadzony przez księży Pallotynów, obszerniej pisałem o nim w „Miesiącach”. To właśnie tam, na rue Surcouf stykałem się wielokrotnie z księżmi o cechach menadżerów, ludźmi młodymi lub w średnim wieku. Kiedy w Polsce ogłoszono stan wojenny, dom Pallotynów stał się, obok domu w Maisons-Laffitte, właściwą ambasadą, gdzie znajdowała oparcie fala nowych emigrantów, członków Soli-

darności. To są rzeczy znane. A również to, że księża Pallotyni urządzają odczyty w parterowej salce, której ścianę od ulicy wypełnia ogromny witraż Jana Lebensteina przedstawiający Apokalipsę. Na drugiej, mniejszej ścianie widnieje głowa Chrystusa, wyrzeźbiona przez nieżyjącą już Alinę Szapocznikow.

Co było uderzające w tych odczytach – to, że katolicycy księża-menadżerowie zapraszali na wieczory autorskie pisarzy, naukowców, działaczy społecznych bez względu na ich światopogląd, przeszłość polityczną czy wyznanie. Prelegentami byli nie tylko profesorowie KUL-u, ale też dawni marksiści, ex-członkowie PZPR, agnostycy oraz przedstawiciele środowisk żydowskich. Zebraniom przewodniczył niemal zawsze superior paryskiej kongregacji ojców Pallotynów, ksiądz Zenon Modzelewski.

Po kilku tygodniach mojej rekonwalescencji miał się odbyć na Surcouf wieczór literacki Sławomira Mrożka. Jednakże nie mógł się odbyć, ponieważ dzień przedtem zmarł nieoczekiwanie ksiądz Zenon Modzelewski. Na wieczór Mrożka zważył się tłum. Przed 20.30 słuchaczy zawiadomiono, iż zamiast wieczoru autora „Tanga” odbędzie się msza żałobna za duszę księdza Superiora. Pojechaliśmy oboje z M. na ulicę Surcouf, wiedząc już o tym, co się stało. Po powrocie do domu obudził mnie w nocy tępy ból w dole brzucha. Nazajutrz biały ambulans ze mną w środku zatrzymał się przed wejściem do sali ostrego dyżuru szpitala Broussais. (...)

1998

Kazimierz BRANDYS

Wiersze

Józef ŁOBODOWSKI

DUMA O ATAMANIE PETLURZE*

(...)

Dymi kraj czarnoziem mgłą wieczorną, krwią zaporoską
sinym ogniem armatnim... W noc czerwcową nie wychódź,
[nie wołaj!

Puchacz w łuhu odpowie, zawyje wilkołak,
zawtóruje szyderczo codziennym rozpaczom i troskom.
Bredzą we śnie dziewczyny o piersiach twardych i
stromych,
księżycowe ogrody, podobne srebrnym kolebom,
po głębokich bajrakach noc i strachy, a domy, nie domy
na skrzydlatych topolach wylatują jak czajki pod niebo.

(...)

Ukraina niewolna, wróg ją depce – Moscus Inimicus!
Ukraina zielona, rozrzuciona po jarach i polach,
stygnie w mroźnej zawiei, zamiera bez krzyku,
wypatruje w rozpacz, gdzie woła jej i gdzie dola...
I nie widać by słońce na kozackich skrzyło się spisach
i nie widać sztandaru wiejącego ku chmurom,
jeno niebo jesienne nad krwawą krainą nawisa,
jako szynel twój szare, atamanie Symonie Petluo!

* Fragmenty „Złotej hramoty”, Paryż 1954.
(Zamieszczamy ten wiersz w 72 rocznicę zamordowania Atamana
Petlury w Paryżu 25 maja 1926 roku.)

Idą pułki na zgubę, głośny okrzyk: – Jeszcze nie umarła!
Huczą koła na bruku, siny zmierzch pod mostami Paryża.
Rudy strumień jesieni jak krwotok napływa do gardła,
lecą liście na ręce, złote liście kładą się na krzyżach.
I żelazna epoka przechodzi nad twoim narodem,
gasną żagle stargane na bryzach dalekich i morkach,
szumi ptactwo skrzydlate, wędrując za siódmą, za wodę,
smagłą dłonią je żegna czarna noc, dobroczynna znachorka.

Lata, czyny, zwycięstwa, obrócone w popiół i niwecz,
lata znojne, lata bezsenne, któż przypomni was i odważy?
Gwiazdy niebem się toczą, jak łyzy gorące po twarzy,
huczy morze dalekie, wezbrane spienionym przypływem,
konie broczą we krwi, drżące serca przeszywa sztych,
gasną lasy spalone, miasta stoją w łunach i gloriach...
Po kamiennych wiaduktach ze skrzypem butów i szprych
maszeruje, upada i tworzy się krwawa historia.

A uroczną godziną wśród podolskich pagórów i dróg
pociąg-widmo nadjeżdża, staje przed samą Winnicą,
świeci ogniem zielonym w ślepią biegnącym wilczycom,
ciężko dyszy w ciemności, znów rusza w łoskot i huk.
Otwierają się groby, powstają wojska pobite,
oczodoły gnijące kierują na Korsuń, na Kijów...

Tak nim słońce wypłynie, ptaki czujące przed świtem
podrywają się z gniazd, drżącymi skrzydłami biją,
wybuchają radosną pieśnią... Nad nimi niebo, jak fryz,
pełne bogów, zwierząt, obłoków, płomiennych jak Synaj –
przewalają się wszystkie – wtedy ludzie wychodzą z izb.
Koniec nocnym widziadłom. To dzień się zaczyna.

Józef ŁOBODOWSKI

Leszek SZARUGA

EROTYK

Jeszcze nie czas, ale przyjdzie
 pora, już
 nadchodzi: znów – odkłada
 gazetę – to samo: podwyżka
 czynszów, lokalne
 zamieszki. (Krew – myśli
 – cóż, zawsze
 jest krew). Ciało
 starzeje się, lecz
 to jest życie, zaś
 naprawdę
 liczy się tylko
 ten jeden moment, ta
 chwila.

SONET Z RÓŻĄ

Jak rozbudzona dzika róża
 Ze snu w dopływie krwi się zrywa,
 Tak twe źrenice krzyk odkrywa,
 Tak w żyłach twych się rodzi burza.

I mocy barwom wciąż przybywa:
 Purpura z kwiatu się wynurza,
 W szkarłat przemienia, wynaturza
 I eksploduje. Krew odpływa.

Drżą jeszcze płatki, wewnątrz róży
 Cicho pulsuje. Twe źrenice
 Mgła snu zasnuwa. Z tej podróży

Nie ma powrotu. Są granice.
 Wytrzymałości: po tej burzy
 Znasz już rozkoszy tajemnicę.

Leszek SZARUGA

Archiwum polityczne

Kłopoty nad Zatoką

Pamiętam huk amerykańskich bombowców, który obudził nas w Katarze nad Zatoką Perską wczesnym rankiem w czwartek 17 stycznia 1991 roku. Samoloty leciały nisko, z bombami przyczepionymi do skrzydeł, ciężkie jak najedzone trzmielce. Wyrwani z głębokiego snu, nie protestowaliśmy jednak przeciwko niespodziewanej pobudce. Przyjęliśmy ją z dużą ulgą, bo po wielu miesiącach przygotowań do wojny oraz eskalacji napięcia, po prostu mieliśmy dość czekania. Sytuacja polityczna jawiła się wówczas jako w miarę jednoznaczna: Irak napadł na Kuwejt, a międzynarodowa społeczność wyczerpawszy środki dyplomatyczne, nie bez zastrzeżeń, ale w końcu jednogłośnie, na forum ONZ podjęła decyzję o użyciu siły przeciwko armii irackiej.

Znajomy Kataryjczyk, Abdullah, zaprzyjaźniony z kilkoma europejskimi i amerykańskimi rodzinami z naszego osiedla, na kilka dni przed rozpoczęciem ofensywy Desert Storm przybiegł do nas zziębnięty i zostawił nam torbę chleba. „Włóżcie do zamrażalnika – przykazał – może się przyda w razie czego”. Arabski chleb to chleb znany z biblijnych przekazów: płaski, okrągły, pieczony bez drożdży. Łatwo się nim dzielić. Do dzielenia się jest wręcz stworzony. Zmiękły nam serca od tego arabskiego chleba, którym obdarował nas Abdullah. Byliśmy w koalicji, byliśmy sojusznikami.

Bombardowanie pozycji irackich przez siły ONZ, a w rzeczywistości głównie Amerykanów i Brytyjczyków, trwało kilka miesięcy. W pierwszym tygodniu wojny, za pieniądze zwrócone nam przez biuro podróży, które odwołało wyjazd na Cypr (lotnisko w Doha, o najdłuższych pasach startowych

nad Zatoką, pozostawało zamknięte dla cywilnych samolotów pasażerskich), kupiliśmy sobie nowy telewizor i siedzieliśmy całe dni przykuci do CNN. Uniwersytet Katarski, gdzie pracowaliśmy, ze względów bezpieczeństwa odwołał zajęcia, co znacznie przedłużyło nasze zimowe ferie. Ci, którzy nie zdążyli wyjechać przed 17 stycznia, tkwili jak my w poszarzałym mieście. Spotykaliśmy się po domach, jedząc razem obiady, kolacje, pijąc dzin z tonikiem, dyskutując do upadłego, co też Saddam chowa w rękawie i kiedy zrobi z tego użytek. Baliśmy się jego nieprzewidywalnych reakcji i demonizowanego przez media potencjału militarnego, zwłaszcza broni chemicznej i biologicznej. Tymczasem Saddam, owszem, wystrzelił co mógł, ale nie narobił przy tym nikomu specjalnych szkód, oprócz Dahrana w Arabii Saudyjskiej, gdzie zginęło kilkunastu amerykańskich żołnierzy. Kilka jego mało skutecznych „scudów” zostało nawet skierowanych w stronę Kataru, ale z racji odległości nie doleciały i spadły gdzieś na pustynię.

Z wiadomości podawanych na gorąco przez CNN zaczęła wyzierać dziwna prawda: Saddam praktycznie się nie bronił, bo nie miał po prostu jak. Przytłoczony fantastyczną technologią militarną USA, zamilkł. Wkrótce podpisano rozejm. Tłumy wiwatowały na ulicach, młodzi Arabowie jeździli po mieście wymachując flagami kuwejskimi i kataryjskimi, z zawsze górującą nad nimi flagą amerykańską. *Long live America!* Koniec wojny, więc maski gazowe, wydane nam na początku stycznia przez ambasadę brytyjską, odłożyliśmy z ulgą na samo dno szafy. Z przyzwyczajenia jednak nadal oglądaliśmy CNN.

Z tego oglądania dość szybko i coraz dobitniej zaczęło do nas docierać, że sprawa wojny nad Zatoką nie jest jednak ani jednoznaczna, ani zakończona. Amerykanie doszli do granic Iraku, wypędzili iracką armię z Kuwejtu i ... zostawili Saddama Husseina w spokoju. Pewnie, że chcieli go „zdjąć”. Nie chcieli jednak w to zdejmowanie sami się angażować, choć okoliczności strategiczne wydawały się sprzyjające. Z drugiej strony prawdą jest, że nie było wówczas odnośnej rezolucji ONZ. Amerykanie przeprowadzili więc dyskretne rozmowy z Kurdami i z iracką opozycją (Iraqi National Congress). Obiecali pomoc militarną w razie gdyby wybuchło

powstanie. Powstanie wybuchło, pomoc jakoś się nie zmaterializowała. W nadanym ostatnio przez Orbit News godzinny programie, ówczesny szef CIA tłumaczył, że Ameryka liczyła na przewrót wojskowy raczej niż na insurekcję kurdyjską czy powstanie organizowane przez opozycję, choć pozostawała w kontakcie i z Kurdami, i z Irackim Kongresem Narodowym. Wydaje się, że wbrew pozorom, dobrze uzbrojona, silna armia w Iraku potrzebna była i jest Amerykanom (a także na przykład Arabii Saudyjskiej oraz innym państwom, niekoniecznie sąsiedzkim) dla utrzymania równowagi sił w rejonie Zatoki.

Równowaga sił nad Zatoką Perską (czy raczej Arabską, jak upierają się Arabowie) jest bowiem rzeczą delikatną i wymagającą bardzo dokładnego wyważenia. Z jednej strony autokratyczny, bezwzględny Saddam, kreujący się, zależnie od okoliczności, na Żandarma Zatoki, obrońcę Palestyńczyków, przywódcę arabizmu etc., zawsze jednak stanowiący przeciwwagę dla Iranu; z drugiej właśnie fanatycznie islamski, szyicki Iran, z trzeciej fanatycznie islamskie, sunnickie Królestwo Arabii Saudyjskiej, z czwartej maleńkie emiraty Kuwejtu, Bahrainu, Kataru, potem Zjednoczone Emiraty Arabskie, Oman i w końcu, najmniej tu istotny, ale niespokojny, raz podzielony, raz zjednoczony, biedny jak mysz (choć nie kościelna) Jemen. Między tymi państwami długi pas szmaragdowych wód Zatoki, pod którymi, podobnie jak pod piaskami Pustyni Arabskiej, kryją się niestłuchanie bogate złoża ropy naftowej i gazu ziemnego. Prawie połowa światowych zasobów ropy naftowej pochodzi właśnie stąd. Są to przy tym złoża najłatwiejsze w eksploatacji. Arabskie, perskie, czy irańskie, zwał jak zwał, *petroleum* pozostaje cennym skarbem dla Zachodu. Zresztą liczy się nie tylko ropa. Przez ponad dwie dekady gospodarki amerykańska, japońska, francuska, angielska, włoska, niemiecka i jeszcze parę innych, uzależniły się w dużej mierze od lukratywnych kontraktów podpisywanych z rządami większości krajów Zatoki, które to kraje wydają i inwestują na Zachodzie niewyobrażalne sumy pieniędzy.

Żaden z nich nie jest przy tym rządzony metodą demokratyczną i w żadnym nie kwestionuje się oficjalnie budżetu państwa. Rodziny panujące (a trzeba pamiętać, że społecz-

ności arabskie Zatoki opierają się na systemie plemiennym, klanowym) dbają o swych obywateli: wolne od opłat jest szkolnictwo począwszy od podstawowego aż do uniwersytetów, darmowa jest też opieka lekarska oraz prawie darmowe, dotowane przez rządy pozostaje budownictwo mieszkaniowe. Nie płaci się podatków, subsydiowana jest przez państwo elektryczność i woda, benzyna tania jak barszcz, darmowa telefonia miejscowa, niskooprocentowane pożyczki bankowe. Takiego systemu świadczeń socjalnych można tylko pozazdrościć. Tutejsze rodziny panujące same żyją jednak w tak niesłychanym luksusie, że gdyby nie uchyliły wieka skarbcza dla współplemieńców, prędzej czy później musiałyby pożegnać się z władzą i salwować ucieczką za granicę.

Niełatwo jest Zachodowi współpracować z reżimami Zatoki, i to nie tylko z irańskim – niemożliwie ortodoksyjnym i antyzachodnim – czy też z irackim, groźnym, bo nieobliczalnym. Pozostałe reżimy są co prawda nieco łagodniejsze, także jednak bywają kapryśne, zmienne, płochliwe, obraźliwe. Trzeba z nimi ostrożnie. Za dużo tu pieniędzy, za dużo finansowego potencjału. Za dużo niezdrowych ambicji, za mało politycznej wiarygodności. Trzeba uważać, bo a nuż polubią się z Chinami albo Koreą Północną. Jeszcze niedawno miał tu zakusy polityczne Związek Sowiecki. Lepiej więc samemu sprzedawać im broń, kontrolować dostęp do takich czy innych osiągnięć technologii wojskowej, tym bardziej, że tak dobrze za to płacą. Kuwejt napadnięty przez Irak trzeba było oswobodzić nie ze względów moralnych, a taktycznych. Przed Kuwejtem i po Kuwejcie były przecież inne kraje, na których ratunek nie spieszył bynajmniej cały świat: na przykład Afganistan, potem Bośnia i Czeczenia. O względy moralne głośnie na puszczy wołali tam naiwni i szlachetni, bezstronni obserwatorzy, wysyłani przez rozmaite organizacje humanitarne. Kuwejt, jedno z najbogatszych państw świata, którego mieszkańcy nawet nad Zatoką znani są z arogancji, nie musiał o pomoc długu prosić.

Operację wyzwolenia Kuwejtu szalenie ułatwił fakt, że za uderzeniem militarnym przeciwko armii irackiej opowiedziało się bez wahania GCC – Gulf Cooperation Council (Rada Współpracy Państw Zatoki Perskiej), czyli Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty, Bahrain, Katar, Kuwejt i Oman. Rada

podjęła również istotne decyzje o świadczeniach finansowych na rzecz aliantów (60 miliardów dolarów). Kraje islamskie (nie tylko arabskie) wysłały też własny kontyngent wojskowy w liczbie 100 tysięcy żołnierzy i 1250 czołgów.

Ówczesna, stosunkowa jedność krajów Zatoki, ich pozytywne nastawienie do zewnętrznej ingerencji w sprawy, wydawałoby się, czysto arabskie, były w zasadzie czymś bez precedensu. (Obecnie zgody brakuje nawet w kwestii układów z Izraelem, którego na przykład nie chce izolować politycznie rząd Kataru, bo odpowiada mu jako partner handlowy). Relacje między tymi krajami a światem niearabskim zawsze zresztą były i są dość skomplikowane. Wplatają się w nie rozmaite, nieraz sprzeczne ze sobą wątki: plemienna i religijna lojalność wobec islamskiego świata Arabów; chęć osiągnięcia standardu życia Zachodu bez zawracania sobie głowy zachodnim etosem pracy i edukacji; lęk przed siłą militarną Saddama Husseina spotęgowany własną nieudolnością w tej dziedzinie; lęk przed szycką ortodoksją irańską i wspieranym przez Iran terroryzmem, który narobił ostatnio tyle bałaganu w Bahrainie; zależność od naukowej, wojskowej i ekonomicznej ekspertyzy Zachodu, zwłaszcza USA; niechęć do wartości reprezentowanych przez Zachód, zwłaszcza USA; nieufność wobec układów amerykańsko-izraelskich; nieufność wobec Ameryki w ogóle – nadal świeża jest pamięć o tym, jak lekko w roku 1979 przyszło Amerykanom porzucić na pastwę losu szacha Iranu, oddanego sojusznika Stanów, nie mówiąc już o wspomnianym wystawieniu do wiatru Kurdów i opozycji irackiej.

Takie rzeczy pamięta się długo i wyciąga z zanadru w wygodnym momencie.

Sytuacja obecna jest o wiele mniej jednoznaczna niż 7 lat temu. Z pobieżnej choćby lektury lokalnych gazet angielskojęzycznych widać, że składają się na nią dziesiątki wzajemnie znoszących się nurtów już to oficjalnych, już to prywatnych, rozlewających się w jeziora odwiecznego antagonizmu arabsko-amerykańskiego, pragmatycznych priorytetów finansowo-politycznych, nawoływań o podejście humanitarne i wejrzenie w tragiczną sytuację społeczeństwa irackiego, pobożnych życzeń o nagłą i niespodziewaną śmierć Saddama, wreszcie lęku o to, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Nie ma tym razem jednomyślności co do sposobów rozwiązania kolejnego kryzysu irackiego. Czy czeka nas jeszcze jedna wojna nad Zatoką? Prawdopodobnie tak, na to przynajmniej wskazywać by się zdawały znaki dawane niebu i ziemi przez rząd amerykański. (Nawet ambasada brytyjska kazała nam się właśnie ponownie zarejestrować). Inne rządy jednak, oprócz kilku białych państw chrześcijańskich, albo w ogóle nie wyrażają poparcia dla uderzenia militarnego, albo wyrażają, ale z różnymi zastrzeżeniami – choć przecież problem jest w istocie swojej ten sam, co przedtem: niepodporządkowanie się przez Irak zarządzeniom ONZ.

W rozmowach prywatnych wielu dyplomatów arabskich popiera uderzenie na Irak, o ile miałyby ono zaowocować usunięciem lub choćby tylko dalszym osłabieniem Saddama. Nadal bowiem odczuwa się niepewność co do jego możliwości militarnych i pomysłów na przyszłość. Oficjalne inspekcje irackiego arsenału odbywają się od prawie 7 lat. W ciągu tego czasu inspektorzy oenzetowscy nieraz napotykali rozmaite trudności stawiane im przez władze irackie, ale w sumie udało im się skontrolować i doprowadzić do unieszkodliwienia całkiem pokaźnych ilości różnych rodzajów broni. Czy to jednak jest wszystko? Czy Saddam nie pochował po kątach nowych niebezpiecznych zabawek? Czy sankcje gospodarcze były wystarczająco surowe, aby rzeczywiście nie dopuścić do żadnej wymiany handlowej? Nikt nie jest na tyle naiwny, aby w to wierzyć, a tajemnicą poliszynela jest szmugiel odbywający się w obie strony na granicach iracko-syryjskiej i iracko-jordańskiej. Kilka dni temu na moskiewskim spotkaniu amerykańsko-rosyjskim strona gospodarzy gorąco zaprzeczyła jakoby dwa lata wcześniej sprzedała Irakowi wyposażenie i środki do produkcji broni biologicznej. Skądinąd wiadomo, ile takie zaprzeczenia są warte. Irak nie jest w stu procentach izolowany gospodarczo. Coraz więcej Irakijczyków zatrudnianych jest w krajach Zatoki: na przykład w Katarze znajduje się sporo irackich lekarzy, nauczycieli i wykładowców uniwersyteckich. Część ich pensji wysyłana jest do domu, co w postaci podatku oznacza dodatkowy zarobek dla państwa. Państwo to zaś z uporem maniaka (a nie jest to w tym przypadku zwrot retoryczny), nadal ma ambicje odbudowania swego potencjału militarnego.

Nie da się ukryć, że Irak od wielu lat, na długo jeszcze przed inwazją Kuwejtu, stanowił fantastyczny rynek zbytu dla producentów broni: amerykańskich, rosyjskich, francuskich, niemieckich, chińskich i wielu innych, polskich nie wyłączając. Wojna iracko-irańska była na dobrą sprawę poligonem doświadczalnym USA i Związku Sowieckiego. Ten ostatni, jak wiadomo, zawsze występował w roli sojusznika Saddama, z którym wiązał pewne nadzieje polityczne. Teraz, pod postacią nowej Rosji, nadal popiera jego rządy i jest zwolennikiem podejścia *softly-softly*, co objawia się w coraz bardziej desperackim poszukiwaniu rozwiązań dyplomatycznych obecnego kryzysu. Wykluczenie Iraku z międzynarodowej społeczności ekonomicznej stanowi stratę nie tylko dla Iraku. Podjęcie teraz akcji militarnej przeciwko Irakowi oznaczałoby dla wielu rządów jeszcze dalsze odsunięcie możliwości nawiązania kontaktów handlowych z tym potencjalnie bogatym państwem, zasobnym w ropę naftową. Istnieją przy tym również względy humanitarne.

Zagraniczne stacje telewizyjne (a większość krajów Zatoki zezwoliła na założenie sieci kablowej) pokazują od czasu do czasu wstrząsające obrazki ze szpitali irackich: dzieci, które umierają z niedożywienia i braku fundamentalnych leków, bezrobotnych dorosłych, którzy wyprzedają meble, aby zdobyć jedzenie, ogólną nędzę i mizериę tego teoretycznie zamożnego kraju. Szeroko rozumiana światowa opinia społeczna zaczyna się zwracać w stronę zwykłych Irakijczyków, którzy cierpią za szaleństwa swego niepoczytalnego prezydenta. Coraz częściej słyszy się głosy o przywróceniu Irakowi statusu normalnego państwa i partnera handlowego. Tym razem jest o wiele więcej protestów przeciwko nieprzejednanej postawie Ameryki niż poprzednio (choć w zasadzie wszystkie kraje Rady Bezpieczeństwa, a także kraje arabskie są zgodne, że Irak musi podporządkować się rezolucjom ONZ) i o wiele wyraźniejsze są nawoływania do dyplomatycznego wyjścia z kryzysu. Jednocześnie Amerykę kreuje się na stronę moralnie złą i przeciwstawia się ją nie tyle Saddamowi, co wyniszczonemu sankcjami Irakowi. Zresztą sam Saddam Hussein też tu i ówdzie (np. w Jordanii czy wśród Palestyńczyków) zyskuje sobie poparcie jako przedstawiciel Arabów wobec wrogiego świata Zachodu, niemal

męczennik sprawy arabskiej w konfrontacji z żądnymi krwi Jankesami.

Ale nie jest też łatwo zlekceważyć ostrzeżenia amerykańskich specjalistów przed ukrytymi składami broni chemicznej i biologicznej Saddama. Bombardowanie „inteligentnymi” bombami wydaje się jedyną opcją. Czy jednak amerykańskie *smart bombs* nie spadną przypadkiem na głowy cywili, których przecież łatwo dałoby się zapędzić na tereny podejrzanych pałaców demonicznego prezydenta? W naszej lokalnej białej społeczności zdania na ten temat są zróżnicowane, ale nie na tyle, żeby w końcu nie przyznać racji racjonalnej stronie amerykańskiej – pomimo wątpliwości co do czystości jej intencji. Zastanawia mnie tylko jedno: czy tym razem Abdullah znowu przyniesie nam torbę arabskiego chleba? Czy chociaż prywatnie pozostaniemy sojusznikami?

Magdalena ROSTRON

P.S. Kiedy pisałam te słowa, zadzwonił dzwonek u drzwi. To zjawił się Abdullah, ale z torbą... truflii pustynnych. Hm, oto jaki został osiągnięty stopień wyrafinowania kulinarnopolitycznego. Nadal więc jesteśmy przyjaciółmi, a o możliwej wojnie rozmawialiśmy przy połędwicy z truflami ze zblazowaniem starych weteranów.

Rząd na kolizyjnym kursie

Wiesław Walendziak, szef kancelarii premiera, wystosował do niego 10 marca list, który zarazem udostępnił prasie (!). Było to imperatywne ponaglenie, by premier i rząd nadali wreszcie bieg zaproponowanej przez nich jeszcze w styczniu reformie administracyjnej: „...oczekiwanie społeczne (...) w dramatyczny sposób pogłębia krytyczną ocenę pracy rządu zarówno w oczach opinii publicznej jak i w oczach elit”. Walendziak miał rzeczywiście rację, choć szef kancelarii, który pisuje otwarte (w praktyce) listy do swego premiera, powinien wylecieć z posady, co się zresztą nie stało i co tylko potwierdza, że Jerzy Buzek jest z miękkiego materiału. Jeśli jego rząd przypomina nieraz statek bez steru, to jedną z pierwszych tego przyczyn jest osobowość premiera. Jerzy Buzek nawet z błahymi decyzjami kadrowymi czeka na okazję do rozmowy z Marianem Krzaklewskim. Nasuwa się przypuszczenie, że ta właśnie jego cecha, elegancko zwana „bezwzględną lojalnością” zadecydowała o nominacji. Gdy Jerzy Buzek przyciskany przez dziennikarzy o ewentualną rekonstrukcję gabinetu sugerował, że teraz (w marcu) jest na to za wcześnie, ale na przykład po ośmiu miesiącach urzędowania trzeba może będzie dokonać „przeglądu ministrów”, chciało się zapytać, czy pierwszym do przeglądu nie powinien być sam premier. W każdym razie rozczarowanie Jerzym Buzkiem jest w mediach i w klasie politycznej powszechne (choć w opinii publicznej pocziwy premier jest nadal w poważaniu).

Drugim, poważniejszym powodem niesterowności rządu jest brak dobrze wytyczonego kursu. Oczywiście wszyscy

chórem zaklinają się na reformy, wstępują do NATO i Unii Europejskiej, ale formuły te są traktowane jako cele, natomiast marszruty do nich prowadzące każdy widzi inaczej i są one uzgadniane tylko *ad hoc*, od przypadku do przypadku.

Obie koalicyjne formacje nie są jednak w tym samym stopniu i w ten sam sposób za te spory i konflikty odpowiedzialne.

Akcja Wyborcza Solidarność jest rodzajem konfederacji, w której związek zawodowy jest dominującą strukturą w terenie. Inicjatywa Krzaklewskiego powołania „Ruchu Społecznego AWS” jako politycznej formacji, która by oddzieliła sam związek od zajmowania się polityką, co obecnie robi jako hegemon w AWS, najwyraźniej się nie powiodła: nie podoba się baronom związkowym, którzy nie mają ochoty się „samorządzić” i nie podoba sojusznikom i partynom, które obawiają się, by RS AWS nie chciał ich zaraz potem „zjednoczyć” w jednolitą partię. Sam Krzaklewski uznał pośrednio fiasko swego projektu, gdy zadeklarował, że ze wszystkich swoich czterech stanowisk przewodniczącego – Solidarności, AWS, RS AWS i klubu parlamentarnego AWS – chciałby zachować tylko to pierwsze. Jest to, nawiasem mówiąc, rozsądna inicjatywa, jeśli rzeczywiście przewodniczący „S” chciałby się ubiegać o prezydenturę w 2001 roku. Ale wydaje się wątpliwe, czy sytuacja pozwoli Krzaklewskiemu usłuchać rozsądku. W radzie AWS jego rolą jest powściągnięcie ambicji partyjnych. Hałaśliwe awanturnictwo KPN-OP Adama Słomki jest tu, wbrew pozorom, mniej groźne dla spoistości konfederacji, niż konsekwentna, choć bez wyskoków, presja Mariana Piłki i jego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, do którego już się przyłączyła grupa Jacka Kurskiego z ROP-u: magnes udziału we władzy najwidoczniej rozkrusza tę dwugłową formację Olszewskiego-Macierewicza (obie głowy już nawet ze sobą nie rozmawiają). Nieporównanie zresztą ważniejsze niż akces wychodźców z ROP-u jest dla Mariana Piłki wsparcie, jakie ZChN otrzymuje od Rodziny Radia Maryja i jej nieformalnej reprezentacji w parlamencie. Nie jest to wsparcie bezwarunkowe: Rodzina domaga się, by ZChN „trzymał się twardo” w rokowaniach w Brukseli i kwestionuje koncepcję województw – regionów, jako zagrażającą integralności terytorium. W ogóle zresztą wy-

znawcy ks. Rydzyka nie są zbyt rozkochani w samorządności i zgodnie z tradycją endecką preferują państwo „unitarne”, które to określenie jest eufemizmem w miejsce „państwa scentralizowanego”. Podpierany w ten sposób ZChN ma wprawdzie szansę okazać się przy próbie wyborczej najmocniejszą partią prawicy, ale nie może rzetelnie pomagać Jerzemu Buzkowi w dwóch przynajmniej jego reformatorskich przedsięwzięciach: rozmowach z Brukselą i reformie administracyjnej. Wprawdzie Ryszard Czarnecki z ZChN jest niepomnie dumny ze swej posady Głównego Integratora pomiędzy Bronisławem Geremkiem z Unii Wolności i ambasadorem Kuligowskim, przyjacielem Unii Wolności i chętnie daje do zrozumienia, że twardość ZChN sprzyjać będzie lepszej obronie polskich interesów w Brukseli, ale wkrótce może się okazać, że na tej linii nie potrafi się utrzymać nawet znacznie lepszy linoskoczek od Czarneckiego. W ciągu pierwszych miesięcy rokowań w Brukseli, kiedy z natury rzeczy strony zajmują wyraźne stanowiska wstępne i nie rozmawiają o kompromisach, opinia publiczna w Polsce szybko traci pierwotny entuzjazm dla Unii Europejskiej: w niedawnym sondażu zostało już tylko 56% zwolenników, a niezadługo nie będzie zapewne nawet połowy. Jest znamienne, że również pisma, dla których Unia Europejska była dotąd bez mała świętością (*Rzeczpospolita*, *Polityka*, *Gazeta Wyborcza*) miarkują dzisiaj swe poparcie i starają się pisać chłodno i beznamiętnie. Na początek nie ma jeszcze w tym wszystkim nic, co by wykraczało poza normy brukselskich rokowań, ale w Polsce sceptycyzm i niechęć wobec integracji z Europą mają, niestety jak wszystko w naszej ojczyźnie, charakter obronny, częściej symboli niż interesów, emocji niż kalkulacji. Niewolny od tego skrzywienia jest nawet trzeźwy PSL, a cóż dopiero ZChN i okolica? Wizyta biskupów w Brukseli, po której prymas Glemp zapewniał, że witano ich tam bez mała jak Cyryla z Metodym i że Europa spragniona jest „duchowości”, dodała wprawdzie otuchy księżom, choć i tak wyniki sondażu CBOS w tej grupie zawodowej są dość dwuznaczne: księża chcą, żeby UE była wspólnotą gospodarczą i wspólnotą wartości, ale nie wspólnotą polityczną, tymczasem UE jest zdaniem 58% respondentów właśnie wspólnotą polityczną, a tylko 19% uważa ją za wspólnotę

wartości. A Radio Maryja, którego słucha 60% księży, prowadzi nadal swą kampanię antyeuropejską. Wśród wiernych są już tego efekty.

Reforma administracyjna stała się koronnym przykładem bezhołowania i nieudolności rządu. Zadufana po zwycięstwie wrześniejom koalicja, przekonana, że reforma terytorialna nic właściwie nie kosztuje (2 zł na obywatela, wyliczył Michał Kulesza) w porównaniu z reformą emerytur, szkolnictwa czy zwłaszcza służby zdrowia – postanowiła od niej właśnie rozpocząć „naprawę Rzeczypospolitej”, po czterech latach komuszych zaniechań i zaniedbań. Panowało najwidoczniej przekonanie, że będzie to reforma nie tylko tania ale również łatwa i politycznie owocna. W swoim czasie Jan Maria Rokita z tymże Michałem Kuleszą otwarcie cieszyli się, że 300 miast na nowo powiatowych to nowe głosy dla rządu. Oporów miało nie być, bo przecież SLD, inaczej niż PSL i wyeliminowana z parlamentu Unia Pracy, już się opowiedział był za wprowadzeniem powiatów i dużymi województwami. Ogłoszono więc reformę z pieca na łeb, bez przygotowania informacyjnego, bez gotowego pakietu ustaw kompetencyjnych dla nowej struktury administracyjnej, z przeświadczeniem, jak to napisał w *Gazecie Wyborczej* zasmucony wnioskiem o referendum zwolennik powiatów, że przecież nikt nigdy na świecie nie pytał narodu o podział administracyjny, nie powinno więc być kłopotów. Klasa polityczna jest „za”, a innym wara. Tymczasem kłopoty są i jest ich coraz więcej, tym bardziej, że rozzuchwaleni aż do arogancji reformatorzy postanowili za jednym zamachem odroczyć poza termin ustawowy wybory gminne, gdzie kadencja kończy się 19 czerwca i odbyć je razem z powiatowymi i wojewódzkimi „gdzieś na jesieni”.

Nie będę się tu zajmował argumentacją za i przeciw powiatom, choć sam mam całkiem urobione zdanie: wskrzeszenie powiatów jest promowaniem biurokracji i tworzeniem jeszcze jednego rezerwatu posad dla klientów partii u władzy, a wszystko co miałyby robić powiaty, mogą zrobić gminy bądź województwa (samorządowe). Rozsądne byłoby co najwyżej wykreowanie poza właściwą siatką administracyjną, kilku – kilkunastu dużych regionów zajmujących się wyłącznie promocją gospodarki i infrastrukturą, tak

jak we Francji. Koncepcja reformy proponowana przez rząd wyraża, wbrew zapewnieniom, próbę ograniczenia jedynej autentycznej samorządności terytorialnej, która ma szansę być szkołą demokracji obywatelskiej dla wszystkich: gminy. Ale, jako się rzekło, za późno na tę dyskusję; reforma administracyjna tak czy inaczej dojdzie do skutku, ale na różne sposoby zdeformowana w stosunku do pierwotnego projektu. W zamian za utrzymanie dyscypliny, postendecka prawica w AWS zredukuje do pozoru wszelką samorządność wojewódzką i ograniczy do minimum możliwości regionalnej polityki. Ale jest też wątpliwe, czy po prawie ogólnopolskiej „wojnie o województwa”, jaką lokalne klasy polityczne kilkunastu ośrodków rozpętały przeciw centrum, rząd zyska na tej reformie polityczne punkty: albo województw będzie tylko 12 i wtedy przegrywające ośrodki wezmą odwet w wyborach samorządowych, albo parlament uchwali 17 czy więcej – i wówczas zwycięstwo otrąbi SLD. Wiele więc przemawia za tym, że pierwsza w kolejności reforma w tej kadencji skończy się dla rządu polityczną porażką. Gdyby, rzecz jasna, reforma nie przeszła, trzeba by mówić wprost o klęsce i dymisji gabinetu.

Zaznaczyłem wyżej, że odpowiedzialność drugiego partnera koalicji, Unii Wolności, za nieudolności rządu przedstawia się inaczej niż AWS. Jest przede wszystkim niezaprzeczalne, że Unia Wolności jest dziś jednolitą i (prawie) zdyscyplinowaną formacją, która nie musi zużywać energii i pomysłów na wewnętrzne przetargi i kombinacje. Unia Wolności dysponuje również wsparciem zdecydowanej większości kadr, które mają coś do powiedzenia w sferze finansów i gospodarki pieniężnej: urzędników, ekspertów, bankierów, inwestorów. Nawet ci posiadacze gotówki i wiedzy o gotówce, którzy należą do postkomunistycznej nomenklatury, gotowi są mimo związków z SLD sprzyjać polityce Balcerowicza. A Leszek Balcerowicz jest, jak dotąd, niekwestionowanym przywódcą wszystkich polskich liberałów, niezależnie od koloru legitymacji. Mając w ręku takie atuty, Balcerowicz nie może wprowadzić przymusić koalicjanta do zaakceptowania unijnych koncepcji reform, ale może jednak skutecznie przegradzać drogę własnym pomysłom AWS, może narzucać kalendarz reform i ostatecznie może wymuszać ustępstwa, od

których w klubie parlamentarnym AWS i w różnych grupach elektoratu Akcji aż się kotłuje od protestów. W ten właśnie sposób ogłaszając na początku marca swoją „średniookresową strategię finansową 1999–2001” Balcerowicz zmusił rząd do rewizji kalendarza reform: opóźnienie zbyt kosztownych (reformy edukacji), przyspieszenie zaległych (górnictwo) lub zbliżenia ich do formuły Unii Wolności (reformy służby zdrowia). W zamian za to zgodzono się na liberalniejsze wskaźniki strategii; deficyt budżetowy, który Balcerowicz jeszcze w styczniu zamierzał sprowadzić do zera już w 2000 r. a w projekcie strategii „popuścić” do 2001/2002, ma ostatecznie zniknąć dopiero w 2003 r. Jest to z pozoru wielkie ustępstwo wicepremiera, ale Balcerowicz nie mógł nie wiedzieć, że jego wstępne projekty są najzupełniej nierealne. Były one właśnie podłożoną rządowi monetą przetargową. Tymczasem Funusz Walutowy i za nim pani prezes BP ogłosiły zalecenia, żeby deficyt sprowadzić do zera już w 1999; to prawda, że z formułą „byłoby dobrze gdyby”. Ponadto, w ostatecznej wersji strategii upiększono wskaźnik bezrobocia (8% zamiast 9%). Z tym wszystkim jeśli wyborcy (lub przynajmniej działacze) AWS przeczytają dokładniej „strategię” ministra finansów, zrozumieją, że obietnice wyborcze AWS trzeba wrzucić do kosza. Zasada, którą nieodmiennie głosi Balcerowicz jest, że państwo powinno więcej wydawać na swoje „podstawowe zadania” (wymiar sprawiedliwości, bezpieczeństwo publiczne, obronność czyli unowocześnienie armii) oraz infrastrukturę i badania naukowe jako związane z rozwojem. Odpowiednio zredukowane, relatywnie i również bezwzględnie, mają być wydatki socjalne. Pierwszą praktyczną realizacją „strategii” jest rządowa wersja reformy służby zdrowia.

W koalicji funkcjonowały dotychczas dwa różne pomysły na tę reformę. Pierwszy – Unii Wolności, opracowany jeszcze przez Marka Balickiego, wiceministra zdrowia w rządzie Suchockiej (w 1997 zrezygnował z kandydowania; renomowany psychiatra oświadczył mi, że intelektualnie bardziej mu odpowiadają jego pacjenci), zakłada, że najpierw, nim się wprowadzi mechanizmy ubezpieczeń, trzeba radykalnie zreformować samą służbę zdrowia, od ministerstwa poczynając i zrjonalizować jej działanie, aby wyeliminować potworne marnotrawstwo, do którego profesja lekarska nie lubi się

przyznawać (formalnie, ok 400 jednostek służby zdrowia ma już dziś status samodzielnych zakładów nie zaś jednostek budżetowych, ale dobrze znająca temat Elżbieta Cichocka z *Gazety Wyborczej* twierdzi, że faktycznie samodzielnych jest niespełna 70).

Idee Balickiego, choć rozsądne, nigdy nie doczekały się realizacji: tzw. opór materii (profesja lekarska i Ministerstwo Zdrowia są zrobione ze stopu tytanowego...). Wobec tego górę wzięła idea „odcięcia pępowiny” pomiędzy lecznictwem a biurokracją i powołania Kas Chorych, które jako potężny zbiorczy klient wymuszą na konkurencyjnym rynku usług medycznych racjonalizację kosztów i lepszą jakość. Tej idei uchwycili się zwłaszcza lekarze i pod ich wpływem związku zawodowe, szczególnie AWS. Koalicja SLD-PSL (z poparciem opozycji) uchwaliła odpowiednią ustawę o zainicjowaniu systemu ubezpieczeń od 1 stycznia 1999 i... szczęśliwie przegrała wybory. Pasztet z Kasami Chorych wyładował u następców. Dyskusja o reformie sprowadziła się do kwestii finansowania; jaka część podatku dochodowego od osób fizycznych ma przypaść jako składka Kasom zamiast Urzędowi Skarbowym. W projekcie SLD było 10% dochodu brutto, lekarze żądali 11%, Balcerowicz dawał... 6%. Ostatecznie, projekt rządowy przewiduje 7,5%. Związek Lekarzy krzyczy o zdradzie, ministerstwo finansów zapowiada, że „nadpłacone” 1,5% odbierze sobie likwidując ulgi budowlane, a wszyscy umiejący czytać pacjenci zauważyli już, że wysokości składki Kasy nie będą mogły podnosić przez pierwsze trzy lata... A co potem? Tymczasem ogłoszono, to tak na marginesie, że odpłatność za leki w Polsce sięga 52% i jest wyższa niż gdziekolwiek w Europie.

Reforma służby zdrowia będzie miała ciąg dalszy: posłowie AWS zakwestionują wysokość składki, a UW już zapowiedziała własny projekt, zapewne bez Kas.

Tuż po świętach rząd ogłosił wreszcie kolejny projekt reformy górnictwa węglowego, której potrzeba jest oczywista od przynajmniej 15 lat. Do końca 2000 r. z górnictwa odejdzie 70 tys., a do końca 2002 – 118 tys. ludzi (z obecnych 237 tys.), wydobywanie zostanie zmniejszone o 25 mln ton. Przewidziano specjalne osłony socjalne dla górników dołowych: pięcioletnie urlopy socjalne dla górników z dłuższym stażem

pracy (ponad 20 lat) z wynagrodzeniem równym 75% ostatnich zarobków, premie dla tych, którzy sami znajdują sobie inną pracę lub założą własny interes... Pierwsze reakcje ze Śląska już są: jednolicie wrogie... A ekonomiści z obozu Balcerowicza uważają, że to jeszcze za mało: prof. Macieja żąda zamknięcia od razu połowy kopalń.

Przerywam ten wątek, który można by długo ciągnąć. Wszystkie zapowiadane reformy można uznać w takiej czy innej mierze za potrzebne i pozytywne*, ale też wszystkie bez wyjątku kosztują i za wszystkie płacić muszą ludzie na dole, tak zwane społeczeństwo. Wydaje się oczywiste, że mając taki program działania i stając wobec takich konieczności, koalicja u władzy musi szukać współpracy z opozycją. Nie tylko dlatego, że co chwila może jej zabraknąć głosów w Sejmie (zwłaszcza do obalenia weta prezydenta), ale przede wszystkim dlatego, że opozycja, jeśli zechce, może bez trudu skapitalizować dla siebie rządowe trudności. Politycy z Unii Wolności rozumieją tę sytuację. Jako przykład przytoczę wysiłki UW, by złagodzić inicjatywę AWS, potępiającą „system komunistyczny” w Polsce jako mający „przez wszystkie lata swego istnienia charakter przestępczy” oraz uznającą PZPR za „organizację przestępczą”. Nie wiem czy Jan Lityński, który w pocie czoła przygotował unijną wersję rezolucji, rozumie, że w rokowaniach komisyjnych przed drugim czytaniem stanie przed niewykonalnym zadaniem. Nie jest bowiem możliwy kompromis wobec diametralnie odmiennych intencji wnioskodawców. Unia Wolności chce uniknąć definitywnego zerwania szans współpracy parlamentarnej z SLD, ponieważ Balcerowicz i jego ludzie pojmują co napisałem wyżej, że bez pomocy opozycji nie przeprowadzą swoich reform. Stefan Niesiołowski, autor rezolucji AWS, rozpoczął natomiast swym wystąpieniem kampanię, której prawdziwym celem politycznym jest zastraszenie czy wręcz sterroryzowanie SLD, aby nie ośmielił się przeciwstawić rządowym projektom.

* Powiedzmy, prawie wszystkie. Reprywatyzacja, której chwałę głosi zwłaszcza Marian Krzaklewski, będzie nieznośnym obciążeniem budżetu. A o „pożytku społecznym” niech powie przykład lasów. Prezentacje reprywatyzacyjne dotyczą 40% lasów państwowych, 3 mln ha. Oddane – zostaną natychmiast wycięte na drewno. Tak właśnie w 1992, po zniszczeniu „nadzoru” nadleśnictw, prywatni właściciele wycieli swoje drzewa do imentu.

Pierwsze miesiące u władzy niewątpliwie rozbestwiły polityków z AWS. Oczywiście nie małą winę za bezkarność ich arogancji ponosi Unia Wolności. Częściowo po prostu wskutek współnictwa jak w aferze żelatynowej: „grabkopodatni”, aby użyć określenia Jarosława Kurskiego, byli w tej sprawie jedni i drudzy (i zapewne trzeci, tzn. SLD również...). Częściowo, wskutek słabego kręgośłupa. Unia Wolności wyobrażała sobie zapewne, że godząc się na obsadę wszystkich stanowisk wojewodów przez AWS, w zamian za wicewojewodów dla UW, zachowa jakąś równowagę i nie umiała najwyraźniej powiedzieć „dość”. Stąd takie sytuacje jak Stanisława Pietrzaka (UW), wicewojewody warszawskiego, który wedle własnych słów jest figurantem u wojewody z AWS, Macieja Gieleckiego (ten mechanik samochodowy, eks-burmistrz Ochoty, wslawił się głównie godziną policyjną dla młodzieży w Warszawie).

Mechanizmy kontrolne wewnątrz koalicji funkcjonują zatem słabo. Wobec opozycji nastawiającej się na boje do upadłego. Pozostaje jeszcze prezydent ze swoim prawem weta. Właśnie dziś wieczorem, 15 kwietnia odbędzie się kolejne spotkanie Krzaklewski-Buzek: ile trzeba by ustąpić, aby uniknąć zawetowania ustawy o odroczeniu wyborów gminnych?

15 kwietnia 1998

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skazonej strefy

„Gdy otworzyłam radio i rozpoznałam głos mówiącego, myślałam, że roztrzaskam odbiornik – zwierza mi się kobieta z siedleckiego. Przemawiał Michał Kulesza, obecnie główny projektant reformy administracyjnej polegającej, przypomnę, na zmniejszeniu dotychczasowej liczby województw i powro-

cie do powiatów. Reformę tę, o której dawno się mówiło, wypisała na swoich sztandarach obecna koalicja.

Kulesza przemawiał w radiu zbornie i sensownie, wyłuszczał cele – tyle, że wszystko to tłumaczy się społeczeństwu grubo za późno. Siedlce, skąd pochodzi moja rozsierdzona rozmówczyni, nie pretendują do pozostania województwem, jak na przykład Bydgoszcz czy Opole, których mieszkańcy chcą zachować status wojewódzki swoich miast za wszelką cenę. Nie, jej nie chodziło o lokalną ambicję, ale o tryb, w jakim się u nas rządzi. Polacy, skądkolwiek pochodzą, są już totalnie wymęczeni tym tematem, nie schodzącym z debat rządowych, łamów prasy, rozmów prywatnych, jakby zupełnie czego innego w kraju nie było do załatwienia. Tym bardziej, że decydenci roztrząsają na ogół sprawę w stylu infantylnych jałowych sporów o liczby województw – na przykład, dwanaście i ani o jedno mniej czy więcej, a przeciwnicy – siedemnaście i też nic z tego nie opuszczają. Natomiast nikt dotychczas nie ukazał konkretnych korzyści ogólnospołecznych; korzyści, jakie będzie mieć z reformy rzesza szaraków.

Ludziom nasuwa się więc nieodparty wniosek: korzyści zagarną ci, którzy otrzymają stanowiska wynikłe ze zmiany. Bo tak to już u nas jest, i każdy się o tym przekonał, że nawet najrozsądniej wyglądający polityk, gdy tylko obejmie władzę, coś go opętuje, i staje się hieną. Dzieje się tak po równo w sektorze państwowym i samorządowym.

Prasa nie zaniedbuje obowiązków, informuje o podobnych faktach, podaje liczby. Stąd Polacy ponuczali się tej wiedzy na pamięć; bulwersuje ich ta sytuacja i wścieka. Za długo już trwa owo niedoucniczo rządzących.

Redaktor Giedroyc w swoich „Notatkach Redaktora” powołał się na ustalenia prof. Witolda Kieżunia stwierdzające w liczbach rozdecie naszej biurokracji. Polacy, niekoniecznie znając źródło, też znają te dane. Niemal przy każdym spotkaniu towarzyskim, w tramwaju czy autobusie, na proszonej kolacji, przerzucają się gorszącymi liczbami przez stół.

Nigdy nie dość przypominania, więc powtórzę: między rokiem '90 a '96 liczba zatrudnionych w administracji publicznej wzrosła z 41 tysięcy do 110. W 1938 roku Kancelaria Prezydenta zatrudniała 40 urzędników, w '95 – 466 osób. W Kancelarii Sejmu w roku '38 było 30 urzędników, w '95 – 1619.

Urząd Rady Ministrów zatrudniał w '90 roku 646 osób, w '95 roku liczba ta wzrosła do 1832. I pomyśleć, że przed wojną posługiwano się liczydłem a dziś komputerem, który ma przecież zastąpić człowieka.

Nie lepiej dzieje się w sektorze samorządowym. Prezydenta Warszawy, Marcina Świącickiego, wybrano na powtórzną kadencję, bo jest marionetką, więc nie będzie się wtrącał od poczynań radnych. Jest ich łącznie w gminach składających się na stolicę około 800. Pobory ustalają sobie sami bez wstydu i miary. Obliczono, że za roczny fundusz płac radnych Warszawy można by zbudować porządny most na Wiśle z właściwą infrastrukturą.

Co znaczy, u Boga Ojca, owo zbiorowe uwielbienie złotego cielca?! Przecież nigdy tacy nie byliśmy. Komuna nas aż tak dalece podłamała? Czasem przychodzi mi do głowy, że wobec tego my, Polacy, nie dorośliśmy jeszcze do samostanowienia. Niech by ktoś nami pokierował. Tylko kto nas weźmie? Komu poddać się pod rządy? Żartuję, ale coś tu jest na rzeczy; od niejednego zwykłego odbywatela podobne słowa słyszałam.

Biegli w piśmie pocieszają, że Polacy nie są tu wyjątkiem. Podobno, gdy Wielka Brytania traciła Indie, wzrosła liczba personelu do spraw Indii. Gdy Brytyjczycy tracili flotę, podwoili liczbę urzędników Admiralicji. Samonapędzająca się biurokracja, opisana i nazwana prawem Parkinsona. No, ale jakoś się te kraje z tego, częściowo przynajmniej, wygrzebały. My natomiast jesteśmy w rozkwicie choroby, w jej klinicznym stadium, i poprawy nie widać. Pewnie też się wygrzebiemy, tyle, że nas, żyjących teraz, starych i młodych, już na tym świecie nie będzie. Smutno.

Padły powyżej słowa „most” i „Wisła”. Nasza narodowa rzeka grodzi drogę całemu Wschodowi na Zachód. Grodzi – bo mostów na niej brak. Wisła, przez którą biegnie najważniejsza trasa azjatycko-europejska, E-8, z Władywostoku do Londynu + ma w całym swoim przebiegu zatrzważającą małą liczbę mostów. A towary w tirach w coraz większej liczbie dudnią po szosach eurazjatyckiego kontynentu. Można by

za mosty na Wiśle pobierać wcale ładne myto, wspomagające chudy budżet, ale u nas nikt z władców nie myśli w kategoriach na jutro – a trudne to na nasze głowy. Jesteśmy jak dzieci.

Tak potrzebny Most Siekierkowski w Warszawie zaprzęta magistrackie głowy w daleko mniejszym stopniu niż gigantyczny park rozrywki na Bemowie, który chce tu zbudować showman, Michael Jackson. Powstały już komitety za i przeciw; prześcigają się w hałaśliwym zbieraniu podpisów po mieście; prezydent Świątcicki, mocno zaangażowany, sekunduje budowie obiektu. Tylko nikt, absolutnie nikt, nie powiedział, jak będą tam dojeżdżać wielotysięczne tłumy. Już teraz mieszkańcy Bemowa przedzierają się ze Śródmieścia wąską, zakorkowaną przez większą część dnia, nitką komunikacyjną. Nie mówiąc już o tym, że teren pod park rozrywki należy do wojska, a jak wojsko coś ma, to nie odda. Ale co tam! Przyjemnie pohłasować sobie, że oto nasza Warszawa została wyróżniona przez światową gwiazdę rocka.

Pierwsza metrobudowa warszawska ruszyła niemal od razu po wojnie. Miałam znajomych dumnych, że zaangażowano ich do tego przedsięwzięcia. Ale na krótko, bo niemal zaraz wierceń zaniechano. Metro w ruinach miasta było jednym z pomysłów właściwej nam gigantomanii, bez pomysłu, rozwoju i rozeznania. Jednakże, przy okazji geolodzy odkryli niezwykle trudne warunki gruntów, zwłaszcza w okolicach głównej arterii południowej miasta, przy ulicy Puławskiej. Piaski i woda. Ziemia się tam usypywała.

No i usypała się dokumentnie, tylko pięćdziesiąt lat później. Na szczęście nie pod obecnym metrem, które poprowadzono trochę inną drogą, ale pod wykopem, gdzie po wojnie postawiono kino „Moskwa”.

Kino „Moskwa” zburzono, a w jego miejsce stanął niezwykle brzydota gmach-kloc, coś jak dwa „Tytaniki”. Ten się nie zawalił, a szkoda, natomiast dokładnie zasłonił cudem ocalały z Powstania budynek Instytutu Higieny, który należałoby z pietyzmem eksponować jako rzadki architektoniczny oryginał w tym zburzonym mieście.

Po zbudowaniu jednego kolosa zaczęto obok robić wykop pod kolejny „eurokompleks”. I oto przyszedł dzień, kiedy ni z tego ni owego do wykopu wpadły baraki budowlanców i zachwiały się kamienice na Puławskiej. Ludzi w trybie nagłym, w piżamach, ewakuowano na jedenaście dni.

Trzeba było katastrofy, żeby pójść po rozum do głowy i zauważyć to, co mówiły stare ekspertyzy, że w tym miejscu ziemia jest wyjątkowo sypka. Nawiasem mówiąc, gdy się to działo, prezydent miasta najspokojniej w świecie wyjechał w kolejną podróż zagraniczną. Ciekawam, czy z którejkolwiek z wycieczek zrezygnował z powodu wydarzeń w mieście, którym zarządza...

Skoro jesteśmy przy Warszawie. Gotowa już w części podziemnej stacja metra „Świętokrzyska” nie może wyjść na powierzchnię i zacząć funkcjonować, nie z powodu braku funduszy, co było dotychczas przeszkodą generalną tej budowy, ale z powodu sporu z kilkoma straganiarzami, którzy nie dają się wykwaterować. Spór ma rozstrzygnąć sąd. A „sąd” znaczy u nas sprawę nie na miesiące, ale na lata. Nie można było pomyśleć o tym wcześniej?

Zapewne, czepiam się, zapewne, mam obsesję na temat Warszawy i jej zarządców. Ale w końcu, jest to miasto, które mnie obchodzi, w którym się urodziłam, przeżyłam Powstanie i w którym najpewniej umrę.

Ale przede wszystkim rozwodzę się o tym dlatego, że Warszawa jest placykiem doświadczalnym kraju; miejscem, na którym widać to nasze całe fatalne rozkojarzenie, opóźnienia, działania rychło w czas, dwa kroki naprzód, trzy w tył. Zmieniają się rządy, koalicje, opozycje, ale wciąż króluje to samo pomieszanie z poplątaniem. Zaczyna się mówić o reformie służby zdrowia, i przestaje. O ubezpieczeniach – i to samo. O emeryturach, i tak dalej... Wchodzi na wokandę reforma terytorialna i zaraz przeplata ją projekt uchwały o zbrodniczości PZPR-u. Zapomniałam tabliczki mnożenia, ale proste dodawanie i odejmowanie jeszcze pamiętam. Wychodzi z niego, że jeżeli chce się pomyślnie przegłosować „województwa”, to trzeba się dogadać z przeciwnikiem. Tymczasem nic z tego. Nie bierz się pod uwagę żadnej kalkulacji.

Do Warszawy zjeżdża cała Polska, żeby protestować.

Okrzyki i transparenty. „Ursus” ma blisko, więc zjeżdża w wielkiej liczbie i rzuca petardy pod budynki rządowe. „Balcerowicz precz! Znajdzie się kij na Balcerowicza ryj!” Chcą, żebyśmy kolejny raz spłacili długi fabryki. Tymczasem nikt nie chce ich traktorów, bo za drogie. Zagranica ma równie dobre, ale tańsze, nasi rolnicy – też z powodu ceny – wolą sprowadzać stare ukraińskie graty, ale jeszcze sprawne. Nie stać ich na „ursusy”. Obliczono, że na obecny dług „Ursusa” cały czterdziestomilionowy naród musi pracować jeden dzień. I pewno popracuje. Nie raz, nie dwa, bo w tym stanie rzeczy kondycja przedsiębiorstwa się nie poprawi. Balcerowicz powiedział wprawdzie, że Polska nie może być dodatkiem do „Ursusa”, ale czy uda mu się zakład rozczłonkować i sprywatyzować? Tego żadna ekipa nie dokonała ze strachu przed załogą rządzoną przez Zygmunta Wrzodaka.

Wielotysięczna załoga „Ursusa” nie demonstruje z obawy przed bezrobociem. Stolica (a „Ursus” mieści się w obrębie wielkiej Warszawy) rozpaczliwie woła o ręce do pracy; tego typu – tokarzy, giserów, mechaników. Gdyby dziś „Ursus” zamknięto, jutro pracownicy dostają dobrze płatną robotę w Warszawie; wystarczy wziąć pierwszą lepszą gazetę stołeczną; każda roi się od ofert. Ale nie! Oni wolą pieniądze bez fatygi, wolą tkwić w rujnującym nas wszystkich przedsiębiorstwie, okraszając sobie nudę rozrywkowymi przejażdżkami do Warszawy, żeby powarcholić po ulicach. Niestety, podobne nastawienie cechuje wiele państwowych molochów.

Polska, jak wiadomo, dzieli się na dwa katolicyzmy. Ten od Radia Maryja i normalny, posoborowy. „Normalny” dorobił się powolutku całkiem dobrej cotygodniowej audycji na pierwszym programie telewizji pod tytułem „Credo”.

Kiedys, jednym z tematów była jałmużna. Rozmawiano o niej w miejscu nietypowym, ale stosownym – na giełdzie. Pytanie brzmiało, jak bogacz-katolik ma spełniać jałmużnę. Oczywiście, wbrew pozorom, ma z tym problemy większe od zwykłego śmiertelnika, co zresztą stwierdza powiedzenie ewangeliczne, że łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego.

Sympatyczny młody milioner-katolik, z którym w audycji rozmawiało dwóch prowadzących ją równie młodych i sympatycznych ludzi, wyznał, że on jałmużnę „załatwia” (tak się wyraził) hurtem. Po prostu, odpala określoną sumę parafii i do niej odsyła wszelkie napływające do niego dramatyczne prośby o wsparcie. Przeważnie zrozpaczeni rodzice proszą o dofinansowanie leczenia dziecka.

Wygodnie i bez zabierania czasu. Ale czy o to w jałmużnie chodzi? Czy w ten sposób nie ginie jej duchowy wymiar? Przecież i faryzeusze szczylicili się tym, że składają dziesięć na biedaków.

Jałmużna ma pełny wymiar duchowy dopiero wtedy, kiedy poza brzęczącą monetą, coś ofiarodawcę kosztuje, kiedy stanowi jakieś osobiste wyrzeczenie – zastanawia się w okienku telewizyjnym jeden z prowadzących audycję chłopaków. Ale drugi zaraz dopowiada. „Słuchaj, przecież nie chodzi tu dosłownie o igłę. Ucho Igiełne to nazwa wąskiej bramy w Jerozolimie, przez którą bardzo chudziutki wielbłąd jakoś się chyba przecisnie...”

Bardzo chudziutki, prawda, ale zawsze jest to jakaś furka zostawiona przez Boga dla naszych miliarderów-pracoholików, którzy na nic, poza robieniem pieniędzy, nie mają ani czasu, ani głowy. Prawdziwa pociecha!

Pociechą natomiast nie jest ostatnia drastyczna podwyżka na leki – nawet na raka i serce, które u nas stają się chyba większą epidemią niż gdziekolwiek indziej. Podwyżka podratowuje magiczne słowo „budżet”, ale z naszych pięknych i licznych aptek coraz więcej ludzi wychodzi z płaczem; nie stać ich na lek ratujący życie. Aptekarki mówią „ciężko znosić ten płacz”.

31 marca 1998 r.

Ewa BERBERYUSZ

Z ukosa

Kiedyś sporo jeździłem na nartach. Na moich, nie tak jeszcze bardzo pomarszczonych oczach dokonana się narciarska rewolucja. Nie do pomyslenia jest już podchodzenie o własnych siłach na stok, co było naturalne. I te skręty z pługa, bambusowe kijki, drewniane narty, potem fale emocji na widok pierwszych prymitywnych wiązań z bezpiecznikami, które dzisiaj są równie wrzuszające jak podwiązki do pończoch, słodki dreszcz nowoczesności na widok plastikowych spodów w polskich nartach „rysy”. I wspominam z mieszanymi uczuciami te piekielne męki, by wjechać kolejką na Kasprowy Wierch, boje o miejscówki. Daremne modlitwy o śnieg w ostatnich latach, potem poczucie luksusu w Szwecji i Norwegii. Ale dopiero teraz po raz pierwszy wybrałem się w Alpy, by odkryć smak narciarskiego rajy. Czy to jest smak prawdziwy? Znakomicie przygotowane stoki, brak kolejek, ale zarazem poczucie, że jest się częścią jakiejś fabryki, a setki wyciągów to taśmy montażowe. Wielkie rzesze ludzkie niezwykle sprawnie przemieszczane w wysokie góry, a potem lepiej lub gorzej przesuwające się o własnych siłach w dół, w ślad za tym tłumem pełną gąsienicowe potwory zwane ratrakami, by przygotować stok do kolejnej ludzkiej fali. Gdy zbliża się zmięch, setki pojazdów połączonych siecią telefonów komórkowych rozwożą te tłumy do zacisznych, luksusowych klatek, poprzyozdabianych na ludowo. Tam zaczyna się wielkie żarcie. W Austrii narty to najbardziej dochodowa część gospodarki. A to wszystko jest możliwe dzięki egalitaryzmowi. Już niemal każdego człowieka w Europie stać na taki narciarski pakiet. Masowość jest formą sprawiedliwości, wymusza sprawność organizacyjną, wznosi infrastrukturę, ale masowość zabija prawdziwy smak turystyki i sportu.

I pomyśleć, że w tej wielkiej ludzkiej wieży Babel, która szuka śniegu w Alpach, tak donośnie słychać polski głos. W Austrii, w pobliżu Kaprun gdzie mieszkaliśmy, język polski

dominuje zdecydowanie obok niemieckiego. Konkurują z nami Holendrzy. Łowiłem polskie słowa z niepokojem. To jest dla nas typowe, szukamy się nawzajem po świecie, ale gdy już spotkamy się, to jak psy wężymy z niepokojem, czy nie skompromitujemy samych siebie? W Polsce, ale też podobno w całej Europie zwulgaryzował się potoczny język. Chyba już co drugi Polak, co drugie słowo mówi „kurwa”. Przez tydzień jeżdżąc intensywnie i równie intensywnie słuchając polskiego od wysokości trzech tysięcy metrów w dół, nie usłyszałem ani jednej „kurwy”. Czyżby ci z przekleństwem na ustach nie jeździli na narty, a może łagodnieją nam obyczaje kiedy jesteśmy w bardziej cywilizowanym świecie. Młódzież polska nie gorzej ubrana od zachodniej, dobre sylwetki, kulturalne twarze, i nawet jeżdżą nie gorzej od nacji alpejskich!

Powrót do Polski nadal jednak napełnia smutkiem. Przejścia graniczne są skandalem, stoją wielogodzinne, albo wielodniowe kolejki samochodów ciężarowych. I nie ma po polskiej stronie restauracji, hoteli. A przecież tam w powietrzu unosi się ciężki zapach pieniędzy. Jak to możliwe, że to wszystko nie zamienia się na infrastrukturę? Pierwszym obiektem obdarzonym europejskim obliczem, a nie pyskiem prymitywnego barku, był McDonald's. Bardzo to standardowy luksus i takie samo jedzenie. Ale jest tam estetycznie i fachowo. A jednak z automatu telefonicznego zwisa smętna smycz urwanego przewodu, w toalecie nie działa suszarka do rąk. Nadal jest szarość i świerzb miast i miasteczek, przyozdobionych gęstą wysypką kolorowych reklam. Czasami jakiś nowy budynek staje się wysepką większej staranności, znakiem zmiany. No i toalety jednak dość czyste, zawsze jednak płatne z babciami klozetowymi, które już zęgnąłem przed laty ze łzą w oku, a one jednak wróciły, jak te żubry i łosie do naszych lasów.

Już myślałem, że ominie mnie obraz polskiego cwaniaka, ale nic z tego. Na granicy stał autobus wypełniony bardzo średnią klasą średnią z Rzeszowa. W oparach spożytych trunków, osobnicy płci męskiej tłoczyli się zawzięcie ale fachowo do bezcłowego sklepu po alkohol, istna gorączka złota. Typ polskiego cwaniaka, mężczyzna w średnim wieku, solidnie zbudowany, w części brzusznej zaokrąglony, o zaczerwienionej od trunku twarzy. Widać, że szybko zrobili spore

pieniądze i że się nimi dławią. Nie tylko okolice bioder, wszystko jest w nich grube. I to poczucie, że świat do nich należy, widoczne w tym jak mówią, jak siadają, jak chodzą. Rozmowy co, za ile, gdzie? Szli potem do autobusu objuczeni łupami, a butelki brzęczały jak kościelne dzwony. Musieli je usłyszeć czescy celnicy, bardzo zresztą wyczuleni na polskie alkoholowe przemyty. Więc za chwilę przetrzepali ten autobus i znaleźli monstrualne ilości butelek. Zaczęło się „załatwianie” sprawy przez cwaniaków, słono ich to kosztowało, ale załatwili. Tak oto cały świat jest do załatwienia. To był więcej niż kiepski interes, ale jacy zadowoleni, że załatwili. Okropne typy, spora część naszej średniej klasy jest taka. Rosjanie nas biją w braku klasy i w złym guście, ale ten polski nowobogacki cham, ma bardzo szczególne wdęcia godnościowe, i jak pawianom na zadach, na ich obliczach kwitną barwy honoru, nawet gdy robią lewe interesy. Te ambicje, chociaż chore, dadzą ich dzieciom solidne wykształcenie, języki, wyjazdy. Na bagnistej glebie wyrosnie zapewne nowe pokolenie, nowa polska klasa średnia, która ma już pewne szanse nauczyć się form.

Kiedy ciągnę się do domu obładowany bagażami i nartami, trafiam na manifestację w pobliżu mego domu. Idą panienki skopiowane z amerykańskich *cheer leaders*, w mundurkach, w bardzo krótkich spódniczkach, tupią nie zawsze zgrabnymi nóżkami. Czy nasza katolicka prowincja ma świadomość erotycznych podtekstów takich dziewczęcych grup? Za podkasanym żeńskim towarzystwem kuśtyka grupka osób starszych, jest nawet kilku o kulach, potem idą osobniki gębiaste, jest trochę młodzieży, na pierwszy rzut oka widać, że to prowincja, ale nie taka bardzo zapuszczona. Niosą transparenty, że są z gminy M. i ta gmina nie chce za żadne skarby iść do powiatu B. W kilka dni potem Warszawa jest ciężko najechana przez Bydgoszcz, a w chwilę potem przez Opole, które nie chce do Katowic. Nazajutrz idzie wielka manifestacja OPZZ-u. I mieszkaj tu w Warszawie! Prowincja, która najężdża stolicę, paraliżuje życie miasta, co budzi coraz większy gniew. „Nic tylko ruszyć i włączyć wycieraczki” – złorzeczą zablokowani kierowcy.

Związkowcy przyjechali z całej Polski, ten tłum nie ma

barw, same ciemne i szare kolory. Protestują przeciw wszystkiemu, widać, że to parada inspirowana przez SLD, sprzedają pismo „Solidarność socjalistyczna” drukowane na czerwono i pełne klisz z PRL-u. Nad głową pochodu kołyszają się słowa „Precz z nędzą”, kiedyś nieśli „Precz z imperializmem”. Na innych transparentach jest powszechnie precz: z rządem, z Buzkiem, z Balcerowiczem, a nawet z ministrem oświaty. Czołowy transparent winien brzmieć: „precz z gorzej niech żyje lepiej!”.

Obwąchałem ten tłum z bliska, nie pachniał agresją, nie był też głodny, generalnie to nawet był brzuchaty. Miał tylko wszystkim i wszystkiemu za złe, ale bez szczerzenia zębów, bo to jednak ciężka praca. Ci ludzie byliby bezgranicznie zdumieni, gdyby im powiedzieć, że zamiast krzyżeć „precz”, mogliby część tego co uważają za problem wziąć po prostu we własne ręce. W ogonie pochodu, bardzo zadowoleni z siebie, jacyś mordziści osobnicy nieśli krwawy szkielet cielaka, a w czole maszerowali politycy SLD.

Co z wielką reformą administracyjną? Czy uda się utrzymać liczbę 12 województw? I czy jest to konieczne? W tym sporze każdy ma swoje racje, patriotyzmy lokalne bywają szansą, bo to jednak aktywność ludzi, ale też zagrożenie, bo akurat ta aktywność może zniszczyć sens reformy. Jeśli ona ma sens? Mądrzy po obu stronach mają skrajnie odmienne zdania na ten temat. Im ktoś jest bardziej otwarty na argumenty, tym bardziej zgłupieje od wymiany sprzecznych racji. Jak się człowiek przygląda temu spektaklowi, to do głowy przychodzi straszna myśl, że tu nie jest istotne czyja koncepcja jest lepsza. Ważne, co zostanie bardziej zapaskudzone przez złe intencje, złe nawyki, lokalne i partyjne egoizmy. Już wiemy, że same dobre intencje to bardzo mało w naszej beczcze ze smołą. Na zdrowy rozum ta reforma gwarantuje decentralizację na dole, czyli jak się ładnie mówi, zapewni zbliżenie władzy i instytucji do obywatela. Wszyscy są jednak zgodni co do jednego. Nie przygotowano tego dobrze i nie wytłumaczono ludziom.

Teraz rząd jest w pułapce. Sprawa staje się sztandarem nowej władzy, której uciekło już sześć miesięcy. Tyle bitew miało być wygranych, a tu nic. Rząd uparł się przy tym

kształcie reformy, czyli przy 12 województwach, jeśli ustąpi lub będzie się wahał, to pokaże, że jest słaby, o co się go coraz głośniejsz oskarża z prawa i z lewa. Coraz więcej polityków z prawej strony mówi, że premier „jest miły”, mówią to z iro- nicznym uśmiechem. Najzabawniej ujęła problem prof. Jadwiga Staniszkis, znam ją z dawnych lat i podziwiam jak jej się przez te lata pokiełbało w głowie. Tak premierowi przyjazna, mówi, że „jest w nim element tragizmu i smutku. Bo ma świadomość, że jest podmiotem moralnym”. Gdy się wspomni, jak na łapu capu był wyłaniany premier, to mogło być o wiele gorzej.

Dla AWS-u to wielki pech, że właśnie reforma administracji staje się kością niezgody, jakby to był koń trojański, zostawiony w spadku przez SLD. Ten konflikt nie tylko lawinowo pogłębia podziały wewnątrz AWS-u. A też napędza punkty SLD, która lansowała bliźniaczy projekt, a teraz się go wypiera. Trudno o lepszy test, czy bardziej postkomunistom zależy na władzy, czy na państwie? Do manifestujących wchodzi z Sejmu niektórzy posłowie AWS-u, z Unii Wolności i z PSL, ale rzecz jasna najliczniejsi są z SLD. Dorobiliśmy się wzruszającej ponadpartyjnej koalicji.

Być rozdartym między narodową prawicę i postkomunistów, którym opadły maski i wyrosły brzuchy, coś okropnego. Aż by się chciało wyjąć z tego Unię Wolności, umyć z niemądrych kompromisów, a też z syntetycznych perfum, które tak drażnią nochal prowincji, uwyraźnić tę partię, wymazać takie humorystyczne decyzje jak mianowanie ministrem kultury osoby umyślowo ograniczonej, i dać szansę Polakom by na scenie politycznej mieli w środku coś, co posiada zdrowy rozsądek i jest estetyczne. Ale rozumiem, że Unia potrzebna jest w łóżku z AWS-em, by ratować Polskę przed postkomunistami. Politycy prawicy ostrzegali, by w tej kłopotliwej sytuacji nie uruchamiać uczuć miłości, i to chyba się udaje.

Nieumiejętność tłumaczenia ludziom po co, dlaczego? Nasza narodowa choroba to rachityczność dialogu. Nawet polski film i dramat ma problem z dialogiem. Rozmowa zaczyna się, gdy jest już za późno, czyli z nożami przy gardle, kiedy już nikt nie mówi, a wszyscy krzyczą.

W poprzednim tekście wyliczałem jak niewielkie grupy blokują w Polsce istotne przedsięwzięcia, a każdy miesiąc przynosi nowe zdarzenia. Michael Jackson postanowił za wielkie pieniądze wybudować w Warszawie park zabaw dla dzieci. Znalaziono teren na Bemowie, gdzie rdzewieje niepotrzebne lotnisko. Najpierw zaprotestowali mieszkańcy, że seks, narkotyki, hałas, potem odezwali się nasi prawdziwi Polacy. Wojewoda stolicy Gielecki, z AWS-u, oświadcza, że Polska ma tysiącletnią tradycję, a ten park niekoniecznie będzie z nią zgodny. Jeśli myśli o tradycji narodowych tragedii i ponuractwa, to ma rację. Wicepremier Tomaszewski też kręci nosem, Jackson, typ podejrzany, nie będzie deprawował polskich dzieci.

Garstka kupców w centrum Warszawy nie chce się wprowadzić ze swoich słamsowatych pawilonów. I staje budowa metra, gdy Warszawa dusi się w korkach. Coś niesłychanego, ta bezradność władzy na wszystkich szczeblach, kilku pomyślonych „rejtanów” korkuje Warszawę. Jakbyśmy chcieli samym sobie udowodnić, że demokracja jest kiepskim systemem. Tu kłania się też w pas szlacheckie pojmanie państwa. Słyszę ludzi rozsądnych, którzy pół żartem, pół serio, mówią, że najbardziej rozsądnym rozporządzeniem okresu przejściowego w RP byłby zakaz protestów.

Jeśli przyjąć, że spora część każdej społeczności jest niedorozwinięta umysłowo, czy jest to argument przeciw demokracji? Z sondażu wynika, że zdrowy rozsądek nadal jest górą, ale topnieje. 56% Polaków jest za wejściem Polski do Unii, 13% jest przeciw, a 31% nie ma zdania lub waha się. W ciągu roku o 10% ubyło zwolenników wejścia Polski do Europy. Biorąc pod uwagę polskie tradycje, naszą upartą, ale jak widać często ślepa walkę o zachowanie europejskości, to owe wyniki napawają smutkiem.

Czy dojrzewamy do zrozumienia, że współczesne państwo jest tak skomplikowanym mechanizmem, że o wielu zasadniczych sprawach powinni decydować fachowcy? Problemy są tu dwa. Fachowcy są u nas tak upolitycznieni, że zaraz się kłócą w taki sposób, że niemożliwy jest kompromis. A tak zwani zwykli ludzie, nikomu nie ufają.

Rozpacz i gniew świata radio-maryjnego. Parlament stał

się dla nich Targowicą. „Nie poparli chrześcijańskiej Europy” – krzyczy tytuł na pierwszej stronie *Naszego Dziennika*. Bo oto Sejm miażdżącą większością głosów popiera integrację Polski z Unią Europejską. Antoni Macierewicz postulował poprawkę, że chcemy, aby to była chrześcijańska Europa Ojczyzn, a tej poprawki parlament nie uwzględnił. I wedle posłów narodowych, będzie to „już Unia Europejska o poszerzonej formule, która zlikwiduje suwerenność państw”.

Co zrobić, aby w Polsce myślenie pravicowo-narodowe chciało jechać po szynach zdrowego rozsądku? Ten pociąg posiada zdumiewający pociąg do wykolejania się i wskakiwania na inne tory, gdzie lokomotywa ma na czole Matkę Boską i Chrystusa, oboje rzecz jasna są Polakami, a cały skład radykalizuje się i pędzi coraz szybciej, ucieka od Europy w stronę Polski dla Polaków, katolickiej, swojskiej. Jak ona ma wyglądać? Cały mój organizm pragnie ujrzyć ten obraz, a choćby szkic tego polskiego raj. Nie ma go.

Póki co z wagonów wyskakują przerażeni publicyści prawy, którym rozum nie pomieszał się do końca. A sami jeszcze wczoraj karmili paliwem lokomotywę. „Narodowcy stają się groźni dla własnego narodu” – woła *Najwyższy Czas*, pismo doprawdy osobliwe, bo skrajnie liberalne, ale to jest liberalizm podszyty narodową ksenofobią, rzecz unikalna w skali europejskiej.

Robotnicy „Ursusa” namawiają po swojemu rząd, by ratował zakład, który już kilkakrotnie zbankrutował, w tym celu demolują centrum Warszawy i palą flagę Unii Europejskiej. „Solidarność” tego zakładu na czele z Wrzodakiem jest ostoją myślenia mrocznego. Obrona upadłej Stoczni Gdańskiej odbywa się w chórze ksenofobicznych pieśni. Tak oto zostały zakakane dwa symbole robotniczego oporu wobec komunizmu.

I znowu jakieś pyskówki i przepychanki z Żydami o krzyże w Oświęcimiu. Niesmak, który dotyczy obu stron. Głupi Żydzi są co najmniej tak samo głupi jak głupi Polacy. Dlatego polski Żyd, czy żydowski Polak bywa figurą tak makabryczną; połączenie podobnych wad obu nacji tworzy monstrum. A jednak przygnębia, że najbardziej monstrualne głosy słycać w prasie katolickiej. *Nasz Dziennik* drukuje list

czytelnika, jeden z wielu w podobnym tonie: „Żydzi winni rządzić Izraelem. I nic im do Polski, na czele z rabinem Weissem. Niech On nie szuka w Polsce możliwości zastąpienia Krzyża ‘Gwiazdą Dawida’. Zaczynając od najbardziej newralgicznego miejsca, jakim był i jest Oświęcim. Polacy, którzy chcą ułatwić to dzieło, lepiej by już teraz poczynili starania o obywatelstwo izraelskie”. Wzruszający jest ten głęboko chrześcijański duch, który kwitnie w katolickim dzienniku.

Co miesiąc twardo postanawiam unikać żydowskiego tematu. I przegrywam. Ten temat jest w powietrzu. Ale nikt już nie czuje dymów z kominów krematorium. Problem jak o tym mówić, czyli jak myśleć, skoro nawet zatruty jest język. Już samo słowo Żyd, budzi konfuzję i jest supłem nie do rozwiązania. Kogo tak można nazwać? Jeśli moja kulturalna znajoma mówi z satysfakcją, że cieszy się, że „ewangelik został premierem, a Żyd ministrem spraw zagranicznych”, to szczęka mi opada, bo kto ją upoważnił do decydowania kim jest Geremek? Doprawdy nie wiem czy jego matka, może ojciec, dziadek, pradziadek... jak i po co w tym szperać, co to ma za znaczenie? Nagle jak na wystawie psów rasowych istotne jest kto jest wielkim przodkiem reproduktorem. Gdyby jeszcze to kiedykolwiek mogło być pewne? Każdy polski antysemita powinien ze strachu cierpieć na bezsenność, bo w kotle środka Europy wszystko się nieźle wymieszało. A jednak odruchowy podział na My – Oni, wisi w powietrzu. Jeśli ktoś miał np. ojca żydowskiego pochodzenia, a matkę Polkę, przeciętny, ale też nieprzeciętny Polak, odruchowo zainteresuje się tylko jego „żydowską częścią”. A jakoś nie zwróci uwagi na dopływ ukraiński, niemiecki, czeski... Sam podział opiera się na wierze, do której nikt się nie przyzna, że akurat w przypadku tej grupy pewne cechy są wmontowane jak kolor oczu, dzisiaj można śmiało użyć pojęcia genów. A przecież ci sami ludzie niby już wiedzą, że najważniejsza jest kultura, tradycja, i że przede wszystkim to my sami określamy kim jesteśmy. Niestety, to nie takie proste, bo jako zwierzęta społeczne, jesteśmy też określanymi przez innych. Dlatego znakowanie na siłę jest przestępstwem. Tak często chciano Polaków określać wbrew ich woli, lub wymazywać z mapy

świata, więc powinni być ostrożni w znakowaniu innych bez ich zgody.

I oto podczas trzydziestej rocznicy Marca 68 obchodzonej hucznie i w najlepszych, szlachetnych celach, wbrew intencjom organizatorów fety, ujawniło się to, w co nie chcieliśmy nigdy wierzyć. Antysemicki marzec chociaż zrodził się z inspiracji komunistów, jednak wyrósł z tego co było i jest zakorzenione głęboko w polskiej mentalności. Widać to nawet w dziennikach wielkich Polaków, tych szlachetnych jak: Dąbrowska, Kisielewski ... U Dąbrowskiej są odruchowe fobie, u innych ten wielki wysiłek ze zmarszczonym czołem, by odróżnić, kto jest?

Kiedy dzisiaj, z okazji rocznicy Marca 68, czyta się liczne głosy te pół-anty, ćwierć-anty i w pełni antysemickie, to najbardziej zdumiewa, jak to możliwe, że Polacy zdają się w ogóle nie mieć w pamięci holocaustu, że różne formy antysemityzmu są wierną kopią tego przedwojennego, jakby się nic nie stało, jakby nie było Treblinki, jakby nadal w Polsce spory procent ludności nosił pejsy i mówił jidisz. Bez psychologii, a czasami bez psychiatrii tego się nie rozbierze.

To zjawisko jest fascynujące i niepokojące przede wszystkim w kontekście polskiej kondycji psychicznej! Można się martwić jak nas odbierze świat, ale to wszystko jest pestka, wobec pytania o stan polskiej głowy. Jak jest w Polsce milion alkoholików, co stanowi gigantyczny i niedoceniany problem społeczny, tak rzesza antysemitów, którzy mają spiskową wizję świata, co się zawsze łączy, to jest po prostu grupa ludzi niepełnosprawnych umysłowo. I tylko tu jest problem.

Że sprawa ma charakter pokrętny, świadczy choćby fakt, że garstka ludzi którzy w Polsce mają żydowską tożsamość i zwykle demonstracyjnie ją obnoszą, nie mają przykrości i nie czują się zagrożeni. Powstają szkoły i przedszkola żydowskie, gdzie zwykle lokują swoje dzieci przekorni polscy liberałowie. I jest *O key ...* A ta rzeka ksenofobicznego myślenia płynie obok.

Znowu przybywa z Bostonu Jerzy Sołtan, sędziwy, wybitny architekt. Po moim felietonie w miesięczniku *Architektura* napisał do mnie, przed laty, miły list, a kiedy jakiś czas temu przyleciał po raz pierwszy do Polski, pozna-

liśmy się osobiście. Niezwykły człowiek, pełen ciepła i siły.

Spotykamy się pod kopytami kopii konia Verrocchia, na którym siedzi Colon. Opowiada mi jak podczas bezsennych nocy martwiąc się o Warszawę, szkicuje swoje wizje centrum miasta i obudowy Pałacu Kultury. Pokazuje mi te szkice, są na nich nawet ptaki. Krytykował i słusznie, przed laty w *Kulturze* projekty, które wygrały konkurs na zabudowę tego największego placu Europy. Mnie też się marzy, by uderzyć architektoniczną pięścią w centrum Warszawy, a też w brzeg Wisły, od której uciekło miasto. I dać stolicy nie w twarz, a dać jej twarz. Nasi politycy bez kultury, bez wrażliwości na estetykę, zaślepieni sporami, nawet nie wiedzą, że coś takiego jak architektura istnieje, i że jeśli jest ładna, to żyjemy w niej ładniej. Ich estetyka ogranicza się do garnituru i krawata, w którym dobrze wypadną, gdy będą rozsnuwać pawie ogony na sejmowej trybunie. O estetykę należy walczyć jak o wolność – tu zgadzam się z Czesławem Bieleckim.

Jest piękna pogoda i namawiam Sołtana do podróży przez nową Warszawę, wiem, że powędrujemy w przeszłość. Centrum Warszawy i Wola to wielki plac budowy. U tego pięknego arystokraty bawiło mnie zawsze połączenie wielkiej kultury, ze szpetnymi przekleństwami na widok architektonicznych knotów. Nawet to potrafi robić elegancko. I teraz także nasłuchiwałem się. Jak przed laty, wiozę go na nostalgiczne spotkanie z klubem sportowym Warszawianka, który współprojektował. To bliskie mi miejsce, bo grywałem tu w tenisa od wielu lat.

W ścianie budynku tenisowego stadionu jest małe okienko ulokowane z niezwykłym wyczuciem harmonii. Gdy przegrywam, zerkam na nie i mnie uspokaja. Sołtan też patrzy na nie i mówi: „pamiętam jak je rysowałem”. Jadę dalej by odsłonić wielką kurtynę czasu, za którą stanął nowy-stary ratusz. Pamięta go sprzed wojny. „To nigdy nie była piękna architektura” – mówi. Ale przyznaje, że nie widzi dzisiaj architekta, który zaproponowałby współczesny gmach lepiej pasujący do tego miejsca. Na placu Piłsudskiego wysnuwa z pamięci sobór, przed którym pamięta, jak stali marszałkowie Piłsudski i Foch. Jeździmy tak długo i całe miasto ożywa jak poruszana przez wiatr pamięci pajęczka sieć.

Nagle Sołtan przypomina sobie, że do wojny mieszkał z

rodzicami w domu na Malczewskiego 25. Jedziemy tam. Widzę niepokój w jego oczach, to lęk przed spotkaniem z czasem. Znajduję willę. Tuż obok jest komenda policji, tu na sieci jest mój „owad”, tu ja mam swoje nie tak antyczne wspomnienia, które jednak już się patynują. Zapudłowali mnie tam na 48 godzin i mogłem zwiedzać przewody kanalizacyjne tego miasta, co było fascynujące.

Dzwonię do furtki odważny rolą metafizycznego przewodnika, Sołtan onieśmielony, ma ochotę czmychnąć, bo nie uprzedziliśmy nieznajomych gospodarzy. Otwiera spłoszona niewiasta, opiekuje się chorą ciotką, ale słyszała, że mieszkał tu kiedyś słynny architekt. Przeprasza za bałagan. Kto nie przeprasza, gdy wpuszcza do domu nieznajomych gości. Sołtan biegiem przemierza klatkę schodową, pokoje, dotyka łóżka, „na nim umarł mój ojciec”.

Wychodzimy z sierścią zjezoną minionym czasem. Na progu mówi na pożegnanie z ironicznym uśmiechem – „pamiętam jak przez te drzwi wychodziłem na drugą wojnę światową, uzbrojony w pałasz”. Potem był w oflagu, z którego udał się do Paryża, do słynnego Le Corbusiera, z którym przez lata pracował.

Śmiertelna nuda powrotu do moralnych sporów przeszłości, która była tak fascynująca, którą kiedyś żyłem. I może dlatego, że tym żyłem i to przeżyłem, i przetrawiłem, powrót wydaje mi się spożywaniem nudnej papki. AWS proponuje w Sejmie uchwałę potępiającą system komunistyczny, że PZPR jako organizacja miała charakter przestępczy. Poślowie SLD podczas dyskusji i obrad wychodzą demonstracyjnie z sali. „Zostawiamy was z waszą nienawiścią” – mówią dumnie. To prawda, jest nienawiść, ale też prawda, że postkomuniści są nie tylko potomkami wielkiej nienawiści, większość z nich mniej lub bardziej ją osobiście popierała po roku 81. Jeśli coś mnie jeszcze rusza na myśl o tamtych czasach, to właśnie wspomnienia wielkiej nienawiści, a przede wszystkim Wielkiego Kłamstwa. Zamiast uchwał sejmowych, czy nie lepiej jeszcze raz je pokazać, opisać, przypomnieć ku przestrodze. Wierzę, że istnieje pojęcie zbrodni kłamstwa. Kto był odpowiedzialny za puszczenie informacji, która miała moc wiadomości oficjalnej, że „Solidarność” robiła listy proskrypcyjne

działaczy partyjnych, że znaczone ich drzwi kredą. To wymyślali dawni znajomi i towarzysze obecnego prezydenta Kwaśniewskiego, to oni sfabrykowali i puścili w dzienniku TV informację odczytaną przez lektora w mundurze, że Karol Modzelewski, dzisiaj odznaczany przed prezydenta Kwaśniewskiego Orderem Orła Białego, podczas jakiegoś przyjęcia dolewał komuś podejrzany płyn do kieliszka.

Unia Wolności najchętniej nic by nie uchwałała, ale przyciśnięta projektem AWS-u do muru, proponuje swoją wersję, złagodzoną, argumentując, że jeśli przyjmie się tekst AWS-u, to każdy dawny członek partii będzie przestępcą i dorobimy się ich kilka milionów. „PZPR reprezentowała najgorsze tradycje zdrady i zaprzaństwa” – krzyczy AWS. Oczywiście, że tak, ale wszyscy moralni ludzie w Polsce o tym wiedzą, nie podważają tego współczesne podręczniki historii. Problem jest z młodzieżą, dla której historia współczesna zaczyna się po roku 89, wcześniej nie było NIC. Ale to też nasza wina, że nie napisaliśmy pewnych książek, nie powstały filmy. „Drugi obieg”, zjawisko niezwykle w skali światowej, a nie ma po tym śladu w pamięci zbiorowej.

Ze zdziwieniem odkrywam, że nie interesują mnie rewelacje, które przywiózł do Polski Władimir Bukowski, kiedyś bezmiernie go podziwiałem, za jego heroizm, za niezwykłą książkę „I powraca wiatr”, ze wzruszeniem spotykałem się z nim w Stanach, potem w Szwecji. Teraz w Warszawie publikuje i nagłaśnia swoją książkę „Moskiewski proces”, rzecz dotyczy stanu wojennego, mają tam być dokumenty i dowody, że Rosjanie nie zamierzali interweniować, Jaruzelski bydlę, jest wszystkiemu winien. Nie jestem w stanie tego czytać, najbardziej interesuje mnie to, że tak bardzo mnie to nie interesuje.

Kiedy czasami spotykam znajomych z tamtych lat i coś nam się przypomni, to opowiadamy tylko i wyłącznie anegdoty. W czasie wielkich zdarzeń widać rolę przypadku w życiu. Niedawno, też przypadkiem, spotkałem ambasadora Rumunii w Polsce, to pisarz Joan Grigorescu, dobra biografia, w czasie ich „telewizyjnej rewolucji” ranny, właśnie w gmachu telewizji. W rozmowie kreśli smętny obraz Rumunii. Uczy to pokory wobec naszych problemów, są jednak

luksusowe. Obraz kraju kształtuje czasami detal, który zastyga w formie stereotypu. Po roku 89 polskie miasta zostały oplecione siecią cygańskiego żebractwa, część z nich przybyła z Rumunii. Agresywne uliczne żebractwo teraz wszystkim kojarzy się z Rumunią, a więc Rumuni to żebracy. Ambasador codziennie budzi się z bólem głowy z tego powodu. I choć niewyspany, bardzo energicznie opowiada, że dla niego, dla tak wielu rumuńskich intelektualistów, Polska była oknem na świat, dlatego nauczył się naszego języka. Tysiące takich przypadków były na wschodzie, ale jak widać na południu też.

Zaproszony do ambasadora na obiad, spotykam dwóch znajomych polskich pisarzy, P. i G. Ambasada Rumunii, ładny budynek obszerny jak gmach jakiegoś mocarstwa. Karmieni przez pulchne niewiasty w strojach ludowych, rozmawiamy, a gdy nagle wkraczamy w przeszłość, uświadamiam sobie, że to G. ściągnął mnie po studiach do pisma TK. Potem wysłał, bym zrobił wywiad z P., z którym się przy okazji zaprzyjaźniłem. Dlatego spotkawszy go na Kongresie Kultury zaprosiłem na noc do domu, nie pojechałem więc na urodziny Z. Rozmawialiśmy przed północą z P. „wejdą nie wejdą”, gdy ktoś zapukał. Tak dowiedziałem się, że u znajomych nie ma drzwi, co było na tyle dziwne, że opuściłem pokład mieszkania, by wrócić po roku. Gdyby nie to, moje losy potoczyłyby się inaczej. Po pełnej niezwykłych przygód nocy zapukałem do drzwi sąsiadów B., gdzie doczekałem przemówienia generała Jaruzelskiego. Zabiłbym go wtedy z zimną krwią. A teraz pracuję z jego miłą córką w jednym piśmie. Ale przypadek nie opuszcza mnie również dzisiaj. Nazajutrz po obiedzie w ambasadzie jestem zaproszony na kolację do B., których wtedy wyrwałem ze snu o piątej rano. Gdyby przeszła uchwała AWS-u, byłiby potępieni jako dawni członkowie PZPR. Po roku 82 wyemigrowali do Francji, niedawno wrócili, są na wysokich stanowiskach w zachodnich firmach. Zarabiają w ciągu miesiąca prawie tyle co ja przez rok. Wspominają dobre stare czasy, gdy taszczyli wózek z dzieckiem na trzecie piętro. Teraz toną w luksusie, ale nie mają na nic czasu, a ich życie nie ma smaku. Dowiadują się ode mnie, że mieszkają obok lasu.

Wracamy na chwilę we wspomnieniach do stanu wo-

jennego. Gdybym miał pisać scenariusz, czy książki o stanie wojennym, byłaby to komedia lub groteska. To nie tylko czas i zmiana widzenia, w końcu mam pamięć niezliczonej ilości łajdactw i podłości stanu wojennego. To wszystko zalane zostało wolnością. Jej miodem i jej szlamem.

Zdarzyło się nieszczęście i popadłem w nałóg słuchania Radia Maryja. Zwykle otwieram radio na chwilę i już jestem w sidłach. Otchłanianie głupoty, różne postacie psychoz, to wszystko działa jak narkotyk. Ksiądz Rydzyk upomniany przez episkopat i przez Prymasa, już nie podnosi głowy, on po prostu trzyma mikrofon i codziennie robi wodę z mózgu milionom ludzi. Prymas pytany czy jest zadowolony z reakcji księdza na reprimendę mówi „tak”, a więc albo nie słucha radia, albo się z nim generalnie zgadza, ja optuję za tym drugim.

Siedzę w stuporze i słucham. Mają swój dzień radio-maryjni chłopi, jest więc temat wyprzedawania polskiej ziemi obcym, tu główny wróg to Niemcy, Unia Europejska i Żydzi. Nazajutrz nie mogę się powstrzymać i znowu zaglądam do rozgłośni. Jest dzień nienawiści do języka angielskiego, który zatruwa nasz piękny język ojczysty, a wszystko z prześwitami na ewangelię i religijne pieśni. Stałym motywem jest piąty rozbiór ojczyzny, która w zgliszczach jest rozdrapywana przez obcych. Jeśli wejdziemy do zjednoczonej Europy, to już po nas. A też Polska, jako ostatni w świecie bastion moralności i wartości chrześcijańskich. Co nie przeszkadza zarazem wszystkich naszych nieszczęść tłumaczyć korupcją komunistycznego półwiecza i upadkiem duchowym narodu. Pięć milionów słuchaczy radia jest w stanie przedzawałowym z przerażenia, że zbliża się piąty rozbiór Polski. Otwierają telewizor, a tam premier Buzek, ma niezwykle uroczystą przemowę do narodu. Pocziwy, przestraszony, sztywny, czyta z promptera jakim to błogosławieństwem dla Polski jest, że Europa nas jednak chce przyjąć do swojej rodziny. I ludzie potem nafaszerowani Radiem Maryja z jednej strony, a premierem z drugiej, łążą po świecie z takim dysonansem poznawczym. Na dodatek jeszcze czasami gdzieś usłyszą, że Chrystus był Żydem, a Matka Boska nie była Polką, no i jak z tym żyć?

Jeżeli uda się to przełożyć na działalność polityczną, to Le Pen na tym tle będzie liberalnym socjaldemokratą. Ale jest na szczęście w tej psychozie wielka impotencja, nawet męskie głosy tych ludzi brzmią eunuchoidalnie. Historia nas jednak uczy, a też kryminologia, do jakich strasznych czynów zdolny bywa skaleczony impotent. Więc nie wolno udawać, że nie ma problemu.

I faktem jest, że osłabła polska tożsamość, jest niepewność swojej istoty w wielu wymiarach. Utraciliśmy nagle wielkiego wroga, stoimy w samym środku Europy otoczeni narodowymi mitami, które nagle są takie wychudzone. I już sami sobie nie ufamy, zatrwożeni odkryciem, że każdego z nas można kupić, pytanie tylko za ile? Tu rodzi się straszna myśl – skoro sami się sprzedajemy to czemu nie może być sprzedana cała Polska. Przerażenie prawicy narodowej ideą 12 silnych województw, przerażenie, że będą one chciały oderwać się od Polski, jest wzruszającym świadectwem braku zaufania do samych siebie.

Polska piłka nożna flaczeje, już przegrywamy, o zgrozo nawet z Izraelem! Ale rosną w siłę prymitywne szczepy piłkarskich kibiców. Największa nienawiść jest pomiędzy kibicami warszawskiej Legii i łódzkiego Widzewa. Popularna pieśń na tysiące gardeł śpiewana na stadionach przez kibiców Legii „Widzew Żydzi, Widzew Żydzi, cała Polska was się wstydzi”. Niebываła jest też wojna domowa między kibicami warszawskiej Legii i warszawskiej Polonii. Tożsamość tych grup jest tworzona przez nienawiść. Do wielkich bójek między zwaśnionymi szczepami dochodzi nawet na meczach nieszczęsnej polskiej reprezentacji.

A jednak uczniowie liceów ankietowani przez *Kulturę*, a też ankietowani przeze mnie obecnie dla innego pisma, w ogromnej większości deklarują myślenie otwarte, liberalne, są tolerancyjni, deklarują też całkiem powszechnie gotowość oddania życia za Polskę.

Czyli Polska dzisiaj jawi się jako potrawa, gdzie skrajności są ze sobą wymieszane, liberalizm i obskurantyzm tuż obok siebie. Bigos, nasza narodowa potrawa, staje się znakomitą ilustracją stanu polskiej duszy.

Sytuacja sądownictwa w Polsce (listopad 1997 – luty 1998)*

1. *Dane wyjściowe.* Sądownictwo w Polsce, wraz z wejściem w życie Konstytucji z 1997 r. (październik 1997) zyskało realnie status „trzeciej władzy”, zwłaszcza z uwagi na regulacje zawarte w art. 2, 7, 8, 9, 10, 31, 41, 42, 45, 46, 55, 87, 91, 173-197, 233. Regulacje te przewidują w szczególności bezpośrednie stosowanie przez sądy konstytucji i prawa międzynarodowego (z pierwszeństwem przed prawem wewnętrznym), możliwość zadania przez każdy sąd pytania Trybunałowi Konstytucyjnemu na wypadek wątpliwości, czy prawo jest zgodne z konstytucją, szeroki udział samorządu sędziowskiego (Krajowa Rada Sądownictwa) w sprawach dotyczących sądownictwa i powoływania sędziów, tradycyjne gwarancje niezawisłości i niezależności sądów.

W Polsce jest około 7000 sędziów. Większość z nich (85%), to ludzie w wieku do 45 lat.

W okresie po zmianie ustroju w 1989 roku nie przeprowadzono weryfikacji sędziów. Trzeba też z naciskiem podkreślić, że w Polsce problem sędziów dyspozycyjnych, uległych politykom, czy wręcz zbrodniczych, nigdy po 1956 r. nie stanowił problemu o tym rozmiarze, jak w innych państwach Europy Centralnej i Wschodniej. Nawet obecni zwolennicy lustracji sędziów (jak obecny Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego, Adam Strzembosz, który w latach 90-tych był przeciwny lustracji) szacują liczbę orzekających po dzień osób skompromitowanych – na 20 osób.

2. *Problem sądu lustracyjnego początkiem kampanii politycznej przeciw sądom.* Na jesieni 1997 roku nie udało się skompletować (z powodu braku kandydatów wśród sędziów) 21-osobowego sądu lustracyjnego, którego zadaniem miała być weryfikacja prawdziwości oświadczeń składanych przez polityków wybieranych do parlamentu, obejmujących funkcje państwowe, sędziów. Oświadczenia te miały dotyczyć

* Na podstawie materiałów dostarczonych przez Krajową Radę Sądownictwa i Stowarzyszenie sędziów orzekających „Iustitia” (wyjątki).

braku współpracy w latach 1944-1990 z organami bezpieczeństwa państwa. Utworzenie sądu lustracyjnego przewidywała ustawa z 11. 04.1997. Ustawa ta została zaskarżona do Trybunału Konstytucyjnego, a wniosek (zarzucający jej naruszenie Konstytucji) oczekuje na rozpoznanie.

Niechęć sędziów do zgłaszania kandydatur do sądu lustracyjnego część polityków potraktowała jako sabotaż polityczny i dało to początek brzydkiej kampanii oskarżeń sędziów o niechęć do lustracji jako rzekomo godzącej w ich własne interesy

(...) 6. *Jednocześnie parlament w dniu 17.12.1997 r. zmienił ustawę o ustroju sądów powszechnych, wprowadzając tam następujące postanowienia:*

„1. Wobec sędziego, który w latach 1944-1989, orzekając w procesach będących formą represji za działalność niepodległościową, polityczną, obronę praw człowieka lub korzystanie z podstawowych praw człowieka, sprzeniewierzył się niezawisłości sędziowskiej lub z innych powodów wydawał oczywiście niesprawiedliwe orzeczenia, ograniczał prawa stron, bezzasadnie wyłączał jawność – nie stosuje się do dnia 31 grudnia 2000 roku przepisów o przedawnieniu w postępowaniu dyscyplinarnym.

2. Postępowanie dyscyplinarne, w sprawach, o których mowa w ust.1, wszczęte przed dniem 31 grudnia 2000 roku, toczy się do prawomocnego zakończenia.

3. Przepisy ust. 1 i 2 stosuje się odpowiednio do sędziego, który wykonując kierownicze funkcje w administracji sądowej lub w organizacjach politycznych naruszył niezawisłość sędziowską przez wywieranie wpływu na wydawanie przez innych sędziów orzeczeń w sprawach, o których mowa w ust. 1.

4. Z żądaniem wszczęcia postępowania dyscyplinarnego, w sprawach określonych w ust. 1 i 3, poza podmiotami, o których mowa w art. 88 par. 1 ustawy – Prawo o ustroju sądów powszechnych, może wystąpić Krajowa Rada Sądownictwa oraz osoba skrzywdzona orzeczeniem, jeżeli zostało to stwierdzone prawomocnym orzeczeniem sądu.

5. Za czyn, o którym mowa w ust. 1 i 3, sąd dyscyplinarny orzeka karę wydalenia ze służby sędziowskiej...”

Ustawa ta wzbudziła duże kontrowersje z uwagi na jej brak precyzji, stwarzanie „stanu zagrożenia” dla wszystkich sędziów oraz przyznanie prawa występowania z wnioskiem o

ukaranie sędziego stronie postępowania. Została ona też odebrana jako nieprzychylny krok ze strony polityków, nie mogących sobie podporządkować trzeciej władzy. Prezydent Polski przed podpisaniem ustawy złożył wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o sprawdzenie, czy zamierzona ustawa jest zgodna z Konstytucją. Wniosek oczekuje na rozpoznanie.

z pisma **KRAJOWEJ RADY SĄDOWNICTWA**
Impresje wyborcze z dnia 4.02.98

VOTUM NIEUFNOŚCI

Stowarzyszenia Sędziów Orzekających IUSTITIA
dla Wiceministra Sprawiedliwości Leszka Piotrowskiego

Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela. Jest ona nienujarzalna, a jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem władz publicznych (Art. 30 Konstytucji RP). Przypominamy te wniosłe postanowienia Konstytucji w chwili, gdy funkcjonariusz rządu – a więc władzy publicznej – Wiceminister Sprawiedliwości Leszek Piotrowski dopuścił się bezprzykładnego naruszenia godności osobistej całej grupy obywateli, a mianowicie sędziów.

Przytaczanie znieślawiających, a nawet znieważających, publicznych wypowiedzi pana Wiceministra mija się z celem, niemniej zaznaczyć trzeba, że miały one charakter generalizujący, odnosiły się do całego stanu sędziowskiego.

Aczkolwiek ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędziowskiej, a sądy i trybunały są władzą odrębną i niezależną od innych władz, niemniej dla zapewnienia właściwego funkcjonowania sądownictwa jako gwaranta państwa prawnego niezbędna jest współpraca i współdziałanie władzy sędziowskiej z Ministerstwem Sprawiedliwości, które odpowiedzialne jest za zapewnienie właściwych warunków dla funkcjonowania sądów. Współdziałanie to wymaga jednak zrozumienia wyżej wskazanych zasad demokratycznego państwa prawnego oraz poszanowania odrębności innych

władz i godności osób, władzę tę sprawujących. Wiceminister Leszek Piotrowski najwyraźniej zasad tych nie akceptuje bądź nie rozumie, czego przejawem są nieodpowiedzialne i w najwyższym stopniu antagonizujące wypowiedzi. Ponieważ jednak prowadzą one do dezawuowania autorytetu władzy sądowniczej i nie mają nic wspólnego z rzeczową krytyką i argumentacją, musi to prowadzić do wniosku, iż ich celem jest próba podporządkowania władzy sądowniczej wymogom bieżącej polityki i nakłonienia sędziów do uległości wobec funkcjonariuszy rządowych.

Oświadczamy stanowczo, że sędziowie presji tej nie ulegną.

Zamach na niezależność sądownictwa i niezawisłość sędziów jest zamachem na Konstytucję, a za naruszenie Konstytucji członkowie rządu ponoszą osobistą odpowiedzialność, tak moralną, jak i prawną. Przypominamy o tym i wzywamy do opamiętania.

Wzywamy także i Ministra Sprawiedliwości, i Prezesa Rady Ministrów do odpowiedniej reakcji na zachowanie Wiceministra Sprawiedliwości, milczenie bowiem na ten temat sprawia wrażenie akceptacji kierunku i przesłania tych działań. Satisfakcjonującą reakcją byłoby odwołanie ze stanowiska obecnego Wiceministra Sprawiedliwości i zastąpienie go człowiekiem rzeczywiście pragnącym współdziałać w rozwiązywaniu nabrzmiałych problemów sądownictwa i nie wykorzystującym sprawowanej funkcji publicznej do rekompensowania własnych frustracji zawodowych.

(P. Leszek Piotrowski nie został jednak zwolniony. Red.)

Sąsiedzi

Impresje wyborcze

Do Kijowa na wybory droga wiedzie tym razem przez Budapeszt, bo tak się złożyło, że tylko na węgierskich liniach lotniczych Malew można było jeszcze dostać miejsce. Okazuje się, że lotnisko budapeszteńskie jest wielkim skrzyżowaniem pomiędzy wschodem i zachodem, północą i południem, większym niż Wiedeń, Berlin czy Warszawa. Wpada w oczy sieć połączeń do Włoch. Na czym ta atrakcyjność skrzyżowań polega trudno dociec. Może dogodne położenie geograficzne, może wzorowa organizacja połączeń, a może też przyjemna atmosfera i elegancja obsługi. Oprócz sinych otoków na czapach żołnierzy straży granicznej z węgierskiego socjalizmu nic nie pozostało. Nawet pączkujący postkomunistyczny kapitalizm prezentuje się tutaj bardziej po ludzku niż gdzie indziej. A kiedy wyłudza pieniądze od obcego przybysza to robi to z ukłonem i uśmiechem. Możliwe, że są to tylko zewnętrzne formy, przejęte przedwojenne obyczaje, ale dzięki temu Budapeszt przyciąga rzesze turystów z całego świata.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta przekłeta bariera językowa, która nawet przelotnemu przybyszowi utrudnia porozumienie. Chciałoby się poczytać komentarze prasowe, porozmawiać z sąsiadem w samolocie. Madziarów boli a często nawet irytuje, że cudzoziemcy tak rzadko uczą się ich języka. Ostatecznie poprzestaję na lekturze niemieckojęzycznego *Pester Lloyd*a i ukazującego się od niedawna pisma *Rosijskij Wiestnik*. Ale dzisiejszy *Lloyd* to już nie to, czym był dziennik o tej nazwie przed wojną, równy najlepszym gazetom światowym. A piśmko po rosyjsku to głównie zbiór reklam i ogłoszeń, proponujących firmy, mieszkania i wille w

Budapeszcie. Stolica Węgier uchodzi za wielką centralę mafii rosyjskiej i ukraińskiej. Sądząc po pasażerach czytających gazetkę można przyjąć, że twierdzenia nie odbiegają daleko od prawdy.

Dzisiejszy Budapeszt jest nie tylko atrakcją dla turystów ale również ośrodkiem międzynarodowego świata przestępczego. Tu się znajduje główny punkt przerzutów zwerbowanych na prostytutkę dziewcząt z Ukrainy, Białorusi, Rosji i Mołdawii do Włoch, Austrii, na Bliski Wschód. Tu działają handlarze broni i narkotyków. Pomiędzy konkurującymi bandami trwa permanentna wojna. Niedawno doszło do strzelaniny na ulicach miasta. Historyk i dziennikarz Miklos Runn, syn komunistycznego przywódcy nieudanego przewrotu w 1919 roku, a potem ofiara czystek stalinowskich, Baci Kuhm, który wyrósł i wychował się w Rosji, chyba najlepiej orientuje się w tej materii. Jego zdaniem zaobserwowane liczne połączenia z Włochami – to nie przypadek, ale wymowna ilustracja do istniejących międzynarodowych porozumień mafii.

Mówimy o szeroko obchodzonej 150 rocznicy wiosny ludów, dla Węgrów „marcowej rewolucji”. Wciąż jeszcze nie ma ogólnego poglądu na ówczesne wydarzenia w Europie, a nacjonalistyczna historiografia odzywa się współczesnymi pomrukami i przeszkadza w porozumieniu Węgrów z Rumunami i Słowakami. Stosunki z Ukrainą – oprócz kwestii mafii – rozwijają się znakomicie. A mimo to Budapeszt nie może się stać drogą dla Kijowa na Zachód czy Południe. Nie polityka lecz bariera językowa stoi na przeszkodzie.

Kijów w przededniu wyborów

W samolocie z Budapesztu sporo korespondentów wysłanych na ukraińskie wybory. Włosi, Niemcy, Szwajcarzy, Anglicy. Przeważnie młodzi ludzie, bez znajomości kraju do którego jadą, historii, polityki. Inni doskoczą z Moskwy. W Kijowie prawie nie ma zachodnich dziennikarzy. Częściowo winna inercja polityczna kraju, częściowo cięcia oszczędnościowe w zachodnich źródłach informacji, ale głównie chyba tradycyjne rusofilstwo, dla którego centralą dla wszystkich państw po upadku imperium pozostaje Moskwa.

Atmosfera w przededniu wyborów – sądząc po wyglądzie ulic i pierwszych rozmowach – spokojna. Nikt nie zdiera plakatów przeciwnika, nikt nie pisze jędrnych epitetów na murach, nawet na niegdyś tętniącym emocjami Placu Niepodległości małe grupy kłótliwych dyskutantów. Przysłuchują się nurtowi sprzeczki, głównie chodzi o prezydenta Kuczmę i jego premiera Pustowojtenkę. „To bandyci i złodzieje” – peroruje starszy facet ze złotymi zębami dawnej epoki. „A twój Symonenko (szef komunistów – B.O.) to moskowska swołocz. Taki to by znowu wprowadził niewolę” – peroruje trochę młodszy człowiek z tryzubem na płaszczu. Kłótnia przechodzi do sprawy językowej: czy można zmusić mniejszość rosyjską, by mówiła po ukraińsku. W debatę miesza się chuda, koścista kobiecina i prawi po rosyjsku: „Ja nie umiem po ukraińsku, przyjechałam ze wschodu Ukrainy, ale jestem ukraińską patriotką, chyba lepszą od tych ‘banderowców’ z Zachodu”. „Co wy chcecie od nas – sugeruje człowiek ze steraną twarzą – myśmy byli jedyni, którzy walczyli o niepodległość. Ja przesiedziałem za przynależność do UPA dziesięć lat Gułagu. Wyście wtedy schylali pokornie karki przed Moskwą”. Pyskówki trwają do mroku... Ale już nie ściągają tłumów. Przechodnie zatrzymują się na chwilę i idą dalej. Chyba jest to dowód, że kraj się normalizuje, a uliczny demagog nie znajduje słuchaczy jak ongiś.

Za to w prasie rzeka brudów, oskarżeń, intryg i pomówień. Tylko oficjalna gazeta *Urządowyj Kurijer*, rosyjsko-języczny tygodnik *Zerkalo Niedieli* i pismo Ruchu, tygodnik *Czas* usiłują zachować fason. Najzacieklej atakują Wiaczesława Czarnowoła, przewodniczącego dawnej masowej organizacji i wciąż jeszcze obok komunistów najbardziej zdyscyplinowanej partii. W napaściach celują nacjonałści z Narodowego Frontu. Boją się widocznie konkurencji tej partii zwłaszcza w jej dotychczasowej domenie, w Galicji i na Wołyniu. W telewizji nieco więcej szacunku wobec przeciwników. Ale na ekranach oficjalnego kanału jednostronna propaganda dla rządowej Ludowo-Demokratycznej Partii. W prywatnych kanałach widać potęgę pieniędzy. Najkosztowniejszą kampanię zorganizowała sobie nowo powstała partia „Hromada” z Dniepropetrowska, eks-premiera Łazarenki. A panowie ze zjednoczonej socjaldemokracji, eks-prezydent

Krawczuk i eks-premier Marczuk i kilku bogatych biznesmenów finansujących tradycyjny klub piłki nożnej „Dynamo”, występują w futbolówkach i śpiewają specjalnie na wybory skomponowaną piosenkę o „drużynie naszej wspólnej młodości”. O idei i programie socjaldemokracji ani słowa. Komuniści i socjaliści korzystają mało z telewizji. Trzymają się konserwatywnych zwyczajów spotkań z elektoratem. Nacjonaliści z Narodowego Frontu wpadli w megalomanię i zapowiadają powszechne zwycięstwo.

Wyborcza niedziela

W niedzielę 29 marca zaświeciło słońce. Pomogło to frekwencji. Dzięki temu nie sprawdziły się pesymistyczne prognozy, że obywatele Ukrainy zniechęceni fiaskiem reform, korupcją i stałą zwłoką w wypłacaniu zarobków i rent, zbojkotują wybory. Stało się inaczej. Udział wyborców był wyższy niż na przykład w Polsce, czy w Czechach. Na pytanie dlaczego przyszli wybierać a nie pozostali w domu, Kijowianie odpowiadali zazwyczaj, że postanowili skorzystać z eksperymentu nowej ordynacji wyborczej, lub że poszli do urn, aby się zemścić na „partii władzy”.

W noc wyborczą wędrujemy do dwóch studiów telewizyjnych, które na zachodni sposób próbują urządzić dyskusje z politykami i ekspertami. W jednej stacji występujemy razem z Bogumiłą Berdychowską z Warszawy, potem raczej pasywny udział w konkurencji. Niestety, ani w pierwszym programie ani w drugim, nie było nikogo z przywódców partyjnych, za to dużo rozgadanych socjologów i wszelkiego rodzaju mądrali. Po wyjściu zobaczyłem, że jestem na ulicy Mielnikow. To tutaj Niemcy zbierali Żydów kijowskich i prowadzili w stronę wąwozu zwanego Babim Jarem, gdzie kohorty oprawców kosili przybywających salwami karabinów maszynowych. Nad Kijowem stała czarna noc. Za płotem czekały psy, a minie się wydawało, że słyszę szloch i jęki tych, co leżą niedaleko od wieży telewizyjnej pod ziemią w Babim Jarze.

Powtórka polskiego syndromu

Na drugi dzień konferencja w Białym Domu na placu Łesi Ukrainki, w dawnej siedzibie komitetu miejskiego komunistów, u przewodniczącego Komisji Wyborczej. Obliczanie głosów na prowincji idzie topornie, chyba też dlatego, że wybory parlamentarne połączono ze względów oszczędnościowych z głosowaniem do samorządu terytorialnego i na burmistrzów miast. Ale już wstępne wyniki pozwalają wyciągnąć wnioski, że najwięcej głosów otrzymali komuniści i że „Ruch” jest na drugim miejscu. Z trzydziestu stronnictw tylko osiem przeskoczyło czteroprocentową barierę. Nazajutrz obraz jest dość jasny: lewica złożona z komunistów, socjalistów i postępowych socjalistów na ogólną liczbę 450-ciu deputowanych będzie miała około 150 mandatów. A więc nie spełniły się sny o absolutnej większości. Obóz ten nie jest też w sobie zwarty. Przewodnicząca postępowych socjalistów narwana, ale piekielnie zdolna Natalja Witrenko, nie znosi ani „wodza” komunistów Petra Symonenki, którego nazywa po prostu „nieokrzesanym”, ani lidera socjalistów Ołeksandra Moroza, według niej „chłopaka ze wsi”. Zresztą w samej partii komunistycznej istnieją tarcia i głębokie różnice ideologiczne pomiędzy skrzydłem „internacjonalistów” i grupami „państwowców” i „czerwonych dyrektorów”.

Dużą niewiadomą jest czysto arytmetycznie najsilniejsza na razie grupa 114-stu posłów „niezależnych”, którzy kandydowali indywidualnie. Są to przeważnie przedsiębiorcy, bankierzy, przedstawiciele wolnych zawodów. Główne pytanie, czy ci panowie się porozumieją między sobą i utworzą, no powiedzmy partię rynkowej gospodarki – co by było pożytecznym – gdyż zarówno Partia Liberalna jak i Partia Demokratyczna przegrały – czy też rozbiegną się pośród innych stronnictw.

Partie centrowe, które weszły do Werchownej Rady, to oprócz najsilniejszego pośród nich „Ruchu”, Zieloni, rządowa partia ludowo-demokratyczna, Zjednoczenie „Hromada” i Zjednoczona Socjaldemokracja.

Poza parlamentem pozostały 22 stronnictwa. Powtórzył się podobny proces jak w Polsce w 1991 roku, kiedy to o

mandaty w Sejmie ubiegało się 29 partii i jedna trzecia wyborców nie znalazła swoich przedstawicieli w parlamencie. Na Ukrainie jest nieomalże identyczna sytuacja.

Sukces komunistów, to skutki protestu tych warstw, które najbardziej ucięrzyły w następstwie nieudolnej polityki ekonomicznej i społecznej Krawczuka i Kuczmy, a więc rencistów i bezrobotnych w dużych skupiskach przemysłu ciężkiego, który stoi beczynnie. Rezultatem tego jest też klęska obozu rządowego, który liczył na 40 procent głosów i z trudem otrzymał tylko śmieszne 5 procent. Jakie wnioski z tej sytuacji wyciągnie prezydent Kuczma, trudno przewidzieć. Jedyłą jego szansą na przyszłość byłaby gruntowna czystka w zmurszałym aparacie administracyjnym i przejście do ofensywnej polityki reform. Inaczej nastąpi nowy okres walki „na górze” pomiędzy prezydentem i parlamentem o pograżanie kraju w odmętach kryzysu.

Ale mimo wszystkich niepowodzeń i usterek demokracji są dwa pozytywne następstwa wyborów. Otóż koalicja trzech ugrupowań nacjonalistycznych zjednoczona we Froncie Narodowym pod egidą „banderowców” przegrała sromotnie i utraciła wpływy we Lwowie i w całej Galicji oraz na Wołyniu. Na wschodzie Ukrainy tak samo przegrały wszystkie regionalne partie o prorosyjskiej orientacji jak Partia Regionalnego Odrodzenia Ukrainy lub Społeczno-Liberalne Zjednoczenie, które żądały nadania językowi rosyjskiemu rangi mowy państwowej. Dla swobody manewru ukraińskiej polityki zagranicznej zarówno względem Polski jak też wobec Rosji są to znaczące symptomy.

15 kwietnia 1998

Bohdan OSADCZUK

BIAŁORUSKA DEKLARACJA WOLNOŚCI

Do podpisów pod Białoruską Deklaracją Wolności (*Kultura* 1/604-2/605) dołączyli się na znak solidarności: Wiridiana Rey, Leszek Talko, Czesław Miłosz, Zygmunt Stankiewicz dr med. i Sokrat Janowicz, Józef Lewandowski.

Kronika niemiecka

GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE: Mimo rekordowych obrotów gospodarki niemieckiej i rosnącego eksportu, bezrobocie w Niemczech nie wykazuje stałych tendencji spadkowych. W lutym br. bez pracy było w Niemczech 4,8 miliona osób. ■ W ubiegłym roku na terenie Niemiec Wschodnich zainwestowano 190 miliardów marek, czyli po 12 200 marek w przeliczeniu na jednego mieszkańca, podczas gdy w starych landach na jednego mieszkańca przypadło 8100 marek. ■ Według ekspertów Instytutu Badań Gospodarczych w Halle, mimo wzrostu efektywności produkcji, wschodnioniemiecki przemysł przetwórczy wykazuje gorsze wskaźniki kosztów produkcji niż w sąsiednich krajach reformatorskich, jak Polska, Czechy czy Słowenia, co powoduje ich większą konkurencyjność. Najlepsze wskaźniki wykazują Węgry. ■ Wzrost efektywności produkcji w nowych landach o 3% w zeszłym roku oznacza osiągnięcie tam 61% efektywności w starych landach. Wskaźnik bezrobocia w Niemczech Wschodnich ma osiągnąć w tym roku 20%, w porównaniu do 10% w landach zachodnich, natomiast zarobki osiągnęły tam poziom 90% w porównaniu do starych krajów związkowych. ■ Zdaniem niemieckiego ministra gospodarki Rexrodta, kraje aspirujące do członkostwa w Unii Europejskiej powinny przejąć możliwie bez wyjątków wszystkie panujące w UE prawa i przepisy, aby nie spowodować pogorszenia się warunków konkurencji dla dotychczasowych krajów członkowskich i zakłóceń w stosunkach gospodarczych i handlowych. Należą do nich m.in. prawa ochrony konsumenta, standardy w dziedzinie ekologii i bezpieczeństwa jak też praw autorskich. Ograniczone czasowo wyjątki możliwe mają być tylko w przypadku trudności organizacyjnych lub finansowych. Zdaniem sekretarza państwowego w niemieckim MSZ, Wernera Hoyera, niektórzy z kandydatów nie zdają sobie sprawy, że będą musieli przejąć 20.000 wytycznych i nakazów, „wśród których ukrywa się niejedna mina”. ■ **POLITYKA:** Olbrzymią większością 554 głosów w stosunku do 37 głosów przeciwnych i 30 wstrzymań od głosowania niemiecki Bundestag poparł przyjęcie Polski, Czech i Węgier do

NATO. Przeciwno głosowali wszyscy posłowie postkomunistycznej partii wschodnioniemieckiej PDS. Wśród posłów partii Zielonych 14 głosowało za, 6 przeciwko a 25 wstrzymało się od głosu. ■ W osiem lat po zjednoczeniu Niemiec nie jest do końca wyjaśniona sprawa majątku partii i organizacji masowych z czasów NRD. Powołane do tego celu komisje zdołały odnaleźć wiele milionów marek także na kontaktach zagranicznych, w tym 141 milionów w Norwegii i ponad 13 milionów w Luksemburgu. Natomiast niemal w całości wyjaśniono sprawę ich majątku na terenie byłej NRD. ■ Na terenie Niemiec przebywa obecnie około 600.000 osób zobowiązanych do opuszczenia Republiki Federalnej. ■ Niemiecka Służba Ochrony Konstytucji ocenia, iż spośród 3 milionów mużłmanów żyjących w Niemczech, 32.000 należy do organizacji ekstremistycznych stanowiących poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku demokratycznego kraju. ■ Islam jest obecnie trzecią pod względem ilości wyznawców grupą wyznaniową w Niemczech. ■ Wyrokiem Federalnego Sądu Administracyjnego z marca br. późni przesiedleńcy z Polski, Rumunii i Czech, którzy chcą się osiedlić w Niemczech, muszą udowodnić, iż w ich dotychczasowej ojczyźnie byli osobiście mocno szykanowani z powodu swej przynależności narodowej. Wywłaszczenie ich rodziców po wojnie lub wyjazd na stałe wielu osób z niemieckim pochodzeniem z ich otoczenia czy też doznane pojedyncze przypadki obrazy bądź obelg obecnie nie wystarczają. ■ Przewodniczący Centralnej Rady Żydów w Niemczech Ignatz Bubis zarzucił części przedstawicieli „dwóch dużych kościołów w Niemczech” próbę werbowania i namawianie do przejścia na chrześcijaństwo żydowskich przesiedleńców z krajów byłego Związku Sowieckiego, na co przeznaczają się rzekomo miliony marek. ■ Po prawie 60 latach od pogromu żydowskiego gminy żydowskie w Saksonii mają swego rabina. ■ W wyniku porozumienia zawartego między rządem niemieckim i żydowską organizacją Jewish Claims Conference do roku 2002 RFN wypłaci 18.000 wschodnioeuropejskim ofiarom Holocaustu 200 milionów marek. ■ Minister obrony Volker Rühle po kilku ekscesach skrajnie prawicowych w Bundeswehrze zamierza werbować do jej szeregów także młodych mężczyzn „ze spektrum lewicowego” ■ Niemieckie Ministerstwo Pracy zleciło przebadanie 996.000 rent wypłacanych w Niemczech ofiarom wojny, w celu zbadania, czy nie otrzymują ich przestępcy nazistowscy.

W przypadku potwierdzenia się takich zarzutów, rencista musi liczyć się z utratą świadczeń ze strony państwa. ■ Rzeczpospolita Polska otrzymała z powrotem teren, na którym przed wojną znajdowała się Ambasada RP w Berlinie. Mieści się on przy ulicy Kurfürstenstrasse i jest nie zabudowany. ■ Berlińskie gimnazjum im. Gabrieli von Bülow zebrało dla ofiar powodzi we Wrocławiu 120 000 marek, które rozdzielono wśród 42 rodzin dotkniętych kataklizmem. ■ W Berlinie ministrowie obrony Niemiec i Polski wygłosili 31 marca br. wykłady na temat współpracy Bundeswehry i Wojska Polskiego na tle przygotowań Polski do przystąpienia do paktu NATO. Minister Rühle stwierdził m.in. iż decyzja o przyjęciu Polski, Czech i Węgier do paktu likwiduje stalinowski podział Europy. Odnosząc się do zarzutów niektórych ekspertów na temat przestarzałego wyposażenia polskiej armii minister Rühle stwierdził, że ważniejsze są wspólne wartości i cele niż nowoczesne samoloty i dodał: „Cóż dałoby nam to, że polscy piloci lataliby nowoczesnymi samolotami zachodnimi mając przekonania z okresu komunizmu. Teraz latając na migach, które służą także u nas, są naszymi zaufanymi partnerami”. Minister Onyszkiewicz podkreślił intensywność i wszechstronność współpracy Wojska Polskiego i Bundeswehry oraz pomoc ze strony Niemiec na rzecz przyjęcia Polski do NATO. Odpowiadając na moje pytanie o ocenę dokonań swego poprzednika, podkreślił kontynuację głównych założeń i celów długofalowych polskiej polityki obronnej niezależnie od rządów w Polsce. Za deficyt uznał jednak zbyt powolną naukę języka obcego przez kadry oficerskie oraz zbyt powolne dostosowywanie polskich struktur wojskowych do przyszłego członkostwa w NATO ■ KULTURA: W roku ubiegłym udział filmów produkcji niemieckiej wśród filmów wyświetlanych w kinach niemieckich osiągnął 17,3 % i był największy od roku 1981. ■ Należąca do japońskiego koncernu Sony hollywoodzka firma Columbia Tristar zamierza zainwestować 100 milionów dolarów w rozbudowę renomowanej wytwórni filmowej Babelsberg w Poczdamie. ■ W wieku 102 lat 17 lutego br. zmarł znany i kontrowersyjny pisarz niemiecki Ernst Jünger. Krytycy zarzucali mu przede wszystkim gloryfikację wojny, szczególnie w jego książkach z lat 20-tych i 30-tych oraz „duchowy wkład” do objęcia władzy przez nazistów. Zwolennicy podziwiali jego mistrzowskie opanowanie języka i stylu, uważając Jüngera za „świadka swych czasów”. ■ Niemiecki

koncern wydawniczy Bertelsmann AG nabywając za 1,7 miliarda dolarów amerykańską grupę wydawniczą Random House stał się największym wydawnictwem książkowym w krajach angielskiego obszaru językowego. Przewiduje się, iż obroty koncernu wyniosą od 2,5 do 3 miliardów marek rocznie. ■ Nakładem wydawnictwa Rowohlt Berlin ukazała się książka Helgi Hirsch pt. „Die Rache der Opfer” (Zemsta ofiar), w której ta znana publicystka zajmująca się bardzo często sprawami polskimi porusza problem więzienia i znęcania się nad Niemcami tuż po wojnie w obozach na terenie Polski. Książka ma charakter reportażowo-publicystyczny i nie jest pozbawiona kontrowersyjnych sformułowań. ■ Od 9 do 21 lutego odbywała się w gmachu Berlińskiej Biblioteki Państwowej (Staatsbibliothek zu Berlin) wystawa Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego z okazji „450 rocznicy urodzin pierwszej książki litewskiej”. ■ W Instytucie Polskim w Lipsku miała miejsce wystawa fotografii Niezależnej Agencji Fotograficznej „Dementi”, na której zaprezentowano fotografie ukazujące opór Polaków w latach 80-tych przeciwko reżimowi komunistycznemu. Odbyły się tam również wieczory autorskie Anny Boleckiej, Ryszarda Krynickiego i Leszka Szarugi. ■ W Polskim Instytucie Kultury odbył się wieczór autorski znanego tłumacza literatury polskiej w byłej NRD i Niemczech Henryka Bereski. W czasie uroczystego wieczoru Henryk Bereska został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP.

Andrzej STACH

■ P.S. AN
Do artykułu pt. „Patriotyzm a pragmatyzm” na temat planów repatriacji Polaków z Kazachstanu do Polski zakradł się błąd w fragmencie dotyczącym stanowiska profesora Stelmachowskiego w tej sprawie. Jest: „Uznając wiele racji zawartych w drugiej części wypowiedzi premiera, pragnę stwierdzić że jej pierwsza część jest co najmniej nieodpowiedzialna.” Miało być: „Uznając wiele racji zawartych w drugiej części *jego* wypowiedzi, pragnę stwierdzić że jej pierwsza część jest co najmniej nieodpowiedzialna.”

Kronika kulturalna

Poza miejscem i czasem

Wiek XX ma to do siebie, że rodzi obfitość etykietek. Podział na lewicę i prawicę krzyżuje się z podziałem na demokrację i autorytaryzm, potem trzeba to przemnożyć przez nacjonalizmy poszczególnych nacji oraz sojusze czysto pragmatyczne. Nazwy w dodatku podwajają się, jeżeli brać pod uwagę, jak my sami się nazywamy i jak nazywają nas przeciwnicy. Na koniec zaś można jeszcze szukać odnośnych powiązań z typami ekspresji artystycznej. Naturalną kolejną rzeczą powstają w tej sytuacji oksymorony w rodzaju „rewolucja konserwatywna”.

Ernst Jünger wlecząc za sobą okazały orszak przymiotników i -izmów, które mają określać jego miejsce na mapie światopoglądowych, politycznych i artystycznych formacji. Heroiczny realizm, romantyzm, surrealizm, estetyzm, utopizm, rewolucyjny konserwatyzm, konserwatywny anarchizm, narodowy bolszewizm, militarizm, posthistoryzm, dandyzm, nihilizm, dekadentyzm, totalizm. To tylko niektóre, wybrane identyfikatory. (Można by dorzucić, rzecz jasna, „burżuazyjny indywidualizm” i „reakcjonizm”, którymi socrealistyczna krytyka szafowała rzycałtem wobec zachodnich intelektualistów niechętnych Związkowi Sowieckiemu). Orszak więc imponujący – ale nic w tym dziwnego, skoro życie Jüngera objęło cały wiek XX, a temperament popychał go do nieustannego określania własnego stanowiska wobec świata.

Literackim debiutem Jüngera były wspomnienia z frontu I wojny światowej, wydane pod tytułem „In Stahlgewittern” (W stalowych burzach) w 1920 r., to jest na kilka lat przed tym, nim na rynek księgarski zaczęła spływać wielka fala

literatury o tematyce wojennej, a wymowie pacyfistycznej. „Stalowe burze” i następne publikacje Jüngera nawiązujące do przeżyć wojennych – „Der Kampf als inneres Erlebnis” (Walka jako przeżycie wewnętrzne), „Das Wäldchen 135” (Lasek 135), „Feuer und Blut” (Ogień i krew) cieszyły się w Niemczech powodzeniem. „Stalowe burze” były do 1935 r. Sześciokrotnie wznawiane. Plastyczne, wsparte sztuką słowa zapiski frontowe zaspokajały potrzebę emocjonalnego powrotu do tamtych lat i dogadzały nastrojom nacjonalistycznym. Ewokowały ducha krucjaty, prowadzonej przez Niemcy przeciwko temu, co reprezentowała sobą Europa: przeciwko demokracji, liberalizmowi, stęchłej kulturze mieszczańskiej. Rok 1914 pomyślany był jako odpowiedź na rok 1789. W powojennych Niemczech, przegranych i sfrustrowanych, pisma Jüngera odbierano jako potwierdzenie tamtych roszczeń, potwierdzenie niemieckich racji wbrew poniesionej klęsce.

Ale „Stalowe burze” były też wydawane i czytane w innych krajach, na gruncie odmiennie uformowanych potrzeb i nastrojów. W 1929 r. ukazał się przekład angielski¹. W 1935 r. rzecz opublikowano w Polsce, w przekładzie Janusza Gaładyka, pod tytułem „Książę piechoty. (W nawalnicy żelaza)”, nakładem Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego, w 1938 r. wznawiono. Książka nie zwróciła na siebie uwagi krytyki literackiej, traktowano ją raczej jako lekturę wychowawczą, dającą wyobrażenie o powinnościach wojennego żołnierza².

Wojna wedle Jüngera jest niezrównanym doświadczeniem. Dlaczego? Dlatego, że wynosi człowieka ponad bezpieczną powszedniość, pozwala przekroczyć granice indywi-

1. „Storm of Steel”, London 1929. Wspomina o tej książce Michael Howard w pracy „Wojna w dziejach Europy” (przeł. T. Rybowski, Wrocław-Warszawa-Kraków 1990 r.), pisząc o atrakcyjnym obrazie wojny, jaki wyłaniał się ze wspomnień weteranów i sprzyjał gotowości do następnego zbrojnego konfliktu.

2. Informację o recepcji Jüngera w Polsce przed 1939 r. zawdzięczam Panu Profesorowi Wojciechowi Kunickiemu, który zechciał łaskawie udostępnić mi odnośne fragmenty przygotowywanej wspólnie z Krzysztofem Polechońskim książki „Ernst Jünger w publicystyce i literaturze polskiej lat 1930-1997. Studium recepcyjne – Bibliografia – Antologia tekstów”.

dualnej jaźni i społecznych norm, daje ekstatyczne wyzwolenie:

„Oto jest odurzenie ponad wszystkie odurzenia, zryw, który wszelkie pęta zrywa. To szal, względów ni granic nie znający, tylko z mocami natury porównywalny. Oto człowiek, niczym szalejąca burza, spienione morze, ryczący grzmot. Wtedy stapia się w jedność ze wszechświatem, pędzi naprzeciw mrocznym wrót śmierci niczym pocisk do celu”³.

Wojna, tak jak przedstawia ją Jünger, nie jest wydarzeniem natury historycznej, nie ocenia się jej w kategoriach politycznej gry ani indywidualnego cierpienia. Jest wielką apokalipsą, objawieniem wielkiej prawdy.

W wojennych pismach Jüngera – niezależnie od ich politycznych i nacjonalistycznych implikacji – zawarta jest wyrazista propozycja estetyczna. Estetyczna w podwójnym sensie, sięgającym greckiego źródłosłowu: *aisthetos* – to, co postrzegalne zmysłowo. Główną relacją, jaką człowiek nawiązuje ze światem, ma być percepcja, postrzeżenie. Ludzie współcześni – zepsuci wychowaniem w mieszczańskiej, utylitarnej kulturze – potrafią ujmować świat tylko przez pryzmat własnego wygodnictwa, naskórkowych emocji, doraźnych pożytków. Chodzi o to, by odrzucić całą tę otoczkę i przeniknąć wzrokiem do sedna rzeczy, do nieskażonego fenomenu. Nie jest to bynajmniej postawa bierna, ale w najwyższym stopniu aktywna, twórcza. Wymaga bezwzględnej determinacji, nie pozwala spocząć na miękkim gruncie nawyku, każe przełamywać tabu społecznych przesądów i granice własnej wytrzymałości. Trzeba samozaparcia, by na froncie, w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, wznieść się ponad ferwor walki, strach, ból, odruchy samozachowawcze, wziąć to wszystko w nawias i skoncentrować się na chłodnym kontemplowaniu. „Ta druga, chłodniejsza świadomość, zaznacza się w zdolności (...) widzenia samego siebie jako przedmiotu” – pisze Jünger w szkicu „Über den Schmerz” (O bólu). W tym okresie estetyka Jüngera ma wyraźnie rozmach heroiczo-rewolucyjny, nie bez intencji epatowania burżuazji:

3. E. Jünger „Der Kampf als inneres Erlebnis”, Berlin 1922, s. 31, fragment cytowany w: Ch. gr. von Krockow, „Niemcy. Ostatnie sto lat”, przeł. A. Kopacki, Warszawa 1997, s. 152.

„Byłem daleko przed kompanią, towarzyszył mi pocztowy i jeden jednoroczny (...) Prawa ręka ujmowała rękojeść pistoletu, a lewa trzcinię bambusową. Pałałem niepojętą dla mnie zaciekłością. Przepetęzna chęć zabijania uskrzydlała moje kroki. Wściekłość wycisnęła gorzkie łzy.

Ogromna żądza niszczenia, ciężąca nad pobojowiskiem, ześrodkowała się w mózgach. Tak mogli być owładnięci namiętnościami ludzie renesansu, tak mógł szaleć Cellini, tak wyjąć uganiają nocą wilkołaki, żeby pić krew”⁴.

Swoiste *pendant* publikacji spod znaku pierwszej wojny światowej tworzy rozprawka „Der Friede” (Pokój), pisana w trakcie drugiej wojny. Wojna – która jeszcze się toczy – w perspektywie Jüngera staje się czymś odległym, abstrakcyjnym, poniekąd wydarzeniem mitycznym, które rozegrało się w mitycznych czasach, trwa w mitycznym kalendarzu, ale nie jest bezpośrednio doświadczane. Wydaje się raczej katalizmem żywiołów niż sprawą ludzi. W tekście padają określenia w rodzaju „widowisko”, „spektakl”. Owszem, widowisko okropne, ponieważ w odróżnieniu od pierwszej wojny, która była rycerska, w drugiej uczestniczyły pierwiastki nikczemne, rozbestwione „lemury”. Jednakże mimo owej lemurycznej domieszki, wojna nadal ma w oczach Jüngera walor wzniosłej i wiele obiecującej cezury. Im większe zniszczenie, im więcej ofiar i cierpień, tym większe oczyszczenie. Jünger podkreśla, że tym razem wojna objęła całą kulę ziemską i była „pierwszym powszechnym dziełem ludzkości”. To znak, że „świat, jako ojczyzna ludzkości, chce przybrać nową postać i sens”⁵.

Do 1923 r. Jünger pozostawał w armii i zajmował się m.in. opracowywaniem regulaminów. Następnie przez jakiś czas studiował – zoologię i filozofię. Był związany z ruchem rewolucji konserwatywnej i ceniony dla swego kunsztu pisarskiego jako współpracownik programowych czasopism. Przy-

4. „Książę piechoty (W nawałnicy żelaza)”, przeł. J. Gaładyk, Warszawa 1935, s. 150.

5. Memoriał „Der Friede. Ein Wort an die Jugend Europas und an die Jugend der Welt”, powstał w 1943 r., ogłoszony został w 1945 r., w okresie, gdy Jünger obłożony był przez władze alianckie zakazem publikacji, rozpowszechniano go na prawach rękopisu, w 1946 r. wydany został w Amsterdamie, w 1949 r. w Zurychu, ostatnio włączony do książki „Hoffnung Europa. Deutsche Essays von Novalis bis Enzensberger”, wyd. P. M. Lützel, S. Fischer Verlag, Frankfurt a. M. 1994.

jaźnił się z Carlem Schmittem (który potem udzielił politycznego wsparcia nazizmowi) i z Ernstem Niekischem (później uwięzionym przez nazistów). Dwie głośne rozprawy, „Die Totale Mobilmachung” (Totalna mobilizacja, 1931) i „Der Arbeiter” (Robotnik, 1932), napisane z kolosalnym impetem retorycznym, formułują założenia wielkiej odnowy, w duchu rewolucyjnym i nietzscheańskim. Odnowa polegać ma na zniszczeniu dawnej, mieszczańskiej kultury. Bohaterem nadchodzących czasów jest robotnik, nie jako przedstawiciel grupy społecznej, ale jako typ nowego człowieka. Robotnik inaczej widzi świat: w panowaniu, władzy i technice widzi emanacje elementarnych sił, poruszających kosmos. W przeciwieństwie do mieszczaucha nie ślizga się po powierzchni, ale w każdej chwili swego istnienia aktywnie łączy się z owymi żywiołami. Nagromadzone sprzeczności – a wybuchowa retoryka dodatkowo je mnoży – nie dyskredytują projektu, podkreślają tylko jego nowatorstwo, kosmiczną pojemność, nie znaną przedtem zdolność godzenia bezgranicznej wolności i najsurowszego porządku.

Jünger wolał jednak zostać na stanowisku obserwatora i diagnosty niż czynnego uczestnika wydarzeń politycznych. Chciał zachować dystans. Odmawiał współpracy z NSDAP, nie wstąpił do nowo tworzonej „Akademie der Dichtung”.

Nowe poznanie, nowy kontakt z rzeczywistością dokumentuje także zbiór miniatur „Das Abenteuerliche Herz” (Awanturnicze serce, pierwsza wersja 1929, druga wersja 1938). Tytuł jest aluzją do sformułowania Louisa Aragona z „Wieśniaka paryskiego”, a książka uchodzi za jedyny *specimen* surrealizmu w literaturze niemieckiej. Skądinąd, co ciekawe, w krytyce niemieckiej, i to tej zycziwej dla autora, można spotkać pogląd, że Jünger jest najbardziej francuskim z niemieckich pisarzy. Za znamiona „francuskości” uchodzi troska o wykwiń wypowiedzi, chłodny dystans w stosunku do przedmiotu, dandyzm. Chętnie zestawia się go z Huysmansem i Flaubertem⁶. We Francji zresztą Jünger cieszy się dużą popularnością. Zaczęto go wydawać jeszcze w latach trzydziestych. André Gide w 1942 r. zachwycał się „Stalowy-

6. Por. np. R. Burger, „Die Kunst der Schleife. Ernst Jünger zum hundersten Geburtstag”, *Merkur* 4, 1995.

mi burzami”: „to najpiękniejsza książka o wojnie, jaką czytałem”⁷. Na francuski przełożono niemal całość pism Jüngera, a szczególne zgrupowanie wydań i wznowień przypada na ostatnie lata.

W „Awanturycznym sercu” Jünger znalazł najbardziej mu dogadzającą formę artystyczną. Są to krótkie fantazje, zapisy snów, notatki z lektur, impresje, wieńczone błyskotliwymi pointami. Z reguły krótkie, skondensowane, nasycone metaforyką. Jünger zadziwia i fascynuje swoim kunsztem obserwacji, skupionej, precyzyjnej, rodzącej nieoczekiwane porównania i skojarzenia. Wnika w „najzwyklejsze i najpowszedniejsze zjawiska”, aby uchwycić je „zarazem jako symbol życia bardziej istotnego”. Akt twórczy ma dopomóc „uwolnieniu się od okoliczności empirycznych”. Percepcja nadal jest sprawą kluczową, ale ponadto zyskuje wymiar transcendentny – jej korelatem jest księga świata, która domaga się odczytywania. Wyostrome spojrzenie ma ujmować to, co w rzeczach i zjawiskach jest znakiem ich przynależności do wiecznego ładu. Staje się misją, powierzona wybranym i spełnioną z dala od zgiełku.

Temu zajęciu odczytywania księgi świata oddają się mieszkańcy Pustelni Rucianej w „Marmurowych skałach” – najbardziej bodaj znanej i najpowszechniej tłumaczonej książce Jüngera. Brat Otho i jego towarzysz, będący narratorem, obserwują przyrodę, prowadzą badania, docierają do sekretów, znanych przedtem nielicznym poprzednikom. Ich praca nie ma na względzie żadnego doraźnego celu. Już w „Robotniku” Jünger pisał o korupcji, jakiej uległa nauka w czasach nowożytnych, odkąd oddano ją na niegodną służbę interesowności. Poznawanie świata nie ma niczemu służyć, jest wartością samą w sobie, ba – jest może wręcz jedyną wartością, jedynym godziwym sposobem życia. Patrząc na rośliny, żywe stworzenia, kamienie i krajobraz, „pustelnicy” widzą ukryte w nich znamię wyższego porządku.

Takie poznanie ma wiele z alchemii, dla której docieranie do tajemnic przyrody było zarazem wtajemniczeniem w wyższą formę bytu. I Jünger faktycznie otacza Pustelnię aurą alchemicznych legend: mamy tu stare księgi, rytuały, magicz-

⁷ A. Gide, „Journal 1939-1949”, Bibliothèque de la Pléiade, Paris 1954, s. 147.

ne rekwizyty. Jednakże tak czy owak – konkretna, bezpośrednio dana postać świata, to, co składa się na jego chaotyczne bogactwo, indywidualną niepowtarzalność, na pełne niespodzianek życie, zostaje w ten sposób skazane na odrzucenie. Pustelnik, który patrząc na listki babki pospolitej widzi w nich geometryczną figurę, przypomina uczonego, który w laboratorium oddziera świat z empirycznego mięsa, bo chce mieć przed oczyma tylko prawidłowy szkielet. Sztuka widzenia, którą proponuje Jünger, gardzi utylitarną interesownością nauki, bez zastrzeżeń zdaje się natomiast akceptować inne jej rysy: oschłość, zamiłowanie do reguły i rygorów, pociąg do bezlitosnej abstrakcji. Rytuały, które wyznaczają duchowe życie pustelników, bliższe są systematycznie ponawianych, wręcz monotonna ćwiczeń niż przeobrażających doznań.

W zakończeniu „Marmurowych skał” pustelnicy, nie mogąc powstrzymać naporu dzicy, reprezentowanej przez obóz Nadleśniczego, odpływają do dalekiej krainy. Opuszczają teren historii, domenę działania nieobliczalnych, barbarzyńskich sił. Może tej ucieczce przyświecała legenda wypraw morskich, zakończonych utworzeniem gdzieś daleko, na samotnej wyspie, nowego państwa, nowego, szczęśliwego świata. W tomie szkiców „An die Zeitmauer” (1959) Jünger pisał o „murze czasu”, granicznej linii, między czasami historycznymi a eonem ahistorycznym. W powieści „Heliopolis” pisał o nadejściu Trzeciego Królestwa, królestwa ducha. Po drugiej wojnie Jünger nie angażował się już w każdym razie w życie publiczne. Wielka szansa „nowego początku”, o jakiej mowa w „Der Friede”, oznaczała dla niego życie w odosobnieniu, podróżowanie, niebanalne lektury, badania entomologiczne, szukanie nowych przestrzeni życia wewnętrznego – między innymi poprzez narkotyki i zainteresowania ezoteryczne – oraz pisanie. Nazwał się „anarchą” – nie anarchistą! – a rozróżnieniu obu pojęć poświęcił obszernie wywody w powieści „Eumeswil”. Warto dla objaśnienia zacytować fragment wywiadu dla *Spiegla* z 1982 r., nawiązujący skądinąd do osławionej sceny, kiedy to Jünger z kieliszkiem szampana w ręku obserwował bombardowanie Paryża:

„(...) jest rok 1944 i nadlatują angielskie bombowce (...), a

Jünger siedzi akurat z kieliszkiem szampana w dłoni, w którym pływa poziomka. Anglicy myślą, że Jünger zaraz zejdzie do schronu. Ale tu się pomylili. Nie przyjmują takich reguł gry. (...) Udają się na najwyższe piętro i obserwują nalot. Możliwe, że patrzę przez szkło kieliszka. Jest to więc zarazem jakby bruderszaft ze śmiercią. Oto właśnie postawa anarchy. Oto człowiek, który zupełnie nie przejmie się tymi z góry, którzy chcą wzbudzić strach, ani tymi z dołu, którzy ten strach czują, tylko stoi sobie spokojnie przy oknie i widzi: poziomka krystalizuje. Później pomyślałem sobie, że nie mogę tego ludziom odbierać, że muszę to dla nich zapisać⁸.

Dzieła zebrane Ernsta Jüngera, wydawane w latach 1978-1986, liczą 18 tomów (Klett-Cotta, Stuttgart). Po wojnie opublikował powieści „Heliopolis” (1949), „Besuch auf Godenholm” (Wizyta na Godenholm, 1952), „Gläserne Bienen” (Szkłane pszczoły, 1957), „Die Zwillie” (Proca, 1973), „Eumeswil” (1977), „Aladins Problem” (Problem Aladyna, 1983), „Niebezpieczne spotkanie” (1985, przekład polski 1998). Ponadto wiele esejów i rozpraw, poświęconych sprawom języka i pisarstwa, kultury europejskiej i jej perspektyw na przyszłość, także badaniom entomologicznym, także narkotynom. Lwią część spuścizny Jüngera stanowią dzienniki, pisane stale, i partiami publikowane. Na ogół dalekie są od zwierzeń w rodzaju *journal intime*. Kontynuują raczej formę „Awanturczego serca”. Protokołują kapryśny bieg duchowych przygód. Ewa Bieńkowska w szkicu publikowanym po śmierci Jüngera pisze: „Dziennik nie służy pisarzowi do wyrażania uczuć, lecz do zakreszania wokół siebie świata jako przedmiotu medytacji” i formułuje szereg pytań dotyczących okresu, gdy Jünger przebywał w Paryżu jako oficer wojsk okupacyjnych, a nie znajdujących odzwierciedlenia w zapisach:

„Jak zachować wewnętrzną godność w sytuacji wysokiego napięcia między przeciwstawnymi funkcjami, kodeksami moralnymi, między opozycyjnymi definicjami człowieczeństwa? Kim właściwie jest Ernst Jünger podczas II wojny (...)? W jakim charakterze dyskutuje z francuskimi pisarzami, skupuje francuskie książki, zaprasza młode paryżanki do kina? (...) Kiedy, na jakie spotkania wkłada mundur, a kiedy występuje w cywilu i co za każdym razem komunikuje w ten sposób swoim partnerom? Gdzie są granice jego

8. „Bruderszaft ze śmiercią”, *Der Spiegel* 33, 1982, po polsku w: *Literatura na Świecie* 9, 1986, przeł. R. Turczyn.

zgody na rolę członka garnizonu okupacyjnego? Na ten temat, najciekawszy temat dramatycznej historii niemieckiego artysty w ujarzonym kraju – ani słowa w dziennikach.”

Krytyka często podkreśla, że Jünger nie radzi sobie z fabułami. Konstrukcja intrygi chwieje się, postaci są raczej schematycznymi typami niż pełnokrwistymi indywiduami. Autor korzysta z każdej okazji, by porzucić ster akcji i przenieść się na wyższy pokład ogólnych rozważań. Koncypuje swoje powieści raczej na modłę przypowieści albo alegorii. Chętnie sytuuje je w niewiadomej, odrealnionej przestrzeni i czasie, a w zamian dekoruje szczegółami czerpanymi z zasobów własnej, przebogatej erudycji. Geografia Jüngera zna miasta i kraje takie jak Heliopolis i Eumeswil, Alta Plana, Marina, Burgenland. Historiografia Jüngera wspomina o Purpurowych Jeźdźcach, Nigromontanie, Goebbels, nazwany jest Grandgoschier, Hitler – Kniebolo, Nietzsche – Starym Kanonierem. W „Marmurowych skałach” niebagatelną rolę odgrywa magiczne zwierciadło, które spala przedmioty, a zarazem nadaje im wieczne trwanie. W „Eumeswil” bohater posługuje się „luminarem”, machiną czasu, dzięki której może uzyskać bezpośredni dostęp do materii dowolnych epok historycznych. Te przyrzady, bajeczne i wyzbyte wszelkiej agresywności, to może echo dawnego – z czasów „Robotnika” – projektu totalnego przekabacenia techniki na stronę ducha. Fantastyczna terminologia ubarwia też eseistykę Jüngera, kompensując czasem zbyt wątlą zawartość myślową. Lemury, anarcha, wniosek kombinatoryczny, fellachizacja, psychonauka – Jünger woli posługiwać się takimi mianami niż powszechnie przyjętym słownictwem. Jest w tym zapewne niechęć do formuł podsuwanych przez język nauki czy codzienności, ale też – może przede wszystkim – coś z zachowania suwerena, który w swoich włościach kaze bić własną monetę.

W Polsce czytanie Jüngera zaczęło się na dobre w latach 80. Przedtem znany był nielicznym. Adam Zagajewski wspomina o swoich lekturach:

„Czytelnik, który – tak jak autor tych słów – zaczynał nieufnie

9. E. Bieńkowska, „Ernst Jünger czyli ucieczka z historii”, *Tygodnik Powszechny*, 15 marca 1998.

studiować książki Jüngera pod koniec lat 70., musiał pokonać niejedno uprzedzenie. (...) Ja jednak ciekaw byłem autora, któremu wystawiano taką złą ocenę z moralności (...) chciałem posmakować zakazanego owocu. Zacząłem lekturę od późniejszych pism, od książek innego już Jüngera, pisarza medytacyjnego, autora, który nie wprost wprawdzie, tylko powołując się na biblijne psalmy, wyraził skruchę i wycofał się z fanatycznych pozycji pierwszej fazy swej twórczości. Pomimo to pierwsze wrażenie było bardzo ambiwalentne: wiedziałem, że mam przed sobą pisarza radykalnie innego, pisarza przychodzącego skądinąd, reprezentującego 'drugą stronę'.¹⁰

Zeszyty Literackie opublikowały obszerny esej Biętkowskiej o Jüngerze (nr 8, 1984) i fragment dzienników (nr 9, 1985). *Literatura na Świecie* poświęciła mu cały numer (9, 1986): zamieszczono tam, oprócz innych materiałów, pełny tekst powieści „Na marmurowych skałach”, przełożonej przez Wojciecha Kunickiego. W *Krytyce* (nr 30, 1988) o Jüngerze pisali Andrzej Kopacki i Marek Beylin. W. Kunicki ogłosił obszerną pracę „Rewolucja i regres. Radykalizm wczesnej twórczości Ernsta Jüngera” (Wrocław 1995) i wraz z K. Polechońskim przygotowuje wydanie książki o recepcji Jüngera w Polsce. W 1997 r. nakładem „Czytelnika” ukazało się książkowe wydanie „Marmurowych skał”, żywo omawiane w prasie i mediach. Po śmierci Jüngera w gazetach ukazały się wcale liczne artykuły. „Czytelnik” zapowiada wydanie „Awanturniczego serca”, „Subtelnych łowów” („Subtile Jagden”) i części dzienników.

Zaczynamy więc czytać Jüngera z opóźnieniem. Z drugiej strony swego rodzaju „niewczesność”, dystans wobec historycznych okoliczności wydają się nieodłącznie związane z fenomenem Jüngera. Chciał być średniowiecznym rycerzem albo człowiekiem renesansu w pierwszej wojnie, w dwudziestowiecznym *homo faber* doszukiwał się cech Tytanów, w czasie drugiej wojny chciał być stoikiem, patrzącym beznamiętnie na szaleństwo żywiołów, chciał być Linneuszem, magiem i alchemikiem, w społeczeństwie masowym chciał być arystokratą.

Jeden z bohaterów „Niebezpiecznego spotkania” uważa, że „urodził się o sto lat za późno” i zastanawia się, „czy nie

10. A. Zagajewski, „Radykalnie inny”, *Gazeta Wyborcza* 21-22 lutego 1998.

powinien przejść na islam (...), aby znaleźć równowagę między sobą a otaczającym światem”¹¹. Wyznania i historyczne epoki wydają się w takim ujęciu zniwelowane do ofert gigantycznej wypożyczalni kostiumów. Można między nimi arbitralnie wybierać, kierując się chwilowym kaprysem. Wydają się doskonale wymienne, pozbawione własnego ciężaru gatunkowego. Wybór zaś wydaje się nic nie kosztować, nie pociąga za sobą konsekwencji. Otóż w tych apetytach i rozterkach Pan Kargané wydaje się po trosze bliski samemu Jüngerowi. Bliski Jüngerowi, który chciał zachować dystans – dystans do tego, co niesie historyczny czas, do ograniczeń ludzkiej kondycji, do własnych uczuć. Szukał dla siebie miejsca i czasu poza światem.

Kto wie, czy nie stąd bierze się wrażenie pewnej pustki i sztuczności w obcowaniu z jego pisarstwem. Suwerenne spojrzenie na świat wydaje się jałowe, nie ma za sobą sankcji autentycznego przeżycia. Odczytywanie książki świata odbywa się zbyt pośpiesznie, jak gdyby lektorowi szkoda było czasu na „tę” stronę, empirycznie rozwichrzoną i różnorodną, bo pilno mu na „tamtą”, gdzie panuje niezmałowany ład. Wymiar transcendentalny okazuje się ssącą pompą, odbierającą doczesności samoistny walor. Rośliny, owady, krajobrazy – w opisach Jüngera doskonale widoczne, doskonale wyeksponowane – wydają się martwe, jak laboratoryjne preparaty. Wyszukany rytm słów zawisa w próżni.

Cóż, to wielkie pytanie: czy dusza może zachować swoją urodę z dala od miejsca i czasu, poza domem doczesności?

Małgorzata ŁUKASIEWICZ

11. E. Jünger, „Niebezpieczne spotkanie”, przeł. B. Tarnas, Warszawa 1998, s. 42-43.

FESTIWAL CZESŁAWA MIŁOSZA

Międzynarodowy Festiwal poświęcony twórczości Czesława Miłosza odbył się w dniach 23–27 kwietnia w Claremont McKenna College w południowej Kalifornii. Wzięli w nim udział poeci i krytycy z Ameryki i z Polski. Poeci: Robert Hass, poeta Laureatus USA; Seamus Heaney, laureat Nobla; Edward Hirsch; Jane Hirshfield, Steve Kowit, Philip Levine, Bronisław Maj, W.S. Merwin, Leonard Nathan, Robert Pinsky, poeta Laureatus USA, Tomas Venclova, Adam Zagajewski, Al Zolynas. Krytycy i historycy literatury: Jonathan Aaron, Jan Błoński, Bogdana Carpenter, Arista Maria Cirtautas, Aleksander Fiut, Jerzy Illg, Wojciech Karpiński, Edith Kurzweil, Medeline Levine, Richard Lourie, Adam Michnik, Jack Miles, Blanford Parker, Lilian Vallee, Helen Vendler, Andrzej Walicki.

Festiwalowi towarzyszyła wystawa książek Miłosza w różnych językach wraz z wydaniem podziemnymi w Warszawie w latach wojny, w latach PRL-u oraz w czasie stanu wojennego.

Tematy dyskusji obejmowały: Miłosz i poezja współczesna, „Zniewolony umysł”, Wygnanie w Kalifornii, Starając się zrozumieć „Świat”, Poezja i sacrum, „Pieśń niepodległa”, Zen przekładu.

Kronika gdańska

Organizatorzy obchodów millenijnych wykorzystali w pełni daną im możliwość pokazania Gdańska z całym jego bogactwem. Na podkreślenie tego niech służy 17. Zjazd Nowej Hanzы, który odbył się w Gdańsku '97. Nowa Hanza –

zrzeszenie ponad dwustu miast europejskich – powstała w roku 1980. Kontynuuje tradycję Hanzы – Związku Miast Bałtyku i Morza Północnego, który istniał od XIII do XVII wieku, a utworzony został w celu ochrony kupiectwa i handlu.

Do Gdańska zaproszono 206 miast z 16 państw Europy.

W Gdańsku w tym czasie panowały wszelkie muzy, ale na czoło wyszedł w mnogości propozycji programowych i handlowych, odbywający się w miesiącach letnich Europejski Jarmark św. Dominika.

Całość obchodów millenijnych zainaugurował w marcową Wielką Sobotę chrzest gdańszczan.

W Wielką Sobotę 997 roku czeski biskup Wojciech, podczas wyprawy misyjnej zorganizowanej przez Bolesława Chrobrego, ochrzcił liczną grupę gdańszczan – taką informację zamieścił Jan Kanapariusz w pierwszej spisanej rok później biografii Wojciecha. Z tego źródła pochodzi też pierwszy zapis nazwy Gdańsk.

W 1000. rocznicę wydarzenia uroczystego chrztu gdańszczan dokonał metropolita gdański, arcybiskup Tadeusz Gościński. Z tej też okazji chrzest poprzedziła uroczysta msza św. w Bazylice Mariackiej. Potem odbyła się parada historyczna, uroczysta sesja Rady Miasta połączona z otwarciem Dworu Artusa, wodowanie i poświęcenie Łodzi Świętowojechowej, uroczysty koncert z udziałem wybitnych solistów – m.in. Daniela Stabrawy (skrzypce) i orkiestry Państwowej Filharmonii Bałtyckiej pod batutą Zygmunta Rycherta.

Aurea Porta Rzeczypospolitej

Muzeum Narodowe w Gdańsku pod tym hasłem zorganizowało w swoich salach od maja do sierpnia 1997 wystawę poświęconą sztuce Gdańska od połowy XV do końca XVIII wieku.

Cztery stulecia związku z Koroną Polską to okres największej świetności w dziejach Gdańska. Bogactwo miasta i jego długotrwała stabilność gospodarcza spowodowały rozwój nauki, kultury i sztuki, który apogeum osiągnął na przełomie XVI i XVII wieku. Ekspozycja Aurea Porta Rzeczypospolitej przedstawiła najwybitniejsze dzieła sztuki gdańskiej, które

stanowiły niegdyś ozdobę bogatych domów mieszczańskich, budynków użyteczności publicznej, dworców, pałaców i kościołów w całym kraju. Przypomniła ona, że Gdańsk eksportował własne, znakomite wyroby artystyczne nie tylko w głąb Rzeczypospolitej, lecz również do innych krajów, że był ważnym pośrednikiem w handlu najznakomitszych mistrzów europejskich. Wystawie towarzyszył katalog dwutomowy, który zawarł nie tylko obiekty z wystawy, ale także wyniki badań nad kulturą i sztuką Gdańska.

Dzieje sztuki gdańskiej z tego okresu ujęto w dziewięć zespołów problemowych.

1. SIENĀ, która otwiera typowe dla domów gdańskich wnętrza prowadzące do dalszych pomieszczeń. Każdy bogaty dom szczycił się swoją sienią, która była często przykładem zamożności.

2. KOŚCIÓŁ MARIACKI należał zawsze do najważniejszych świątyń miasta. Zgromadzono tu obrazy, rzeźby, rękopisy, paramenty kościelne z XV w.

3. DWÓR ARTUSA przypominają rolę tego budynku w społecznym życiu miasta.

4. KATOLICYZM-PROTESTANTYZM pokazuje współegzystencję wyznaniową.

5. ARTYŚCI W SŁUŻBIE MIASTA, 6. CNOTY OBYWATELSKIE, 7. REPUBLIKA UCZONYCH, 8. DLA KRÓLA, MAGNATÓW, KOŚCIOŁA, 9. POLSKI SZLACHCIC I CUDZOZIEMIEC W GDAŃSKU.

Marpress

Oficyna Wydawnicza MARPRESS to edytor zajmujący się od początku tematyką Regionu Kaszubskiego i Gdańska. Powstała ona w marcu 1991 roku. Jak można przeczytać w katalogu 1991-1997 Oficyna ta wydała dotychczas ponad 100 książek o łącznym nakładzie 450 tysięcy egzemplarzy. Z zakresu tematyki gdańsko-pomorskiej ukazało się sporo tytułów w dwóch wersjach językowych: polskiej i niemieckiej, lub też wyłącznie w języku niemieckim.

Szczególnie ważnymi i cieszącymi się dużą poczytnością okazały się książki ukazujące się w serii jubileuszowej, zaini-

cjowanej z okazji Millenium Gdańska pod nazwą „Gdańska Kolekcja 1000-lecia”. Ukazują się w niej zarówno wspomnienia, biografie, albumy, katalogi wystaw jubileuszowych, opracowania popularno-naukowe itp.

Ja chciałbym się zatrzymać nad tytułem szczególnym, który jest propozycją otwarcia Gdańska na Europę. Książka ta „Danzig Gdańsk 1945. Wspomnienia 50 lat później”, jest kontynuacją opublikowanej wcześniej „Gdańsk-Danzig 1944. Rozmowy po pięćdziesięciu latach”.

Omawiana tutaj książka powstała we współpracy z katedrą filologii germańskiej Uniwersytetu Gdańskiego oraz ze Stowarzyszeniem dla Wspierania Pobytów Naukowych Polskich Studentów i Studentek w Niemczech (GFPS). Jak piszą autorzy tego opracowania, bo książka jest przede wszystkim zbiorem wypowiedzi Polaków i Niemców, jeszcze w pierwszych miesiącach roku 1945 Gdańsk należy do Niemiec i zamieszkuje go ponad 90% Niemców. Jak piszą ci sami autorzy był to trudny rok w dziejach miasta, bo z jednej strony część jego mieszkańców, głównie Niemców, opuszcza to miasto, a nowa grupa napływowa zajmuje domy i mieszkania wkraczając w nową Polskę. Losy i przeżycia tych ludzi były niejednakowe, stąd też ich relacje z wydarzeń roku 1945 w Gdańsku są odmienne.

To książka, którą warto przeczytać, dlatego też w imieniu dyrektora MARPRESSU p. Władysława Kaweckiego przesyłam ją do zasobów Biblioteki KULTURY Jerzego Giedroycia. Myślę też, że uda mi się także pozostałe tytuły z serii „Gdańska Kolekcja 1000-lecia” dostarczyć do Maisons-Laffitte.

W kontekście omawianej książki, chciałem podzielić się taką refleksją, że została nam ludzka pamięć, nawet ułomna, ale chyba już tylko jedyna, której można zaufać, dlatego spotkajmy się z tą pamięcią.

Słowo/obraz terytoria i Sławomir Mrożek

Wydawnictwo słowo/obraz terytoria to oficyna, której rodowód jest także silnie związany z Gdańskiem, choćby przez jego współtwórcę pisarza i krytyka Stanisława Rośka,

którego uzupełniają p. Maria Smoleń i p. Leszek Brogowski. Wydawnictwo to wyrosło z powołanej wcześniej oficyny słowo/obraz, która miała w swoich publikacjach odnaleźć jedność między wizją i słowem. Ale to wydawało się niewystarczające, dlatego poszerzono jego program wydawniczy o inne problemy, stąd człon „terytoria”.

Książki tej oficyny należą do wyróżniających się nie tylko zawartością ale także szatą zewnętrzną, co sprawiło, że już kilkakrotnie Janusz Górski za projekty graficzne otrzymywał głośne wyróżnienie PUNKTY „gazety książki”.

Jednak chciałbym się teraz głównie zająć pomysłem na miarę XXI wieku, czyli cyklem wydawniczym „Rysunki (wszystkie)” Sławomira Mrożka. Będzie to wydanie pełne (obok rysunków uwzględnij też ilustracje) i zarazem krytyczne, co oznacza w tym wypadku, że znajdzie się w nim komentarz lokalizujący poszczególne prace w czasie i przestrzeni czasopiśmienniczej, odnotowujące ewentualne wersje i warianty, a także przedruki, uwzględniające w pewnej mierze odgłosy i reakcje odbiorców. Rysunki (wszystkie) zbiorą i zinventaryzują rozproszony i w niemałej części zapomniany dorobek Mrożka-rysownika. Całość edycji składała się będzie z sześciu części:

- 1) „Od służby postępowi do *Postępowca* (1950-1959)”
- 2) „Polska w obrazach” i inne polskie cykle (1957-1958)”
- 3) „Ucieczka na południe (1959)”
- 4) „Przez okulary (1960-1968)”
- 5) „Epoka Szpilek (1974-1982)”
- 6) „Lata ostatnie (1989-1996)”

Z uwagi na podjętą szeroko kampanię reklamową i promocyjną przez wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Sławomir Mrożek zjawił się pod koniec 1997 roku na cykl spotkań z czytelnikami w Gdańsku, przedstawiając pierwszy tom „Rysunki (wszystkie)” – „Od służby postępowi do *Postępowca*”, a także tom „Rysunki wybrane”. Była to wizyta ważna i bardzo mocno eksponująca wysiłek tej młodej Oficyny. Dyskusje z czytelnikami były różne, najczęściej udowadniały, że niewiele wiemy o tym co ostatnio robi i nad czym pracuje Mrożek, ale wyrażano często bardzo śmiało sugestie. O samej wizycie i dyskusji warto by jeszcze kiedyś napisać. Natomiast oficynie słowo/obraz terytoria poza podjętymi

przez nią licznymi cyklami wydawniczymi z tzw. pogranicza nauki i kultury, a także głęboko wchodzącymi w problematykę filozoficzną, literaturoznawczą, eseistyczną, należy życzyć czytelnika także nad Sekwaną.

Warto na koniec wspomnieć, że książka Stanisława Rośka „Zwłoki Mickiewicza” otrzymała Nagrodę „Gdańska Książka Roku 1997”.

Klub „Żak”

Kiedy w dniu 15 grudnia 1956 roku dawna rezydencja Wysokiego Komisarza Ligi Narodów została przydzielona studentom Wybrzeża, wiadomo było, że właśnie tutaj rozpocznie się prawdziwy ferment twórczy, częściowo spowodowany panującą wówczas odwilżą. Kiedy ta rezydencja przyjęła nazwę – Klub Studentów Wybrzeża „Żak”, wiedzieliśmy, że niebawem tutaj zrodzi się obecna potem przez wiele lat atmosfera niezależności, zarówno w działaniach różnych teatrzyków, zespołów, agend twórczych jak i myślenia, które było zaczątkiem demokracji i pluralizmu młodego pokolenia Gdańska, a może nawet Polski. To tutaj można było spotkać młodych inżynierów i działaczy ze Stoczni Gdańskiej, wreszcie ludzi związanych z opozycją, jak choćby Mariusz Wilk, czy całej plejady przyszłych twórców kształtu polityczno-kulturalnego Polski, którzy do dzisiaj spotykają się na Zjazdach Pokoleń w „Żaku”.

Wymienić należałoby teraz dziesiątki różnych zespołów artystycznych, które tworzyły „Żak” przez ostatnie 40 lat oraz setki nazwisk mniej lub bardziej ważnych z przyszłymi ambasadorami, a nawet prezydentem. Jednak trzeba upaść na kolana przed nazwiskami symbolami, takimi jak – Zbigniew Cybulski, Bogumił Kobiela, Jacek Fedorowicz, Tadeusz Chyła, lub Jarosławy Józwiakowskiej, czy aktualnego rektora ASP w Gdańsku Jerzego Krechowicza. Oczywiście ten, kto choćby raz zetknął się z magicznym „Żakiem”, nie może zapomnieć takich legendarnych teatrzyków jak: „Bim-Bom”, Cyrk Rodziny Afanasjef, „To-Tu”, „Galeria” – znanych nie tylko w Polsce, ale także w wielu rejonach Europy i świata, a to tylko cząstka działających wtedy zespołów, bo były

jeszcze znane nazwiska w muzyce jazzowej jak – Włodzimierz Nahorny, Jerzy Sapiejewski, Ryszard Kruza, Stanisław Cieślak, Niebiesko-Czarni, no i słynny Czesław Niemen, który śpiewał także w kabarecie „To-Tu”.

Jednak dla wielu, którzy nie szperają zbyt głęboko w pamięci, może być niespodzianką fakt, że trwający do dzisiaj Dyskusyjny Klub Filmowy rozpoczynał swoją działalność w kinie „Zetempowiec” we Wrzeszczu (dzisiaj kino „Znicz”), gdzie pierwszą prelekcję do filmu „Cud w Mediolanie” wygłaszał Zbyszek Cybulski, a porządku pilnował i prowadził dyskusję Bogumił Kobiela. Zresztą DKF ten prowadzony od początku przez maga kina Lucjana Bokińca był prawdziwą szkołą kina dla wielu w Polsce.

Podobnie Konkurs Poetycki „Czerwonej Róży”, który już trwa 40 lat, to prawdziwa historia literatury polskiej, bo nagradzani byli m.in.: Zbigniew Herbert, Stanisław Grochowiak, Tadeusz Śliwiak i wielu innych, na czele z Zagajewskim. Ale odchodzi POKOLENIE KATARYNIARZY w cień.

W roku 1997 odszedł ten, który zbudował to pokolenie, człowiek legenda, Andrzej Cybulski. Był jednym z założycieli i kierowników teatru „Bim-Bom”, twórcą i wieloletnim prezesem „Żaka”, animatorem wielu akcji kulturalnych, m.in. Ogólnopolskich Festiwali Młodych Muzyków, Kongresu Wizjonerów, Kongresu Siłaczek i Judymów, festiwali jazzowych, juwenaliów. Inicjator ogólnopolskich nagród literackich „Czerwonej Róży”. „Skuzyniony” przez „Żaka” z wybitnymi przedstawicielami życia artystycznego w Polsce. To właśnie jego książka zatytułowana „Pokolenie Kataryniarzy”, która była zapiskami z 10-lecia Klubu Studentów Wybrzeża „Żak”, dała później nazwę tej formacji pokoleniowej.

On był ostatnim, który odszedł, ale wcześniej czas zamknął się dla wielu, ze Zbyszkiem Cybulskim, który do końca pozostanie uosobieniem tamtej niezależności myślenia i odwagi twórczej.

Niestety, podobny los spotkał słynny pałacyk „Żaka”, który powoli zajmują różne instytucje miejskie z Radą Miasta Gdańska na czele.

Ale studenci poza wieloma protestami, które jednak z góry były skazane na niepowodzenie, postanowili powołać

Fundację „Czerwonej Róży”, która miałaby być zabezpieczeniem ciągłości funkcjonowania tego Klubu-legandy. Jak zapewniał mnie dr Adam Pawlak, jeden z inicjatorów tej idei, „Żak” może liczyć na nowy lokal, mieszczący się w piwnicach gdańskiej ZBROJOWNI, której właścicielem jest Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku. Popiera tę ideę rektor ASP prof. Jerzy Krechowicz, żakowiec od urodzenia.

Eugeniusz KUPPER

Dar polskiego króla dla gabinetu przyrodniczego Ludwika XVI

Zbiory przyrodniczego gabinetu króla Francji dały początek bogatej kolekcji Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu. Już w osiemnastym wieku, królewski gabinet uznawany był za wyjątkowy i wzbudzał zainteresowanie w całej Europie. Georges Leclerc de Buffon, wielki francuski uczonec, a zarazem zarządca Cabinet du Roi i Jardin des Plantes, uznawany jest przez historyków za faktycznego twórcę królewskich zbiorów przyrodniczych.

Buffon wykorzystał sławę jaką cieszył się w całej oświeceniowej Europie dla powiększenia kolekcji. Zwrócił się bowiem do monarchów aby przesłali do Paryża okazy przyrodnicze charakterystyczne dla krajów przez nich rządzonych. Wkrótce na apel Buffona odpowiedzieli królowie Danii, Prus, Szwecji i caryca Katarzyna. Za szczególnie cenną z naukowego punktu widzenia uznano kolekcję ofiarowaną przez ostatniego polskiego króla. Wszystkie dziewiętnastowieczne przewodniki po muzeum wspominają „zbiór geologiczny o ogromnym znaczeniu naukowym, подарowany Buffonowi przez polskiego króla”. Jego znaczenie porównywano do

zbiorów przywiezionych przez pierwsze francuskie wyprawy z Ameryki Południowej czy też do okazów zdobytych dzięki wysiłkom dyplomatów i misjonarzy na Dalekim Wschodzie.

Zbiory podarowane przez europejskich monarchów nie zostały niestety zachowane jako odrębne kolekcje, a sposób ich klasyfikowania, a także wymiany przyczyniły się do ich częściowego rozproszenia. Co dzisiaj wiadomo o kolekcji podarowanej przez Stanisława Augusta Poniatowskiego? Pomimo jakże licznych zachwyty i nieomal obowiązkowego wymieniania królewskiego daru przez praktycznie wszystkich, jakże licznych historyków badających paryskie zbiory, nie został opublikowany żaden opis wspomnianych okazów. Kolekcja dotarła do Paryża wkrótce przed śmiercią Buffona i w związku z tym brak informacji o niej w pozostawionej przez niego korespondencji. W zbiorach dokumentów będących pozostałością po Jardin des Plantes, przechowywanych aktualnie w Archiwum Narodowym, zachował się na szczęście dokładny opis nadesłanych okazów. Dokument ten został sporządzony w trzech egzemplarzach przez przygotowującego przesyłkę pana O. Kraszewskiego, inspektora Gabinetu Historii Naturalnej polskiego króla.

Wspomniany dokument jak i okazy minerałów przesłane z Rzeczypospolitej do Francji, a znajdujące się nadal w zbiorach Galerii Mineralogicznej Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu, posiadają ogromne znaczenie dla historii polskiej nauki. Są one przecież jednym z ostatnich, jeśli nie ostatnim świadectwem istnienia bogatych zbiorów przyrodniczych będących własnością Stanisława Augusta Poniatowskiego. Królewskie zbiory są znane jedynie bardzo fragmentarycznie, dzięki pracom Jana Filipa Carosiego, włoskiego przyrodnika związanego z Rzeczypospolitą. Zbiór minerałów wybranych jako reprezentacyjne dla naszego kraju (lub choćby ich opis) stanowi unikalne źródło wiedzy o historii polskich kolekcji i rozwoju nauk przyrodniczych w dawnej Rzeczypospolitej.

Kilkadziesiąt prób geologicznych podarowanych kolekcji Ludwika XVI było także (i jest nadal) cennym źródłem informacji o aktywności gospodarczej Rzeczypospolitej. Wśród nadesłanych okazów znajdowały się bursztyny eksploatowane na Mazowszu, miedź wydobywana w Miedzianej Górze, węgiel kamienny ze Śląska, rudy żelaza przetwarzane na Litwie,

kamienie szlifierskie i budowlane, glina stosowana do produkcji fajansu, piryty używane do wytwarzania skałek dla karabinów królewskiej armii, kamienie półszlachetne i sól z solanek, woda z leczniczych źródeł, siarka i metale jak srebro czy ołów i wiele innych. Kuratorzy królewskiej kolekcji dokonując wyboru okazów kierowali się zapewne zarówno ich naukową wartością (jak w przypadku okazów paleontologicznych czy niektórych minerałów) jak i chęcią ukazania zgodnie z życzeniem Buffona bogactw ziem Rzeczypospolitej.

Przeglądając dokumenty dotyczące darów nadsyłanych do Paryża nasuwa się jeszcze jedna refleksja. Zbiór nadesłany przez polskiego króla jakże jest różny od zbioru podarowanego przez carycę. Nie ma w nim kolekcji złota, medali i klejnotów. Bałwochwalcza korespondencja Buffona i carycy stały się zresztą przedmiotem żartów liberalnej francuskiej prasy. Polscy przyrodnicy nie usiłowali przekonać francuskich uczonych „o starożytności ich królestwa”. Przygotowany przez nich zbiór wzbudził szacunek ludzi nauki i jego wartość miała głównie charakter poznawczy.

Dzięki darowi Stanisława Augusta Poniatowskiego Rzeczypospolita u schyłku istnienia zaznaczyła swoją obecność w miejscu wyjątkowym. W najstarszej specjalistycznej kolekcji przyrodniczej świata, w Galerii gdzie pracowali twórcy nowoczesnego europejskiego przyrodoznawstwa i w miejscu gdzie po raz pierwszy dopuszczono kobiety do uczestniczenia w naukowych wykładach i pokazach. Przez cały wiek dziewiętnasty trwała wśród francuskich przyrodników pamięć o darze polskiego króla i bogactwie Rzeczypospolitej. Historia rzadko pozwalała Polsce odgrywać rolę mecenasa europejskich badań naukowych. Tym ważniejsze jest więc zachowanie pamięci o kolekcji. W Muzeum trwają zakrojone na wiele lat prace nad waloryzacją kolekcji m.in. mineralogicznych. Bez najmniejszego cienia wątpliwości inicjatywa ze strony polskiej administracji lub przedstawicieli polskiej nauki spotkałaby się z życzliwym zrozumieniem i dar Stanisława Augusta Poniatowskiego mógłby zostać przynajmniej częściowo uwzględniony w planach ekspozycyjnych muzealnych zbiorów.

Piotr DASZKIEWICZ

VII WSCHODNIA SZKOŁA LETNIA STUDIUM EUROPY WSCHODNIEJ

1-31 lipca 1998

Warszawa – Wilno – Toruń

WARSZAWA (1-7 VII)

Bronisław GEREMEK – minister spraw zagranicznych RP (Warszawa): **Polska polityka zagraniczna i nowe wyzwania geopolityki (wykład inauguracyjny).**

John S. MICGIEL – historyk, Columbia University (Nowy Jork, USA): **Od fantazji do faktów: Europa Środkowa a NATO.**

Janusz REITER – politolog, Centrum Stosunków Międzynarodowych (Warszawa): **Polska – Niemcy – Rosja. Historia, geografia i polityka.**

John S. MICGIEL – historyk, Columbia University (Nowy Jork, USA): **Mechanizmy powstawania polityki Stanów Zjednoczonych wobec Europy Środkowej.**

Michael RYWKIN – politolog, City College of New York (Nowy Jork, USA): **Rosja i Zachód – kluczowe miejsca sporu.**

WARSZAWA (20-31 VII)

Tadeusz ŚWIĘTOCHOWSKI – orientalista, Monmouth College (USA): **Państwa i narody Zakaukazia w XX wieku (ruchy narodowe – geopolityka – konflikty).**

Michael RYWKIN – politolog, City College of New York (Nowy Jork, USA): **Polityka rosyjska w Azji Środkowej. Historia i współczesność.**

Marek ŚLIWIŃSKI – politolog, Université de Genève (Szwajcaria): **Blok komunistyczny – od apogeum do upadku.**

Andrzej ANANICZ – wiceminister spraw zagranicznych RP (Warszawa): **Polska polityka zagraniczna w polityce europejskiej.**

Jadwiga STANISZKIS – politolog, Polska Akademia Nauk

(Warszawa): **Antropologia postkomunizmu. Analiza porównawcza porządku postkomunistycznego.**

Stanisław ALEXANDROWICZ – historyk, Uniwersytet Mikołaja Kopernika (Toruń): **Geografia polityczna Europy Wschodniej XVI-XVIII w.**

Antoni PODRAZA – historyk, Uniwersytet Jagielloński (Kraków): **Granice Europy i granice w Europie.**

Norman DAVIES – historyk, Oxford University (Wielka Brytania): **Europa: centrum i peryferie.**

Norman DAVIES – historyk, Oxford University (Wielka Brytania): **Europa (wykład zamykający).**

Ponadto wizyty w instytucjach, archiwach, bibliotekach oraz objazd naukowy: **Warszawa.** Objazd poprowadzi: **Tadeusz JAROSZEWSKI** – historyk sztuki, Uniwersytet Warszawski (Polska).

WILNO (8-14 VII)

Aleksander GIEYSZTOR – historyk, Uniwersytet Warszawski (Warszawa): **Z Korony do Wielkiego Księstwa: przestrzeń i ludzie.**

Daniel BEAUVOIS – historyk, Université Sorbonne (Paryż, Francja): **Lokalność czy europejskość? Adam Mickiewicz przed opuszczeniem Wilna (wykład inauguracyjny).**

Mieczysław JACKIEWICZ – historyk literatury (Olsztyn – Wilno): **Mickiewicz – twórca kultury pogranicza.**

Algis KALEDA – filolog, polonista, Uniwersytet Wileński (Wilno, Litwa): **Topos „Litwy – ojczyzny” w literaturze XIX wieku.**

Alfredas BUMBLAUSKAS – historyk, Uniwersytet Wileński (Wilno, Litwa): **Dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego i dawnej Rzeczypospolitej w historiografii polskiej i litewskiej.**

Juliusz BARDACH – historyk, Uniwersytet Warszawski (Warszawa, Polska): **Wieloszczeblowa świadomość narodowa (Wielkie Księstwo Litewskie).**

Marek ŚLIWIŃSKI – politolog, Université de Genève (Szwajcaria): **Konfliktowa teoria formowania świadomości narodowej w Europie Wschodniej XIX-XX w. (Polacy –**

Litwini – Białorusini – Ukraińcy).

John S. MICGIEL – historyk, Columbia University (Nowy Jork, USA): **Polityka amerykańska w stosunku do krajów bałtyckich.**

Michael RYWKIN – politolog, City College of New York (Nowy Jork, USA): **Rosja i Związek Sowiecki a kraje bałtyckie.**

Okrągły stół: *Rozmowy wileńskie w końcu XX wieku.*

Objazd naukowy: *Kowno i zamki Żmudzi*

TORUŃ (16-18 VII)

Aleksander GIEYSZTOR – historyk, Uniwersytet Warszawski (Warszawa): **Z Wielkiego Księstwa do Korony: przeszerzeń i ludzie.**

Marian BISKUP – historyk, Polska Akademia Nauk (Toruń): **Krzyżacy a Europa Wschodnia (wykład inauguracyjny).**

Wojciech FAŁKOWSKI – sekretarz generalny UNESCO, Polska (Warszawa): **Ideowe podstawy monarchii Jagiellonów.**

Antoni CZACHAROWSKI – historyk, Uniwersytet Mikołaja Kopernika (Toruń): **Polskie miasta średniowieczne (rozwój – kartografia – badania).**

Sławomir KALEMBKA – historyk, Uniwersytet Mikołaja Kopernika (Toruń): **Problem ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej w polskiej świadomości politycznej XIX-XX w.**

Objazd naukowy: *Toruń średniowieczny.*

WARUNKI UCZESTNICTWA:

1. Szkoła przeznaczona jest szczególnie dla słuchaczy z Litwy i innych państw bałtyckich, Białorusi, Ukrainy, Rosji, krajów Europy Środkowej, ale także Europy Zachodniej i Ameryki.

2. Uczestnikami Szkoły mogą być wyłącznie absolwenci studiów wyższych, prowadzący własne badania naukowe, którzy nie przekroczyli 39. roku życia.

3. Od słuchaczy wymaga się znajomości obu języków wykładowych Szkoły: polskiego i angielskiego, obu w stopniu

pozwalającym na rozumienie i korzystanie z wykładów.

4. Koszt uczestnictwa w całym programie wynosi \$ 1200 (lub równowartość w zł) od osoby.

5. Słuchacze, którzy wypełnią wszystkie przepisane programem wymagania Szkoły otrzymają „Dyplom Wschodniej Szkoły Letniej”.

STYPENDIA

1. Kandydaci z Europy Środkowej i Wschodniej mogą ubiegać się o stypendium na pokrycie całości kosztów pobytu (hotel, wyżywienie, wykłady, objazdy naukowe, sesje wyjazdowe).

2. Kwota stypendium nie obejmuje kosztów podróży.

UNIwersytet warszawski – Instytut orientalistyczny, Krakowskie Przedmieście 26/28,
00927 Warszawa 64, Tel.-Fax (48 22) 828 53 69

Jan MALICKI

Kierownik

Wschodniej Szkoły Letniej

POMOC DLA BIBLIOTEKI POLSKIEJ W LONDYNIE

Apelujemy do wszystkich Polaków, firm polskich, właścicieli przedsiębiorstw, Kół i Stowarzyszeń Polskich, Fundacji i organizacji społecznych o pomoc finansową dla BIBLIOTEKI POLSKIEJ w Londynie poprzez:

1. Zostanie CZŁONKIEM WIECZYSTYM Biblioteki Polskiej wpłacając jednorazowo £ 100. Nazwiska członków wieczystych są wpisane w Złotej Księdze Biblioteki oraz wywieszane na specjalnej tablicy w korytarzu bibliotecznym.

2. Podpisanie konwentu na rzecz Biblioteki Polskiej.

3. Wpłacanie stałej, rocznej (lub jednorazowej) subwencji na określoną działalność biblioteczną jak: prace bibliograficzne, zakup książek, utrzymanie sieci komputerowej, prenumeratę czasopism, wydawanie publikacji Biblioteki itd.

4. Zrobienie zapisu testamentowego lub wpłacenie daru na FUNDACJĘ PRZYSZŁOŚCI POSK-u z zaznaczeniem „na utrzymanie Biblioteki”. Na dłuższą metę jest to najpewniejsza

forma zabezpieczenia dalszego istnienia Biblioteki. Przypominamy, że kwoty podarowane przez firmy lub od ludzi biznesu na Bibliotece, mogą być odjęte od podatku w zeznaniu podatkowym.

Kolejnym zastrzykiem finansowym dla Biblioteki, a przeznaczonym głównie na zakup nowych książek, jest dochód z usług świadczonych przez Centralę Bibliotek Ruchomych. Dostarcza ona najnowsze polskie książki do brytyjskich bibliotek publicznych na terenie całej W. Brytanii, które wyraziły chęć posiadania „polskiego kącika”. Całkowity koszt tych usług pokrywany jest przez brytyjskie biblioteki, a więc bez uszczerbku dla polskiego czytelnika. Namawiamy więc gorąco do jak najlichnieszego korzystania z tych możliwości i domagania się polskich książek od kierownictwa swojej lokalnej *Public Library*.

PS. Czeki prosimy wystawiać na „The Polish Library”;

Wszelkie zapytania prosimy kierować na adres:
Biblioteka Polska, POSK,
236-240 King Street, London W6 ORF,
Tel. 0181-741 0474

Notatki Redaktora

Z przemówienia Marszałka Piłsudskiego
26 maja 1926 do przedstawicieli sejmowych:

Głównymi powodami obecnego stanu rzeczy w Polsce – to jest nędzy, słabizny wewnętrznej i zewnętrznej – były złodziejstwa, pozostające bezkarnie. Ponad wszystkim w Polsce zapanował interes jednostki i partii, zapanowała bezkarność za wszelkie nadużycia i zbrodnie.

W odrodzonym państwie nie nastąpiło odrodzenie duszy narodu. Gdy wróciłem z Magdeburga i posiadałem władzę, jakiej nikt w Polsce nie piastował, wierząc w odrodzenie narodu, nie chciałem rządzić batem i oddałem władzę w ręce zwołanego przez siebie Sejmu Ustawodawczego, którego wszak mogłem nie zwoływać. Naród się jednak nie odrodził. Szuje i łajdaki rozpanoszyły się. Naród odrodził się w jednej tylko dziedzinie, w dziedzinie walki orężnej, tzn. pod względem odwagi osobistej i ofiarności względem państwa w czasie walki. Dzięki temu mogłem doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca. We wszystkich innych dziedzinach odrodzenia nie znalazłem. Ustawiczne waśnie personalne i partyjne, jakieś dziwne rozpanoszenie się brudu i jakiejś beczelnej, łajdackiej przewagi sprzedajnego nieraz elementu.

Rozwielmożniło się w Polsce znikczemnienie ludzi. Swobody demokratyczne zostały nadużyte tak, że można było znienawidzić całą demokrację. Interes partyjny przeważał ponad wszystko. Partie w Polsce rozmnożyły się tak licznie, że stały się niezrozumiałe dla ogółu. To wszystko skierowane było przeciw każdemu, kto reprezentował państwo.

Z okazji rocznicy odzyskania niepodległości, 22-go

lutego Ambasada Estońska w Warszawie zorganizowała uroczysty obchód tego Święta w samej Ambasadzie. Następnego dnia miało miejsce przyjęcie w hotelu Marriott, potem zaś Towarzystwo Polsko-Estońskie zorganizowało akademię. Mimo rozesłanych zaproszeń, na te uroczystości nie przyszedł nikt z władz, parlamentu, czy instytucji naukowych i kulturalnych. Arogancja i głupota.

W połowie stycznia br. Stolica Apostolska udostępniła tajne do tej pory archiwa Świętego Oficjum oraz bibliotekę druków, które trafiły na indeks – łącznie ok. 4.500 tomów, dokumentów i druków zdeponowanych w 27 salach. Wiele krajów już teraz powołało specjalne komisje i zespoły uczonych do przebadania zachowanych w Watykanie zbiorów.

Jak już podawałem w moich „Notatkach” w numerze wrześnieowym 1997, archiwa o. Innocentego Marii Bocheńskiego decyzją polskiego prowincjała zakonu dominikanów zostały zamknięte dla badań naukowych na 50 lat. Ponieważ niedawno prowincjałem polskich dominikanów został o. Maciej Zięba, jest pytanie, czy wzorem Watykanu otworzy on wreszcie archiwa o. Bocheńskiego? To pytanie jest uzasadnione, gdyż o. Maciej Zięba bardzo gwałtownie atakował dorobek o. Bocheńskiego po jego śmierci (vide *Głos Niedzielnny, Tygodnik Powszechny*).

Od kilku lat bezskutecznie alarmuję w sprawie ratowania Puszczy Białowieskiej. Bezskutecznie, gdyż przeszkodą są interesy partykularne, bezmyślna biurokracja, niekompetencje kolejnych ministerstw. Nadal postępuje wyrąb stuletnich drzew, zanik unikalnych okazów flory i fauny. Jeszcze chwila a Puszcza zamieni się w fabrykę desek. Jedyным rozwiązaniem jest aby premier ogłosił cały obszar Puszczy parkiem narodowym i rozpoczął rokowania z Białorusią dla ustalenia wspólnej gospodarki tym terenem.

Gospodarka Warszawy od dawna wzbudza zastrzeżenia. W swoim czasie sugerowałem wprowadzenie w Warszawie zarządu komisarycznego, który uporządkowałby tę stajnię Augiasza. Niektórzy mówiąc o Warszawie twierdzą, że nie jest to miasto, ale zlepek wielu gmin, które rządzą się w swoim zakresie. Ciągłe wypływają nowe afery. Np. taki pomysł aby znany piosenkarz Michael Jackson wybudował park rozrywkowy. Od dziesięciu miesięcy są w tej sprawie pertraktacje z wojskiem aby ten park ulokować na nieczynnym lotnisku wojskowym Bemowo, położonym w środku stolicy. W ferworze dyskusji na ten temat nie wzięto pod uwagę sprawy komunikacji: w razie powstania tego parku byłaby to absolutna katastrofa dla miasta. Zresztą cała ta sprawa coraz bardziej wygląda na aferę. Jacksona reprezentuje niejaki p. Tourel, człowiek, na którym ciążyą prawomocne wyroki za niezapłacone długi wobec skarbu państwa. Tourel rezyduje w swoim biurze w Pałacu Kultury konferując ze wszystkimi osobistościami od wicepremiera Tomaszewskiego, do prymasa Glempa. Jednocześnie unika on prasy – odmówił odpowiedzi na kwestionariusz *Rzeczpospolitej*. W Polsce jest jakaś niezdrowa skłonność do kontaktów z „niebieskimi ptakami”: od pobytu Casanovy w Warszawie za czasów króla Stanisława Augusta do Jacksona za prezydenta Kwaśniewskiego.

Nie są to bynajmniej wszystkie pretensje do p. Świącickiego: „prywatyzacje”, komunikacja miejska (mosty, metro), wysypiska śmieci, no i nazewnictwo... Nie ma np. nigdzie ulicy Kazimierza Pużaka, jednej z piękniejszych postaci naszej współczesnej historii. Nie jest to zresztą spowodowane zdrową niechęcią do lewicy, bo nadal kwitną ulice im. Gwardii Ludowej itp.; w nadmiarze jest honorowany Roman Dmowski, a pomijany Marszałek Piłsudski (oprócz licznych, ale brzydkich pomników) itp., itd. Niestety, obawiam się, że reforma, tj. zarząd komisaryczny jest nierealny ze względu na decydujące układy personalne i partyjne. Aż będzie za późno: Warszawa zostanie najbrzydszym miastem środkowo-wschodniej Europy.

REDAKTOR

Książki

Autentyści w poezji

Książka pt. „Światopogląd poetów ziemi”^{*} jest pracą doktorską Kazimierza Świegockiego, który miał doskonałe kwalifikacje, by omówić mało znaną grupę poetycką autentystów. Dzięki swemu chłopskiemu pochodzeniu zna dobrze środowisko, z którego wyszli prawie wszyscy autentyści i sam, jako poeta tworzy bliską mu poezję wsi, choć jego intelektualne podłoże jest szersze, sięgając do Biblii, greckiego antyku i prekursorów egzystencjalizmu, takich jak Pascal i Kirkegaard, żeby wymienić kilka źródeł dla przykładu. W rezultacie powstała wartościowa praca, poświęcona „niemal w całości problematyce światopoglądowej autentyzmu”, który powstał w połowie lat trzydziestych z inspiracji poety Stanisława Czernika.

Światopoglądowi autentyzmu poświęcono najmniej uwagi w książkach o tym ruchu. A światopogląd ten był właśnie podstawowym elementem teorii i praktyki poetyckiej grupy młodych poetów pochodzenia chłopskiego, skupionych wokół *Okolicy Poetów*, organu autentystów w Ostrzeszowie Wielkopolskim i łączył ich bez względu na różne poglądy polityczne i miejsca zamieszkania. Był to światopogląd synów ziemi, która dla nich była święta. Ziemia-Matka, gdzie się urodzili i która ich znowu przygarnie, gdy umrą i staną się na nowo jej częścią. „Ziemia odślania nam odwieczną mądrość świata, jego sens i wartość” – mówi Kazimierz Świegocki. Prawa natury, rytm przyrody, odradzanie się zieleni na wiosnę, co przypomina zmartwychwstanie, niekoniecznie w chrześcijańskim rozumieniu tego pojęcia. Tradycja i obyczaje,

* Kazimierz Świegocki: „Światopogląd poetów ziemi”. Wyd. Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna, Siedlce 1996.

sięgające wstecz wieków, oznaczały dla nich ład świata. Stabilność, poczucie bezpieczeństwa. Kultura chłopska, gdzie – według nich – ludzie mają nieskalane ręce i dusze anielskie, rodzi mistycyzm, którego trzeba bronić, a jeżeli nie można, bo cywilizacja techniczna pędzi niepowstrzymanie, trzeba chociaż to co było utrwalić w poezji, w prozie, pracach naukowych, w publicystyce.

W Polsce przed 1939 rokiem chłopci stanowili 70% obywateli. Mimo tego prawie do końca XIX wieku pisarzy i poetów pochodzenia chłopskiego prawie nie było, z małymi wyjątkami, które tylko potwierdzają regułę.

W połowie lat trzydziestych sytuacja zmieniła się. Zaczęło dorastać pokolenie inteligentów chłopskiego pochodzenia, które zdobyło, bądź dopiero zdobywało, wyższe wykształcenie w niepodległej Polsce, a wśród nich znaleźli się ludzie obdarzeni talentem poetyckim. Mieli świadomość własnej wartości, wiedzieli, że mogą wzbogacić literaturę przeżyciami i doświadczeniami. Nie chodziło im o folklor, który zawsze istniał w literaturze polskiej w postaci ornamentu lub tła wydarzeń. Odrzucili kulturę śródziemnomorską, jaką się z upodobaniem zajmowały wyższe sfery poetyckie, wrócili do rdzennie polskich źródeł (do nich ograniczał się autentyzm w początkowej fazie rozwoju), do prapolskiej kultury, która jeszcze tylko na wsi pozostawiła swój ślad. I w niej szukali swego rodowodu i z niej wzięli tę – wysmianą przeważnie przez ówczesną krytykę – „legitymację wewnętrzną” do poszukiwania „prawdy artystycznej w ścisłym związku z poszukiwaniem prawdy życiowej”. I właśnie Stanisław Czernik rzucił hasło „światopoglądu powstającego”, który z czasem rozwinął się w wymiar już nie tylko polski, lecz globalny, co nam szczegółowo i naukowo wyjaśnił Kazimierz Świegocki. Początkowe skoncentrowanie się na chłopskiej kulturze, niejako automatycznie, a jednak świadomie, nastawiło ich antyurbanistycznie i antycywilizacyjnie.

Budowali swój piękny mit, nie sielski, ale bywało – że anielski. Ich determinację w forsowaniu swoich najgłębszych przekonań i uformowanych artystycznie przeżyć, ich moralność, ich światopogląd trzeba utrwalić, gdyż – bądź co bądź mimo tylu przeszkód i niepowodzeń (finansowych, czy też ze strony krytyki literackiej i in.) stworzyli własny kierunek poetycki, tenże autentyzm, nie pisany na wodzie, lecz z własną doktryną, który jest już faktem historyczno-literackim.

Prawdziwa nagonka na autentystów rozpoczęła się na dobre po wojnie. Przed wojną nie chcieli się angażować w

sprawy społeczno-polityczne, co im się częściowo udało. Po roku 1945 taka postawa u poety czy pisarza była już w kraju nie do pomyślenia. Mit chłopca twardego osiadłego na ojcowiznie, a z drugiej strony mistycznie niemal związanego z Matką-Ziemią, gdzie chłopska zagroda stała się jedyną może ostoją ludowych tradycji, obyczajów i wierzeń, a zatem niezależnego bytu, był wręcz odwrotnością zamierzonej początkowo masowej kolektywizacji, która na szczęście nie wypaliła. Lecz wieś, przedtem nadwyrężona okupacją, zaczęła się rozpadać. Gwałtowna, a często nie do pomyślenia, industrializacja wyciągała chłopca z chałupy i odciągała od ziemi pokusą łatwiejszych zarobków w mieście. Sojusz robotniczo-chłopski obiecywał awans społeczny. W końcowym efekcie chłop, przedtem na zagrodzie, stawał się robotnikiem, czyli taki sojusz stawał się robotniczo-robotniczy. Nie było miejsca, ani odgórnego zezwolenia, na idealizowanie chłopca. Autentyści nie popełnili zbrodni, lecz dosięgła ich kara. Autentyzm usunięto z podręczników, z antologii, z historii literatury na prawie 30 lat, nazwiska niektórych poetów tego nurtu pomijano, lub wręcz przemilczano latami.

Jan Bolesław Ożóg, którego twórczości (obok Stanisława Czernika) omawiana książka jest w dużej mierze poświęcona, jakimś cudem do końca życia wytrwał na posterunku. I walczył jak lew o ukochany autentyzm. Wprowadził do autentyzmu Freuda, Junga i Adlera. Psychoanalizę i psychologię głębi. Trochę może na siłę, po to, aby autentyzm podeprzeć znanymi autorytetami zagranicznymi, żeby odciągnąć uwagę cenzury. Bo nawet dostał parę nagród za swoją twórczość poetycką, której jednak nie nazwano autentystyczną, tak jak i jego nie nazwano autentystą. Nagrodzono go za lirykę i opowiadania związane z pejzażem i życiem wsi polskiej.

Kazimierz Świągocki na ogół wysoko ocenia twórczość i rolę J.B. Ożoga, aczkolwiek podejrzewa go, że nie był dokładnie tym, za kogo się podawał. Przytaczając w swej pracy wiersz Ożoga pt. „Gwoździe” zalicza go „do stosunkowo najlepszych formalnie i intelektualnie utworów tego typu”, który jednak szokuje „nie tyle dziwnością, co po prostu dziwacznością” i co gorsza, według krytyka, świat przez niego przedstawiony jest już nie tylko napaścią autora „Gwoździ” na mit „piekielnej cywilizacji”, która nam ciągle zagraża, lecz jest „projekcją jakiegoś zasadniczego rozdźwięku między jego psychiką a rzeczywistością zewnętrzną”. I że „liryczny bohater jest już tylko piewca własnych rozkładowych obsesji”, że jest

to „świat kandydata na pacjenta w klinice Adlera czy Junga” – używając określenia samego Ożoga w innym kontekście.

Autentyści zamieszkali w Polsce dużo się nacierpieli. Szczególnie po wojnie. Albo musieli milczeć, albo poddać się presji systemu, żeby wyżywić siebie i rodzinę, albo wyrzec się autentyzmu. Przypuszczam, że dlatego byli tacy nieufni, rozdrażnieni i drażliwi, zmęczeni ciągłym użeraniem się z cenzurą, z odnośnymi władzami, z niezrozumieniem u czytającej publiczności. Kiedy w latach 70-tych zwróciłam się listownie do Frasiaka i Ożoga, że chciałabym napisać pracę o autentyzmie w poezji, odpisał mi tylko Ożóg. List mnie zastał w Warszawie (bo byłam wtedy w Polsce na urlopie, który zamierzałam poświęcić na zbieranie materiałów do tejże pracy) i otworzyłam go na ulicy, a po zapoznaniu się z jego treścią – miałam łzy w oczach. Napisał, żebym mu nie zawracała głowy i żebym nie pisała o sprawach, o których nie mam pojęcia itp. J.A. Frasiak w podobny sposób potraktował mnie telefonicznie. Ale i tutejsi, londyńscy autentyści: Jerzy Pietrkiewicz i Bolesław Kobrzyński odnieśli się do mnie początkowo z pewną dozą nieufności. Tylko Marian Czuchnowski, który nie był *sensu stricto* autentystą, od razu mnie powitał z radosnym entuzjazmem. A jednak napisałam, co wiedziałam, kończąc pracę, która w dwa lata później została wydana w formie książkowej pt. „Autentyzm w polskiej poezji międzywojennej” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979).

Tuż przed wydaniem książki, a zwłaszcza po wydaniu przekonałam się na własnej skórze, co to jest cenzura. Najpierw wewnętrzna, w redakcji. Klóciłam się zęb za zęb o każdy akapit, a czasem o jedno słowo, przez tydzień albo dłużej. Jesteście w „Czarnej księdze cenzury” na czwartym miejscu pod względem ingerencji cenzury, tej z ul. Mysiej, mówiłam do redaktorów odpowiedzialnych za cenzurę wewnętrzną. A oni mi odpowiadali: i dlatego właśnie nie chcemy się przesunąć z pani powodu na trzecie miejsce. Kazali mi napisać na nowo rozdział o Marianie Czuchnowskim. Napisałam. Wyrzucić fragmenty o Jerzym Pietrkiewiczu – wyrzuciłam. Nie spałam po nocach, denerwowałam się. Ożóg miał rację – myślałam – że nic mi z tego nie wyjdzie. Wtedy zrozumiałam, ile to zdrowia musiało kosztować Czernika, gdy z Przybosiem opracowywał antologię poezji walczącej o postępie itd. I Frasiaka, i Ożoga, i Piętaka, gdy znaleźli się w tej antologii. A gdy moja książka się ukazała, to bałam się do niej zajrzeć, bo znów posłano ją

do cenzury. Kiedy wreszcie zjrzałam, zobaczyłam, że niepotrzebnie rozbiłam nowy rozdział o Czuchnowskim, bo dane życiorysowe są i tak w innej wersji, a stosunkowo najmniej jest zmian tam, gdzie mówię o jego metaforach itp., które potwierdzają jego chłopskie pochodzenie, ale o światopoglądzie mówią niewiele. W parę lat później dopiero spostrzegłam, że usunięto dwukrotnie wymienione przeze mnie nazwisko poetki i pisarki, profesora uniwersytetów amerykańskich, Alicji Iwańskiej, entuzjastki autentyzmu, której ojciec wspierał finansowo *Okolicę Poetów*. I kilka innych rzeczy.

Dr Kazimierz Świegocki może sobie pogratulować, że nie wydał swojej książki w latach 70-tych. Osobiście, dużo skorzystałam z tej lektury. Z niemąłą satysfakcją stwierdziłam, że mimo naukowej terminologii i metody jest to książka, którą dobrze się czyta, czego nie da się powiedzieć o niektórych innych książkach naukowych, jakie od czasu do czasu dostają z Polski. Raziło mnie trochę słowo „indywiduum” (użyte tu w liczbie mnogiej) a dotyczące roślin, zwierząt i ludzi, którego bym nie przepuściła żadnemu z moich studentów, ale z drugiej strony autor tak się wczuł w światopogląd autentystów, że rośliny i zwierzęta, a nawet nieorganiczną przyrodę traktuje na równi z człowiekiem.

„Kto raz się zakochał w autentyzmie”, temu to nie przechodzi – coś w tym rodzaju powiedział Jerzy Pietrkiewicz w powieści „Po chłopsku”. Był taki poeta w grupie Czernika, bez chłopskiego pochodzenia, który na łożu śmierci w szpitalu, z braku pióra i ołówka, krwią napisał, że pozostał autentystą. Było to w Roku Pańskim 1971, a poeta nazywał się Czesław Janczarski. Takie zostawił przesłanie i to była jego prawda, której inni nadal szukają.

Ostatnim żyjącym autentystą spod znaku Stanisława Czernika jest Jerzy Pietrkiewicz, który uprawia autentyzm w języku polskim i angielskim. W poezji i w prozie. I jestem przekonana, że on też znalazł tę swoją prawdę, lecz nie musi jej wyrażać dramatycznie. Szukał jej konsekwentnie latami, chociaż już w 17-ym roku życia instynktownie ją wyczuwał. Ale przez te wszystkie lata eksperymentów, twórczych i egzystencjalnych, uczył się na własnych błędach i dojrzywał. Budował swój światopogląd kulisty i pogodził z samym sobą. Promieniuje od niego spokój. Ostatni autentysta, to jednak zobowiązuje.

Londyn, 20 lutego 1998

Alicja H. MOSKALOWA

Nadestane nowości wydawnicze

- MIEROSZEWSKI (Juliusz). *Final klasycznej Europy*. Wybór i opracowanie Rafał Habielski. Str. 386. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, Lublin 1997.
- ZDYBEL (Jolanta). *Filozofia Robina George'a Collingwooda*. Str. 174. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- CYMBORSKA-LEBODA (Maria). *Twórczość w kregu mitu. Myśl estetyczno-filozoficzna i poetyka gatunków dramatycznych symbolistów rosyjskich*. Str. 302. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- TRZCIŃSKI (Andrzej). *Symbole i obrazy. Treści symboliczne przedstawień na nagrobkach żydowskich w Polsce*. Str. 168. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- RADZYMIŃSKA (Józefa). *Pomyślane o zmierzchu*. Str. 152. Oficyna Literacka PATRIA, Warszawa 1997.
- DABAŁA (Jacek). *Mechanizm. Tragifarsa*. Str. 64. Norbertinum, Lublin 1997.
- LAUB (Gabriel). *Die Kunst des Lachens*. Str. 240. Langen Müller, Monachium 1997.
- WEHR (Óli). *Isolator. Arkusz liryczny w VI częściach*. Str. 127. Agencja Artystyczna con fuoco, Warszawa 1997.
- DRAUS (Franciszka). *Instytucje ustrojowe w postkomunistycznych demokracjach Europy Środkowo-Wschodniej. Polska – Republika Czeska – Węgry. Refleksje krytyczne*. Str. 66. Przemyskie Towarzystwo Kulturalne, Przemysł 1997.
- GRACIÁN (Baltasar). *Wyrocznia podręczna*. Str. 173. Wydawnictwo Test, Lublin 1997.
- EMERSON (Ralph Waldo). *Myśli*. Str. 126. Wyd. Test, Lublin 1997.
- EMERSON (Ralph Waldo). *Eseje*. Tom I i II. Wyd. Test, Lublin 1997.
- TORAŃSKA (Teresa). *Oni*. Str. 719. Wyd. Świat Książki, Warszawa 1997.
- KIELASIŃSKI (Marek). *Raport o zabijaniu. Zbrodnie sądów wojskowych na zamku w Lublinie*. Str. 350. Wyd. TEST, Lublin 1997.
- JANICZAKÓWNA-SZYKSZYNIAN (Danuta). *281 dni w szponach NKWD*. Str. 168. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- SNASTIN (Wiktor). *Inspektorat "F". Materiały do historii Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej*. Str. 223. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- MIANOWSKI (Krzysztof Maciej). *W srebrzystej krainie*. Opowiadania. Str. 120. Wyd. Towarzystwo Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej, Bydgoszcz 1997.
- KADZIĘLA (Paweł). *„Libella” 1957-1997. Historia i współczesność*. Str. 145. Wyd. „Libella”, Warszawa 1997.
- MAKSIMIUK (Jan). *Bieloruskaja gimnazja imia Janki Kupały u Zachodniaj Niameczcinie 1945-1950*. Str. 196. Białoruski Instytut Nawuki i Mastactwa, Nju York-Belastok, 1994.
- BALCEROWICZ (Leszek). *Socjalizm. Kapitalizm. Transformacja. Szkice z przelomu epok*. Str. 387.

- Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1997.
- NAGRABIECKI (Jan). *To ciemniej, to jaśniej*. Wybór wierszy, tom I - *Wertuję kwiaty jak książki*. Str. 144. Oficyna Wydawnicza LATONA, Warszawa 1995.
- NAGRABIECKI (Jan). *To ciemniej, to jaśniej*. Tom II - *Godziny opisane skrzydłami ważek*. Str. 122. Oficyna Wydawnicza LATONA, Warszawa 1996.
- NAGRABIECKI (Jan). *To ciemniej, to jaśniej*. Tom III - *Radością są wydmy w strudze cienia*. Str. 151. Oficyna Wydawnicza LATONA, Warszawa 1996.
- NAGRABIECKI (Jan). *To ciemniej, to jaśniej*. Wybór wierszy, tom IV - *Okolice rozpiętego marzenia*. Str. 133. Oficyna Wydawnicza LATONA, Warszawa 1997.
- Stajnia*. Antologia grupy poetyckiej. Wybór i oprac. Jerzy Tomaszewicz. Str. 115. Wyd. Sopocki Klub Pisarzy i Przyjaciół Książki „Brodwino”, Sopot 1997.
- GAWRYS. (Cezary). *Ścieżki Ocalenia*. Str. 274. Wyd. WIĘŻ, Warszawa 1997.
- KUREK (Marcin). *Monolog wieczorny*. Str. 15. Wyd. „OKIS”, Wrocław 1997.
- FRANKOWSKI (Stanisław), GOLDMAN (Roger), ŁĘTOWSKA (Ewa). *Sąd Najwyższy USA. Prawa i wolności obywatelskie*. Str. 255. Wyd. OSCE.
- SZYDŁOWSKA (Waleria). *Egzystencjalizm w kontekstach polskich. Szkic o doświadczeniu*, 'myśleniu i pisaniu powojennym'. Str. 145. Wyd. IFiS PAN, Warszawa 1997.
- PACZKOWSKI (Andrzej). *Polska 1986-1989: od kooptacji do negocjacji. Kilka uwag o wchodzeniu w proces zmiany systemowej*. Str. 44. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN., Warszawa 1997.
- HELLER (Michaił). *Istoria rosyjskiej imperii*. T. 3. Str. 299. Wyd. MIK, Moskwa 1997.
- DZIEWANOWSKA (Ada). *Polish Folk Dances & Songs. A Step-by-Step Guide*. Str. 672. Wyd. Hippocrene Books, New York 1997.
- BUHLER (Pierre). *Histoire de la Pologne communiste. Autopsie d'une imposture*. Str. 808. Ed. KARTHALA, Paris 1997.
- COURTOIS (Stéphane), WERTH (Nicolas), PANNÉ (Jean-Louis), PACZKOWSKI (Andrzej), BARTOSEK (Karel), MARGOLIN (Jean-Louis). *Le livre noir du communisme. Crimes, terreur, répression*. Str. 846. Ed. Robert Laffont, Paris 1997.
- TOKARCZUK (Olga). *Dieu, le temps, les hommes et les anges*. Str. 340. Robert Laffont, Paris 1998.
- KORCZAK (Janusz). *Comment aimer un enfant suivi de Le droit de l'enfant au respect*. Str. 404. Robert Laffont, Paris 1998.
- KORCZAK (Janusz). *Journal du ghetto*. Str. 288. Robert Laffont, Paris 1998.

POLSKA — WSCHODNI SĄSIEDZI

8.3.98

Zmarł w Krakowie w wieku 71 lat profesor Ryszard Łużnyj, wybitny sławista, zajmujący się stosunkami polsko-ukraińskimi, związany całą swoją karierą z Uniwersytetem Jagiellońskim. Najwybitniejsza jego praca to „Pisarze kręgu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej a literatura polska. Z dziejów związków kulturalnych polsko-wschodnio-słowiańskich w XVII i XVIII wieku”.

16.3.98

Zmarł w Warszawie w wieku 64 lat Andrzej Kempfi, wybitny znawca kultury Kresów. Jego prace obejmowały zagadnienia kulturalne na Białorusi i Litwie.

20.3.98

Mieczysław Jackiewicz, profesor olsztyńskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, został mianowany konsulem generalnym w Wilnie. Jest on wybitnym znawcą zagadnień litewskich i białoruskich. ■ Czesław Okińczyc, prezes polskojęzycznego radia „Znad Wilii”, został doradcą prezydenta Litwy Valdas Adamkusa do spraw współpracy kulturalnej między Polską i Litwą.

25.3.98

Pani Joanna Kulmowa, dyrektor Warszawskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich obchodziła 70-lecie urodzin. Poświęciła się głównie literaturze dla dzieci, opublikowała kilkadziesiąt tomów, głównie wierszy i powieści.

26.3.98

Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat Zdzisław Libera, historyk literatury, znawca polskiego Oświecenia. Był on redaktorem serii oświeceniowej w Ossolineum oraz autorem antologii „Poezja polska XVIII wieku”.

31.3.98

Jerzy Pomianowski, wybitny publicysta i tłumacz, został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 73 lat Franciszek Ryszka, prawnik, politolog, filozof, historyk.

1.4.98

Tygodniki *Wiadomości Kulturalne* oraz *Fakty* przestały się ukazywać z powodu trudności materialnych spowodowanych cofnięciem dotacji rządowych.

19.4.98

Rafał Wiśniewski, inicjator festiwalu Express Polonia w Budapeszcie, został mianowany pełnomocnikiem ministra spraw zagranicznych do promocji kultury polskiej za granicą. Głównym zadaniem p. Wiśniewskiego ma być reorganizacja Instytutów Polskich.

ZACHÓD

17.3.98

Zmarł w Winterthur w Szwajcarii w wieku 86 lat Zdzisław Pręgowski, architekt, kustosz Muzeum Polskiego w Rapperswil, inicjator i organizator akcji charytatywnej „Polska w potrzebie. ■ W Instytucie Polskim w Rzymie Dominik Morawski wygłosił odczyt pt. „Italiani e polacchi: affinita, diversita...”.

2.04.98

Izraelski Instytut Pamięci Yad Waszem zgłosił kandydaturę Jana Karskiego do pokojowej nagrody Nobla.

6.04.98

Zmarła w Lailly-en-Val w wieku 91 lat Róża z Zamoyskich Juliuszowa Tarnowska. Pogrzeb odbył się 14-go kwietnia w Montresor. Pani Róża Zamoyska była wielką przyjaciółką nie tylko *Kultury* ale również przedwojennego *Buntu Młodych* i *Polityki*. ■ Zmarł w Hove (Anglia) w wieku 49 lat Keith Sword, dr antropologii społecznej, wykładowca na School of Slavonic and East European Studies Uniwersytetu Londyńskiego, historyk polskiego uchodźstwa wojennego. Wydał szereg prac, m.in.: „The Formation of the Polish Community in Great Britain 1939-1950” (główny autor części dotyczącej PKPR), „Deportation and Exile. Poles in the Soviet Union 1939-1946”, Londyn 1994; „Identity in Flux. The Polish Community in Britain”, London 1996; redaktor książki „Sikorski: Soldier and Statesman”, Londyn 1990.

12.04.98

Maria Nowak-Przygodzka, przewodnicząca francuskiego stowarzyszenia zajmującego się działalnością charytatywną została mianowana Kawalerem Legii Honorowej.

21.04.98

W Bibliotece Polskiej w Paryżu – staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt Stanisława Likiernika, który przedstawił swoją książkę: „Diabelskie szczęście czy palec Boży”.

3.05.98

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało spotkanie z p. Januszem Morkowskim oraz Teresą Sandos-Romanowską, którzy mówili o polskim Rapperswilu dzisiaj i jutro. Natomiast 15-go maja p. Claude Monard wygłosił odczyt na temat *Geneve et les suites de l'insurrection de 1830-31: „L'affaire des Polonais de 1834”*.

ZWIERZĘTOM ZE SCHRONISKA W
CELESTYNOWIE GROZI ŚMIERĆ

– Sytuacja schroniska jest tragiczna. Pieniądzy wystarczy nam jedynie na dwa miesiące. Co będzie dalej, nie wiadomo. Jeśli nie znajdziemy pieniędzy, będziemy zmuszeni uścić wszystkie zwierzęta – mówi Izabella Działak, kierowniczka Społecznego Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt w Celestynowie. – Wszystkie schroniska są przepelnione, nikt nie weźmie od nas naszych zwierząt. Brak pieniędzy oznacza dla nas koniec istnienia.

Dziś w schronisku w Celestynowie mieszka około 900 psów i 400 kotów. Z ostatnich zbiorów pieniędzy prowadzonych na rzecz schroniska wpłynęło niewiele pieniędzy. Na jego utrzymanie miesięcznie potrzeba ok. 30 tys. zł.

– Wszystko kosztuje. Mam 12 stałych pracowników, którym muszę zapłacić, bo to dla nich normalna praca i muszą z czegoś żyć. Cztery razy w miesiącu przyjeżdża weterynarz, żeby wysterylizować suczki i zaszczepić psy. Miesięcznie zużywamy 2 tony kaszy, która kosztuje ok. 1800 zł, na mleko potrzeba 700 zł, nie mówiąc już o mięsie, które psom jest niezbędne dla utrzymania dobrej kondycji – wylicza pani Izabella. – A proszę pamiętać, że jesteśmy schroniskiem społecznym. Nie otrzymujemy żadnych dotacji. Żyjemy z tego, co nam ludzie przysyłają i z okazjijnej pomocy sponsorów.

PS. Wszystkich, którym nie jest obojętny dalszy los schroniska i życie mieszkających tam zwierząt, kierownictwo placówki prosi o finansowe wsparcie.

Schronisko w Celestynowie, ul. Prosta 13

Numer konta: PKO BP XV O/Warszawa 10201156-5177-270-1

Listy do Redakcji

Montreal, 6 kwietnia 1998

Szanowny Panie Redaktorze,

W marcowej *Kulturze* (nr 3/606) w liście do Redakcji p. Karol Krótki pisze, że przy samej granicy słowackiej w Banicy natknął się na grób i na tablicę pamiątkową poświęconą pamięci siedmiu polskich lotników nieznanego nazwiska, poległych we wrześniu 1944 roku. Tablicę tę w 25-tą rocznicę ufundowało społeczeństwo powiatu gorlickiego. Dziwi się przy tym, że lotnicy nieznani.

W Polsce jest szereg takich tablic, które choć żywo ilustrują nasze najnowsze dzieje, niejednokrotnie jednak zawierają błędne informacje. Wmurowywano je bowiem bez uprzednich badań historycznych. Klasycznym tego przykładem jest tablica w Banicy.

We wrześniu 1944 roku Niemcy nie stracili już żadnego samolotu nad Polską, z wyjątkiem amerykańskiej fortecy i dwóch myśliwców w okolicy Warszawy. Samoloty startujące z lotnisk na południu Włoch na operacje do Polski, niekoniecznie do Warszawy, były ich łupem nad Jugosławią i nad Węgrami, o czym świadczą brytyjskie wojskowe cmentarze w Belgradzie i w Budapeszcie.

Natomiast 17 sierpnia 1944 roku załogi wracające z operacji do Polski (Puszcza Kampinoska, placówki koło Piotrkowa i Skierniewic), meldowały, że w nocy z 16/17 sierpnia widziały jak w rejonie Nowego Sącza eksplodował samolot. Ostatnie jego chwile widziała południowoafrykańska załoga Maj. Greindla o godz. 02.19 w rejonie Grybowa: oświetlony flarą z myśliwca i trafiony pociskami samolot wybuchł i spadł na ziemię cały w płomieniach. Był to Liberator EW-275 „R” z polskiej eskadry 1586, którego załogę stanowili:

F/L Pluta Zygmunt, pilot ur. 12.04.1913 Częstochowa

W/O Malejka Brunon, pilot ur. 10.05.1917 Książ

F/O Jencka Tadeusz, nawigator ur. 17.11.1917 Mińsk Mazow.

F/S Dudziak Józef, radiotelegrafista ur. 28.03.1924 Drohobycz

F/S Wichrowski Bernard, bombardier ur. 22.03.1923 Płutowo

Sgt Marecki Jan, mechanik ur. 9.10.1920 Poznań

F/S Florkowski Jan, strzelec ur. 16.07.1920 Mniewo

Pięciu członków załogi wyskoczyło wcześniej na spadochronach z niskiej wysokości koło wsi Olszyny i wszyscy zginęli. Spadł tam również silnik, a cały w płomieniach Liberator runął o 35 km dalej koło wsi Banica, nad granicą czechosłowacką i eksplodował.

Pięciu lotników ekshumowano wkrótce po wojnie z cmentarza w Olszynie i pochowano na wojskowym cmentarzu Rakowickim w Krakowie, ale umieszczono na nagrobkach siedem nazwisk, czyli całą załogę. Prochy F/L Pluty i Sgt Mareckiego sprowadzono jednak z Banicy dopiero w 1980 roku na wojskowy cmentarz Rakowicki w Krakowie, gdzie do tego czasu mieli oni groby symboliczne.

Dane, które podaję, są oparte na źródłach archiwalnych, zaczerpnięte z dokumentów. Czytelnika, którego interesują szczegóły i źródła, odsyłam do mojej książki: *Lotnicze wsparcie Armii Krajowej* (Arcana, Kraków 1994, s. 609 + 5 map).

Łączę wyrazy szacunku

Kajetan BIENIECKI

Paryz, 25 III 1998

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
W numerze 3/606 *Kultury* ukazała się w „Wydarzeniach Miesiąca” wzmianka na s. 152, że 11 lutego br. na Uniwersytecie Paris IV-Sorbonne miał miejsce odczyt prof. Macieja Serwańskiego z UAM pt. „Les fêtes nationales et la mémoire collective en Pologne au XXe siècle”. Będę wdzięczny za uzupełnienie, że wykład ten został zorganizowany przez Centre de Civilisation Polonaise Paris IV-Sorbonne. Istotne jest to o tyle, że prof. Serwański wygłosił podczas pobytu inne wykłady na Uniwersytecie Paris IV-Sorbonne w ramach zajęć dla studentów i doktorantów.

Pragnę przypomnieć, że pierwszym dyrektorem Centre de Civilisation Polonaise był profesor Bronisław Geremek (od roku 1962), a każdy z kolejnych dyrektorów jest pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, delegowanym na okres kilku lat. Na Uniwersytecie Warszawskim istnieje równoległe – Centre de Civilisation Française, którym kieruje p. Christian Dumont. Działalność tej placówki francuskiej znajduje szerokie odbicie w polskich mediach.

Table ronde zorganizowany przez Centre de Civilisation Polonaise Paris IV-Sorbonne, w grudniu ub. roku, a poświęcony legionom gen. Dąbrowskiego, został poprawnie odnotowany w dziale „Wydarzeń” (w poprzednim numerze *Kultury*).

Będę wdzięczny za umieszczenie tego sprostowania istotnego dla prof. Serwańskiego, jego słuchaczy i dla Centre.

Z wyrazami wielkiego szacunku

Prof. dr Juliusz A. CHROŚCICKI

London, 26.03.98

Szanowny Panie Redaktorze!
Nawiązując do „Notatki Redaktora” (*Kultura* Nr 3/606 1998, str. 114), która zaznaczała się od zdania: „Nie ma nadal żadnych rozliczeń ze wszystkich zbiórek organizowanych w Polsce i na świecie na pomoc dla powodziarzy”, chcielibyśmy poinformować że w listopadzie 1997 r. nasz Fundusz otrzymał od Zarządu Okręgu Dolnośląskiego Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej listę ok. 60-ciu Ak-owców ciężko poszkodowanych przez powódź. Zorganizowaliśmy dla nich zbiórkę wśród AK-owców, sympatyków i bratnich organizacji w W. Brytanii. To co zdołaliśmy zebrać przesłaliśmy jako zapomogi do indywidualnych AK-owców Powodziarzy i otrzymujemy od nich pokwitowania.

Nie mogliśmy prowadzić naszej zbiórki na szeroką skalę, ponieważ w tym samym czasie działał Komitet Pomocy Powodziarzom, który zebrał wśród społeczeństwa polskiego w W. Brytanii prawie 3/4 miliona funtów sterlingów i przesłał je w całości do Caritas Polska.

Z naszych zebranych skromnych funduszy rozliczyliśmy się publicznie w prasie polskiej w W. Brytanii. W *Tygodniu Polskim*, w Londynie, w sobotę 28 lutego 1998 r. ukazało się nasze sprawozdanie, w którym pisaliśmy m.in.: „W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy wysłaliśmy do Polski ok. 350 zapomóg wartości £ 15.000,00 i na Kresy Wschodnie pomoc za £ 2.250,00. Z dodatkowo zebranych funduszy wysłaliśmy dla AK-owców Powodziarzy ok. 60 zapomóg za £ 6.000,00. Wszystkie zapomogi są nam kwitowane”.

Mamy nadzieję, że inne organizacje zbierające na powodziarzy również przedstawią rozliczenia.

Pozostajemy z poważaniem
za Zarząd Funduszu Inwalidów A.K. i Pomocy na Kraj

Halina MARTINOWA, v-przewodnicząca
dr Andrzej SŁAWIŃSKI, przewodniczący

Warszawa, dnia 11 marca 1998 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do listu p. Henryka Wujca „O doktorze Józefie” (*Tygodnik Powszechny* nr 2/97) zakradła się jedna niecisłość. Nielegalne czasopismo *Trzeźwość i Abstynencja* (ukazał się w 1980 r. tylko jeden numer) nie było wynikiem inicjatywy dr. Józefa Rybickiego, choć na pewno było po jego myśli, lecz inicjatywą niżej pod-

pisanego. Z propozycją wydawania podobnego pisemka zwrócił się niżej podpisany do J.J. Lipskiego, by wykorzystać również i tę ścieżkę dla przełamania alkoholizowania się społeczeństwa, po obu zresztą stronach barykady. Wydawało się inicjatorom, iż konspiracyjna ścieżka będzie przemawiać silniej do społeczeństwa niż przeciwalkoholowa argumentacja moralna i zdrowotna. J.J. Lipski chętnie przystał na tę propozycję i dostarczony mu tekst wprowadził w tryby prasy „drugiego obiegu”. Wkrótce niżej podpisany otrzymał kilkadziesiąt egzemplarzy tego numeru, które puścił również w obieg, m.in. poprzez duchowieństwo.

Wydaje się rzeczą wątpliwą by w tym samym czasie wydano niezależnie dwa pisemka pod takim samym tytułem. Wiadomo z prasy drugiego obiegu, iż kolporterzy tego pisemka byli zatrzymani niekiedy przez Milicję.

Sądzę, iż dr Rybicki ma tak wiele zasług dla społeczeństwa, iż nie ma potrzeby przypisywania mu działań, w których akurat nie brał udziału. I przeciwnie, podawanie błędnych informacji obniża wiarygodność rzeczywistych czynów.

Z poważaniem

Zbigniew T. WIERZBICKI

Warszawa 11.03.1998 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę Panu wyrazić swoje najgorętsze podziękowanie za spowodowanie poszukiwań wyjaśniających tragiczną śmierć mojej siostry Ligii Żółkiewskiej-Żołądkowskiej.

Na Szanownego Pana ręce kieruję równie gorące podziękowanie Panu Redaktorowi Kazimierzowi Zamorskiemu za Jego nieustępliwy trud wyjaśnienia sprawy i ogłoszenie wyników w artykule „Śmierć komunistki” w *Kulturze* (nr 7/8 1997).

Również gorące podziękowanie kieruję do Wszystkich Pań Byłych Ochotniczek AWP, które swymi wspomnieniami przyczyniły się do wyjaśnienia sprawy, oraz okazywały współczucie mojej Siostrze.

Wszystkim Państwu, którzy przyczynili się do odzyskania, skazanej na zapomnienie, pamięci mojej tragicznej Siostry przekazuję wyrazy najgłębszego szacunku.

Witold ŻÓŁKIEWSKI

Ps. Do niniejszego dołączam wypowiedź mojej Siostry z r. 1939 na temat stale aktualny. Może wypowiedź ta znajdzie miejsce w Archiwum Kultury.

KSIĄŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Wydawca: **INSTITUT LITTERAIRE**

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: *Jerzy Giedroyc.*

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 2^{ème} trimestre 1998.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskiej obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1998			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: « <i>Libreria Polaca</i> », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: <i>Księgarnia Polska</i> , 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultura» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: <i>Barbara Malak-Minkiewicz</i> , Reguliersgracht 46/11, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: <i>Księgarnia Polska</i> , E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: <i>Krystyna Krakowska</i> , 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; <i>Baltazar Krasuski</i> , 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; <i>Księgarnia Polska w Ottawie</i> , <i>Andrzej Lifsches</i> , 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; <i>Z. Micherdziński</i> , 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: <i>Kubon & Sagner</i> , Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; <i>Księgarnia Wawel</i> , Stephanstr. 11, 5000 Köln, I, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultura»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: <i>Krystyna Wasung</i> , 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: <i>Wojciech Luterek</i> , Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: <i>Ada Dziewanowska</i> , 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; <i>St. Kwiatkowski</i> , 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore , 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; <i>Księgarnia Ludowa</i> , Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; <i>Szwede Slavic Books</i> , 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 325-5590 & (650) 851-0748; <i>Księgarnia «Nowego Dziennika»</i> , 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: <i>Orbis Books (London) Ltd.</i> , 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: <i>Elżbieta Zahorska</i> , 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 502 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY TRZECI

zawiera opracowania: B. Nitschke: *Polacy wobec Niemców. – Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne*; M. Radomski: *Sprawa pozbawienia prawa wykładowca UJ, dra Włodzimierza Kubijowicza w czerwcu 1939 roku*; K. Rutkowski: *W stronę poezji czynnej. Adam Mickiewicz w Collège de France*; Adam Mickiewicz: *Wykłady literatury słowiańskiej*; A. Grzywacz: *Relacja płk. dypl. Andrzeja Mareckiego dla Komisji Badawczej do spraw Przyczyn Kłeski Wrześniowej*; J.J. Milewski: *Polsko-białoruskie komisje podręcznikowe*; A. Suchcitz: *Jeszcze o ochotnicze PWSK Ligii Żółkiewskiej*; J. Lewandowski: *Gen. Sikorski a Zagłada*; LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 55 F